

Myśliwy staje się zwierzyną!
Kontynuacja międzynarodowego bestsellera „Mścicielka”.

**Bernhard
Aichner**

**Dom
śmierci**



WYDAWNICTWO
SONIA DRUGA

Bernhard Aichner

Dom śmierci

Z języka niemieckiego przełożył
Lukasz Kuć



Tytuł oryginału:

TOTENHAUS

Copyright © 2015 by btb Verlag,

a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München,
Germany.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia
Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-768-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i może wiązać się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

The logo for 'virtualo' features the word in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters are dark blue, and the 'i' and 'o' at the end have a light blue shadow or glow effect behind them.

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Podziękowania

Trzy tygodnie później

Słysząc jej oddech. Twarz dotyka starego dywanu. Gdzieś w Szwarzwaldzie, na wzgórzu. Już nie ma sił. Żadna myśl nie przynosi pociechy, żadne słowo, żaden dotyk, nic. Leży na podłodze, sama, z dala od dzieci. Nie słyszy ich, nie czuje, już nigdy ich nie zobaczy. Już nigdy nie pocałuje, nie usłyszy ich płaczu, śmiechu. Bo umrze. Bo zostanie na tym dywanie i umrze. Za kilka godzin.

W gardle czuje ogień. Nieznośny ból. Jej usta są jak pustynia, język jak kawał wysuszonego mięsa, każda próba przełknięcia powoduje udrękę. Nie ma już ani kropli śliny, ani kropelki wody, niczego, co uchroniłoby ją przed tym co nieuniknione. Straci przytomność, organy wewnętrzne przestaną funkcjonować. Najpierw nerki, potem płuca. Jej ciało obumrze. Nic na to nie może poradzić, nie może się bronić, kopać w drzwi, drapać ścian. Nie ma już siły, nie wie nawet, jak długo tu jest, ile godzin bez wody, ile minęło nocy, odkąd usłyszała zgrzyt klucza przekręcane w zamku. Nie ma pojęcia, kiedy kończy się dzień i kiedy zaczyna nowy.

Nie ma ani jednego okna, nie dociera tu światło słońca. Są tylko żyrandol na suficie, barokowe kotary, łożo z baldachimem, secesyjne meble i ogromne lustro w złotej ramie. Kiedy otwiera oczy, widzi swoje odbicie. Swoją twarz, swoje usta, niezborne ruchy. Nie wolno jej marnować energii, musi zachować przytomność. Co jakiś czas podnosi głowę, tylko odrobinę, przez dwie sekundy jej policzek unosi się nad podłogą. Chce sprawdzić, czy ma jeszcze dość sił, czy dałaby radę wstać, gdyby się zjawił. Czy zdołałaby sama się stąd wydostać, wrócić do dawnego życia. Bo może zdarzy się cud, bo może ktoś usłyszy jej błaganie, jej szept. Dlatego musi być przytomna, nie może się pograć we mgłę. Chce zachować jasność myśli, chce pamiętać. Kim jest. Jak się nazywa. Jak wyglądało jej życie. Raz po raz powtarza to sobie niczym modlitwę. Wsłuchuje się w swój słabnący głos. *Jestem Brünhilde Blum. Prowadzę zakład pogrzebowy, mieszkam w Innsbrucku, mam dwie córki. Chcę żyć*, mówi, nieomal dławiąc się szmatą kneblującą jej usta.

Dobiega z nich już tylko ledwie słyszalny szept. *Nazywam się Blum*. Bo od zawsze nienawidziła swego imienia, bo nie używała go,

odkąd skończyła szesnaście lat. *Nazywam się Blum. Znowu na kilka sekund unosi głowę. Mam dwie córeczki. Umę i Nelę.* Musi się o nie troszczyć, nie może ich osierocić, nie wolno jej umrzeć, zostać na tym dywanie. Musi oddychać, nie wolno jej zamknąć oczu, pograżyć się we śnie. Musi się troszczyć o swoje aniołki, przytulić je. Niczego więcej nie pragnie. Musi wszystko naprawić. Nigdy więcej nie zostawi ich samych. Ale wie, że są za daleko, że już nic dla nich nie może zrobić, że znów się mami złudnymi myślami, karmi niespełnionym pragnieniem. Nie może ich tutaj sprowadzić. Nie może po prostu wstać i wyjść z tego pokoju, pojechać do nich i wziąć ich w ramiona. Nie może wrócić do dawnego życia, choćby nawet zdarzył się cud, o którym marzy. Choćby otworzyły się drzwi i jej wargi zwilżyła woda. Już nigdy nie wróci do domu, nie usiądzie w ogrodzie z kieliszkiem wina. Stary świat przestał istnieć, wszystko się zmieniło. Skona tutaj jak postrzelone zwierzę. Już nigdy nie ugotuje dla dziewczynek obiadu, nie usiądzie z nimi na sofie, by przeczytać im bajkę. Czuje w ustach posmak, który mówi jej, że to nie potrwa długo. Smród moczu i ta potworna cisza. Wkrótce wszystko się skończy.

Z zewnątrz nie dobiega żaden dźwięk. Tam, gdzie kiedyś musiały być okna, teraz jest mur. Nie ma drzwi wyjściowych, drzwi do łazienki, nie ma kranu, jest tylko pragnienie, marzenie o morzu, byle kałużę. Jest tylko jej szept, który opiera się powolnej agonii. Siłą woli przywołuje sceny ze swego życia. Mówi najgłośniejszym jak potrafi. *Mieszkam w Innsbrucku. Prowadzę zakład pogrzebowy.* Wypowiada słowo po słowie, bo nie kontroluje już myśli, bo wszystko się płacze, bo przepelnia ją strach, że oszaleje. Że zapomni. Kim jest. Kim była.

Nazywam się Blum. Prowadzę zakład pogrzebowy. Sugerujemy, by pożegnali się państwo ze zmarłym przy otwartej trumnie. To ważne, by bliscy mogli po raz ostatni zobaczyć zmarłego. By zrozumieli. Każde słowo sprawia ból, lecz mimo to mówi. Chce wrócić do swego dawnego życia, brakuje jej tego słodkawego zapachu, umarłych w chłodni. Chce się o nich troszczyć, myć ich, opatrywać rany, ubierać. Nie chce umierać, chce pracować. Myć im włosy, czesać, zamykać usta i składać w trumnie. Robiła to, odkąd pamięta, przez całe dzieciństwo, młodość. Śmierć jej nie przerażała. Zakład Pogrzebowy Blum był jej domem, sala

przygotowań placem zabaw. Wszystko wydawało się takie naturalne. Karawan wjeżdżający na podjazd, smutne twarze w sali pożegnań, Uma i Nela, które na dworze wdrapywały się na wiśnię. I Karl, który stał na dole i łapał je, gdy spadały.

Najlepszy teść na świecie. Blum wie, że troszczy się o dziewczynki. W tej chwili siedzą na jego kolanach, a on im miesza kakao. Są szczęśliwe. Uma i Nela. Tak ma być. Cokolwiek się stanie, może na nim polegać. Zaopiekuje się dziewczynkami. Myśl o tym, że mogłoby być inaczej, jest nie do zniesienia. W jej głowie jest tylko obraz dziewczynek bawiących się beztrąsko w ogrodzie. Niczego im nie brak, śmieją się, biegają, są bezpieczne. Nie boją się, nie płaczą, nie śnią im się koszmary i nie zrywają się w nocy, wołając mamę. Jest przy nich Karl. Błaga go, by przy nich został, nie pragnie niczego więcej. *Proszę, uważaj na nie. Ja już nie wrócę. Powiedz im, że je kocham.*

Słowa brzmią tak żałośnie. Jest kompletnie bezradna. Bezsilna. Chciałaby krzyczeć, bić rękoma, wstać i uciec. Chciałaby płakać. Lecz wypłakała już wszystkie łzy. Została pustka. Nie może już nic zrobić. Nie może cofnąć czasu, odwrócić tego, co się zdarzyło. Co zrobiła. To już nie tajemnica. Piszą o tym we wszystkich gazetach, mówią w wiadomościach, wszyscy znają jej twarz, wszyscy wiedzą, że jest potworem. Nie ma powrotu do dawnego życia. Blum. Wszystko zepsuła. I za to się nienawidzi. Za to, że igrała z losem swych dzieci, że myślała wyłącznie o sobie. O swoim gniewie. O tym, że go zabili. Ojca jej dzieci. Tak po prostu.

Wspomnienia rozdierają jej serce. Leży jak wyschły połec mięsa na drogim dywanie. Już tylko ostatkiem woli nie pozwala opaść powiekom, zachowuje przytomność. Już tylko myśl o dziewczynkach trzyma ją przy życiu, tęsknota za ich chichotem, gdy coś przeskrobia, za ich figlami, marudzeniem, gdy są zmęczone. Łzami, gdy się przewrócą. Widzi ich twarzyczki, gdy śpią w swoich łóżeczkach. Wszystko zaczyna się rozmazywać.

Powoli obraca się na plecy. Od kilku godzin leżała na boku, boli ją biodro, omdlała jej ręka, z trudem ją przesuwa. Najprostsze rzeczy, każdy ruch, oddech, wszystko, co kiedyś nie sprawiało jej żadnych trudności, teraz jest prawie niewykonalne. Zostanie na plecach, może

jeszcze kilka razy dźwignie głowę, lecz jej ciało już się nie poruszy. Aż umrze. *Nazywam się Blum, szepcze. Mam dwie córeczki. I męża.* Mark. Miłość jej życia, człowiek, który po ośmiu latach tak po prostu leży martwy na ulicy. Myśli o nim po raz ostatni. O jego dłoniach, skórze, ustach. O tym, co jej zawsze powtarzał. *Będzie dobrze, Blum. Wszystko się jakoś ułoży.* Lecz nic się nie ułożyło. Nie było dobrze. Zniknął w trumnie pod kupą ziemi. Szczęście skończyło się w jednej chwili. I do tej pory nie wróciło. Nie ma nikogo, kto by ją podniósł, wziął w ramiona. Jest sama. Nie zjawi się żaden książę. Dobra wróżka nie spełni jej życzenia. To kara za to, co zrobiła. Nie może już nic zrobić, może tylko leżeć i czekać, ostatni raz poruszyć wargami, zanim na zawsze zamilknie. Zanim zapadnie cisza. Chociaż dałaby wszystko, by móc dalej mówić, dalej żyć, z jej ust dobywają się już tylko dwa zdania. *Mówi powoli, ledwie ją słysząc. Przepraszam, szepcze. Tak strasznie mi przykro.* Usta milkną.

Spogląda na sufit. Od kilku godzin wpatruje się w złoty stiuk i ogromny fresk. Raj. Obraz, w którym się zatracą, ogród pełen drzew owocowych, w pełnym rozkwicie. To ostatnie, co widzi. Bujne kształty nagiej kobiety wgrzającej się w jabłko. Przez ostatnie dni Blum wielokrotnie się w nią wpatrywała. Pełna beztroski, z rozkoszą smakuje owoc, wino, życie. Biesiada na suficie pokoju, bezwstydnego opilstwo. Ten obraz jest dla niej jak siarczasty policzek. Bo widzi to, czego już nigdy nie zazna. Widzi, jak mogłoby być. Wiśnie, które zrywa, gdy ją najdzie ochota, przyjemny chłód, gdy w letni dzień leży w trawie pod drzewem. Sielanka. Jeszcze raz, przez chwilę, potem zamknie oczy i umrze.

Trzy tygodnie temu nic nie zapowiadało katastrofy. Blum nie miała pojęcia o istnieniu tego domu. Tego pokoju, dywanu, fresku na suficie. Nie miała zaschłych ust, nie umierała z głodu, nie było nikogo, kto chciałby jej śmierci. Nie było jeszcze ku temu żadnego powodu.

Czuła się niemal szczęśliwa. Leżała na plaży, pierwszy raz od dawna znowu świeciło słońce, śmiech dziewczynek przepelniał ją szczęściem. Nic jej nie gonilo, na wszystko był czas. Urlop w Grecji. Bez troska. Z dala od pracy, pogrzebów, tylko czas dla najbliższych, dla Umy i Neli. Mogła się skupić na ich potrzebach, budować z nimi zamki z piasku, pluskać się w wodzie, słuchać ich głosów, zbierać muszle. Z dala od umarłych. Wolna od myśli. Od dawna pogodziła się z tym, że od dwóch lat nie mają taty. Nie wracała do tego myślami, nawet na chwilę. Do tego, że leżał martwy na ulicy, że z dnia na dzień zniknął z ich życia. Dziewczynki pierwsze o wszystkim zapomniały, nie chciały bez przerwy przypominać sobie, że kiedyś miały tatę. W pewnym momencie po prostu wyparły to z pamięci, zaczęły się zachowywać, jakby nic się nie wydarzyło, próbowały sprawić, by mama była szczęśliwa, zdjąć z niej brzemień smutku. *Mamusiu, dlaczego już się nie śmiejesz? Dlaczego nie jesteś taka jak dawniej? Dlaczego już nie jeździmy nad morze? Mamusiu?*

I oto są. Morze, piasek i niebo. Żadnych pogrzebów, żałobników, zapłakanych rodzin, ostatnich pożegnań, tylko lato i ten mały domek przy samej plaży. Ledwie kilka metrów od wody, z widokiem na łódzie cumujące w zatoce. Życie znowu jest piękne. Blum nareszcie posłuchała Karla i Rezy, którzy nieomal wypędzili ją z domu, przykazując, by w końcu zrobiła coś dla siebie, dla dziewczynek. *Przez trzy tygodnie nie chcemy cię widzieć na oczy, powiedzieli. Damy sobie radę bez ciebie.* Reza, jej pracownik, jej przyjaciel. Po śmierci Marka on i Karl nie pozwolili jej się pogрузić w rozpacz, mogła na nich polegać, czuła się bezpieczna. Wciąż czuła ból, lecz po dwóch latach nadszedł już czas, by rozpocząć nowy etap. Wszyscy byli w tej kwestii zgodni. Karl, Reza,

również dziewczynki. Trzy tygodnie wakacji. W Grecji. Blum miała w końcu znów zacząć żyć.

Czuła się wspaniale. Kiedy wieczorem dziewczynki zasypiały, siadała samotnie na tarasie z kieliszkiem wina. Wierzyła, że ma przed sobą przyszłość. Było cudownie. Morze, które kochała od dziecka. Coroczne trzytygodniowe wakacje na starym Swanie, jachcie, który sprzedała po śmierci Marka. Przez ponad dwadzieścia pięć lat łódź cumowała w Trieście. Była częścią przeszłości, od której Blum chciała się uwolnić. Należała do rodziny od trzydziestu lat. Kupił ją Hagen, ojciec Blum. Człowiek, który uczynił ją tym, czym jest. Właścicielką zakładu pogrzebowego. To było jego największe pragnienie: wychować następcę, który odziedziczy zakład. Była tylko dziewczynką, ale przynajmniej miał komu przekazać firmę. Odkąd sięgała pamięcią, otaczali ją umarli, uwalniała się od nich wyłącznie latem, na łodzi. Tam była szczęśliwa. Czuła wiatr i słońce na skórze, odbiegały ją wszelkie zmartwienia i troski. Nic więcej się nie liczyło. Ani Hagen, ani Herta. Matka, która spokojnie patrzyła, jak dziesięcioletnia dziewczynka zszywa usta umarłym, wbija igłę w fałdy tłuszczu, zamiast bawić się z przyjaciółkami w ogrodzie. Jak wpycha watę w usta i odbył umarłych, by nie rozchodził się odór śmierci. To był jej chleb powszedni, życie w zakładzie pogrzebowym. Choćby nie wiem jak tego pragnęła, zmarli nie chcieli zniknąć z jej życia. Zawały, samobójstwa, wypadki, utonięcia. Leżeli przed nią na stole cisi i nieporuszeni, a ona cicho i posłuszenie robiła to, czego żądał od niej ojciec. Była zdana na jego łaskę, nie miała nikogo, kto by ją przed nim ochronił. Nawet matka patrzyła w milczeniu, z aprobatą, na to, co Hagen robi z ich córką. Nie obroniła Blum, nie kiwnęła palcem, nie uczyniła nic, by Hagen przestał ją dręczyć. Nie próbowała jej uwolnić od lęku. Nie przytulała jej, nie gładziła po główce, nie pocieszała. Bo Blum nie była jej dzieckiem, bo została adoptowana, bo była tylko bękartem z sierocińca, który trafił z czyśćca do piekła.

Cierpiała latami. Tylko doroczne wakacje pozwalały jej posmakować szczęścia. Były jak sen, z którego nie chciała się nigdy zbudzić, jak powracający sen, w którym jej rodzice umarli i zostawili ją wreszcie w spokoju, jak sen, który stał się rzeczywistością, gdy miała dwadzieścia cztery lata. Hagen i Herta zginęli w tragicznym wypadku.

Utonęli, gdy Blum spała na pokładzie jachtu. To było jak cud. W jednej chwili jej życie się odmieniło. Blum zakochała się, urodziła dwojkę dzieci, przez osiem lat pławiła się w szczęściu. W miłości. Do dnia, gdy Mark zginął. Dwa lata temu. Wtedy wszystko nagle runęło.

Dwa lata bez niego. A potem Chalkidiki. Blum chciała pojechać z dziewczynkami gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie była, do Grecji, nie na wyspę, na wybrzeże kontynentalne. Na wietrze łopotały zielone flagi, wszystko wskazywało na to, że burza w końcu minęła. Żal, łzy, które przez tyle wieczorów płynęły jej po policzkach. Koniec strachu. Dziewczynki biegały bez kapoków po plaży, na gładkim morzu nie było już fal.

Trzy tygodnie temu na plaży świat wydawał się dobry i jasny. Blum znów chciała żyć. Wygodnie rozparta na leżaku popijała piwo z puszki, patrzyła, jak dziewczynki kopią w piasku głęboki dół. Z chichotem znikają pod ziemią. *Mamusiu, zobacz, jak się bawimy*, popiskiwały cieniutko. Były szczęśliwe. Blum zamknęła oczy i z uśmiechem się przeciągnęła. Słyszała tylko głosy dziewczynek. Cieszyła się myślą, że mają przed sobą jeszcze dwanaście dni w słońcu. Czowała, że mogłaby tu zostać wiele tygodni, spędzić ten czas z dziewczynkami. Było cudownie.

Nie żyjesz, Uma. Nie możesz mówić, masz leżeć nieruchomo. Jak ktoś nie żyje, nie może się ruszać, przecież wiesz. Uma parsknęła śmiechem, wygrzebała się z piaskowego grobu i pobiegła przed siebie. Nela ruszyła za nią. Fikały po plaży, tańczyły, chichotały. Nic złego nie miało prawa się zdarzyć. Dno opadało łagodnie, dziewczynki nie mogły utonąć. Nie groziła im nawałnica, trzęsienie ziemi, nic. Nie czyhało na nie żadne niebezpieczeństwo. Blum zerwała się z miejsca, porwała dziewczynki na ręce i wbiegła z nimi do wody. Ganiały się, śmiały i bawiły, aż dziewczynki znużone zasnęły. Obok niej, w cieniu. Uma i Nela. Jeszcze przez chwilę życie wydawało się piękne.

Blum delectowała się beztroską. Kartkowała jakieś czasopismo, przeczytała artykuł o ślubie szwedzkiej księżniczki, o amerykańskiej aktorce, która adoptowała ósme dziecko, trochę plotek, trochę mody, coś o podróżach i grupach wsparcia, recepty, jak zrobić samodzielnie miód, jak odnaleźć wewnętrzny spokój, jak żyć. Historie, które nikomu nie

szkodzą, a czasem dają poczucie, że na wszystko jest jakaś rada. Dowiedziała się o mężczyźnie, który pieszo przeszedł z Berlina do Pekinu, o kobiecie, która pokonała raka, nacierając się codziennie własnym moczem, obejrzała zdjęcia latających ryb, fotografie z kurzej fermy, przekartkowała reportaże o artystach, przepisy kulinarne, zapowiedzi wydawnicze. I w końcu natrafiła na artykuł o tej feralnej wystawie. Na fotografię, która sprawiła, że ziemia usunęła jej się spod nóg.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jeszcze przed chwilą był odpływ i raptem w jednej sekundzie załapała ją niespodziewana fala. Nagle, bez zapowiedzi, nadciągnęła nawałnica. Niebo się zachmurzyło, choć słońce nadal prażyło z wysoka. Wszystko zmieniło się w chwili, gdy przerzuciła następną kartkę i rzuciła okiem na artykuł. Gdy zobaczyła to zdjęcie. Jakby ktoś trącił pierwszą kostkę domina, jakby kula śnieżna potoczyła się w dół, rosnąc z każdą chwilą. Życie znów zadało jej cios, a ona nie była przygotowana, by odparować atak, zrobić unik, uskoczyć. Jakby dostała pięścią między oczy. Poczula, jak wszystko się w niej kurczy, poczuła ból. I bunt. Nie słyszała już dziewczynek, które mówiły, że chcą wrócić do wody. Ciągnęły ją z całej siły, lecz mamusia nie ruszała się z miejsca. Nagle zrobiła się nieobecna. Siedziała na krześle jak sparaliżowana. *Mamusiu, powiedz coś, dlaczego się nie odzywasz?* Dlaczego nagle zamilkła i wlepiła wzrok w tę fotografię? Dlaczego ignorowała wołania swych dzieci? Nie potrafiłaby odpowiedzieć na te pytania, nie rozumiała, co się z nią dzieje. Nie umiała inaczej, przeczytała artykuł, raz po raz zerkając na podpis pod zdjęciem. Zachowywała się, jakby nagle zniknęła, stała się niewidzialna. Dziewczynki były coraz bardziej zaniepokojone. *Mamusiu, to przestało być śmieszne. Chcemy, żebyś coś powiedziała. I to już. Mamusiu!* Lecz Blum się nie odezwała. Tylko patrzyła. W milczeniu.

Zdjęcie zajmowało całą stronę. Martwa kobieta na grzbiecie zebry. Blum widziała wyraźnie jej usta, nos. Natychmiast rozpoznała tę twarz, od razu dostrzegła podobieństwo. Te same oczy, wystające kości policzkowe, ta sama budowa ciała, kształt głowy, piersi, wszystko znajome. To nie mogła być prawda. A jednak. Zwłoki na grzbiecie wypchanej zebry, martwa kobieta, która wyglądała dokładnie jak Blum.

Mimo pośmiertnych zmian podobieństwo było uderzające. Blum czuła się tak, jakby spojrzała w lustro.

- Powiesz wreszcie?
- Niby co?
- Co się stało?
- Nie wiem, Karl. Naprawdę nie wiem.
- Ale powiesz, jeśli będę mógł ci jakoś pomóc?
- Możesz przez kilka dni zająć się dziewczynkami.
- Dokąd się wybierasz?
- Do Wiednia.
- Po co?
- Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię, jak wrócę. Zgoda?
- Powinnaś być w Grecji. Masz jeszcze tydzień urlopu. Powinnaś być z dziewczynkami na plaży, bawić się w piasku, relaksować.
- Tylko przez kilka dni, proszę. Dziewczynki bardzo się cieszyły, że z tobą zostaną.
- Cieszyły się na wakacje nad morzem. Widzisz, jak są rozczarowanie?
- Widzę.
- Mam się martwić?
- Nie.
- Przerwywasz urlop, wracasz do domu i zaraz znów znikasz. Coś mi tu nie gra. Znam cię, Blum.
- Naprawdę nic się nie dzieje.
- Reza wraca dopiero w przyszłym tygodniu.
- I?
- Mógłby ci pomóc.
- Proszę cię, przestań się zamartwiać.
- Łatwo powiedzieć.
- Wszystko jest w porządku, Karl. Wskoczę na kilka dni do Wiednia i zaraz wracam.
- Nie powinnaś być sama, Blum.
- Nie rozumiem.

- Minęły dwa lata.
- Wiem.
- Masz prawo być szczęśliwa.
- A nie jestem?
- Ty mi powiedz.
- Ach, Karl.
- Co z Rezą? I z tobą?
- Reza jest moim przyjacielem.
- Jest kimś więcej.
- Nikt nie zastąpi Marka.
- Owszem. Ale Mark umarł. A ty żyjesz.
- Prawdę mówiąc, w tej chwili wcale nie jestem tego pewna, Karl.

Nie chciała mu powiedzieć nic więcej, niepotrzebnie go martwić.

Zresztą sama nie miała pojęcia, co to wszystko ma znaczyć, dlaczego zdjęcie martwej kobiety nęci ją jak płomień ćmę. Blum nie chciała się dzielić tą sprawą ani z Karlem, ani nikim innym. Nie chciała mu powiedzieć, czego się boi. Karl by zrozumiał, był najbardziej troskliwym mężczyzną, jakiego znała, ojcem Marka, najlepszym dziadkiem na świecie, niezawodnym przyjacielem. Kiedyś był policjantem, jak Mark, prawdziwym psem, świetnym gliną. Był ojcem, którego Blum nigdy nie miała, a którego zawsze pragnęła mieć. Kilka lat temu przyjęli go pod swój dach, a on stał się dobrym duchem tego domu, kapitanem dbającym o to, by ich statek nie zboczył z kursu. Karl. Czowała się bezpieczna, gdy ją przytulał, akceptował jej milczenie. Choć chciałby wiedzieć, co ją dręczy, nie wiercił jej dziury w brzuchu. Wiedział, że potrafi być uparta jak osioł. Uwolnił ją z uścisku, zaufał jej, cmoknął w policzek. *Uważaj na siebie*, powiedział i zniknął z dziewczynkami i tomem bajek w swoim mieszkaniu.

Blum musiała jechać. Choć bardzo się starała, nie mogła dłużej zostać w Grecji, siedzieć beczynnie, pozostawić cisnące się pytania bez odpowiedzi. Chciała się dowiedzieć, jak to możliwe, że gdzieś kiedyś chodził po tym świecie ktoś bliźniaczo podobny do niej. Czy miało to jakiś związek z adopcją? Czy Hagen i Herta coś przed nią ukrywali? A może miała obsesję? Była podekscytowana, rozgorączkowana, niecierpliwa, chciała się dowiedzieć czegoś więcej, dokopać się do

prawdy. Musiałaby czekać jedenaście dni, przez jedenaście dni bić się z myślami. Nie chciała tego. Nie chciała zachowywać się, jakby nic się nie stało, udawać przed dziewczynkami, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wytrzymała w Grecji jeszcze trzy dni, potem postanowiła przerwać wakacje i wrócić do domu. Spakowała walizki i wsadziła dziewczynki do auta. *Niestety, musimy wracać. Kiedyś wam to wynagrodzę*, obiecała i wyruszyły w drogę.

Najpierw sześć godzin do Patras, na prom. Dom na plaży odszedł w przeszłość, Nikiti Beach, mała fontanna, w której Uma kąpała swoją lalę, rak, którego Nela przez kilka dni trzymała w słoiku. Oczywiście były łzy, bo Blum nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego wakacje z mamą tak nagle dobiegły końca. Smutne dziewczynki na tylnym siedzeniu i zdjęcie wyrwane z pisma. Groźny kawałek papieru na siedzeniu obok kierowcy, zmęczone dzieci na pokładzie promu. Zawinięte w koce patrzyły na ostatni zachód słońca. Dwadzieścia cztery godziny. Potem Innsbruck, willa, która stała na miejscu niewzruszona niczym skała, wielki ogród, karawan przed domem. I Karl.

Wyglądał przez okno, gdy Blum wsiadała na motocykl. Wcisnęła na głowę kask, włączyła silnik, dodała gazu. Wystarczyły jej niespełna cztery godziny, by dotrzeć do Wiednia. Musiała to zobaczyć na własne oczy, upewnić się, że się myliła. Że to pomyłka, że to nie ma z nią nic wspólnego, że to tylko przypadek. Jak ta sama pieśń śpiewana w różnych językach. To niepojęte podobieństwo, które wytrąciło ją z równowagi, ta twarz, którą wciąż miała przed oczami. Zniekształcona, poraniona, pocięta. Musiała ją zobaczyć. Z bliska. Z rykiem pędziła po autostradzie, ile fabryka dała. Ducati monster 900, motocykl Marka, który po nim odziedziczyła, jego miłość, którą się zaraziła. Pęd powietrza na twarzy. Dodała gazu. Jak tego dnia, kiedy zginął Mark, dwa lata temu, z zamkniętymi oczami, dwieście kilometrów na godzinę, po autostradzie. Przez trzy sekundy. Krzyczała. Ile sił w płucach. Bo nagle zniknął z jej życia. Bo ją zostawił.

Mark. I nagła pustka. Pustka, którą starała się jakoś zapełnić. Próbowwała utrzymać się na powierzchni, dać szczęście dziewczynkom, nie poddawać się, nie myśleć o tym, że kiedyś było cudownie, o tym, czego nagle zabrakło. Żyła dalej. Otworzyła oczy i zwolniła. Troszczyła

się o dziewczynki, grzebała umarłych, czasem siadała z Rezą przy lampce wina. Ze swoim pracownikiem, na tarasie, bez słów. Siedzieli obok siebie, złączeni milczącym zaufaniem. Bo Reza wiedział o niej wszystko, bo zawsze milczał, nigdy jej nie zostawił na lodzie. Bo nie odszedł, bo na nią uważał, dawał oparcie, gdy o to prosiła. Bez niego łódź dawno by zatонуła. Brał ster w swoje ręce, gdy Blum opadała z sił. Reza był dużo więcej niż pracownikiem, był jej przyjacielem i powiernikiem, milczącym aniołem. Uratował jej życie. A mimo to spał w suterenie, nie u niej na piętrze. On miał swoje mieszkanie, a ona swoje, on swoją skórę, a ona swoją. Spotykali się tylko od czasu do czasu. Tylko od czasu do czasu jej język szukał zapomnienia w jego ustach. Gdy już nie mogła wytrzymać, gdy przytłaczała ją samotność, tęsknota za dotykiem, gdy życie stawało się zbyt ciężkie. Wtedy ją podtrzymywał. Cierpliwie, nie żądając niczego w zamian. Reza.

Pomyślała o nim, dojeżdżając do Linzu. Tak bardzo chciałaby mu o wszystkim opowiedzieć, zabrać ze sobą do Wiednia. Lecz Rezy nie było. Pojechał do Bośni, miał wrócić dopiero za kilka dni. Blum siedziała na motocyklu sama, nie obejmowały jej niczyje ramiona, nie było nikogo, komu mogłaby powiedzieć, jak bardzo się boi. Tego, że jej domysły okażą się trafne. Chwili, gdy zaparkuje przed Muzeum Historii Naturalnej, gdy kupi bilet i zacznie wędrówkę od sali do sali. Bała się, że znajdzie właściwą gablotę. Że ją zobaczy.

– Gdyby mogło się spełnić jedno twoje życzenie, Blum, co by to było?

– Dowolne życzenie?

– Tak.

– Bez żadnych ograniczeń?

– Bez.

– Nawet jeśli to niemożliwe?

– Nawet. Możesz sobie zażyczyć, czego tylko chcesz.

– I spełniłoby się?

– Tak, ale tylko jedno życzenie.

– Czy mój mąż jest dobrą wróżką?

– Owszem.

– Ile mam czasu do namysłu?

– Sześćdziesiąt sekund.

– Dlaczego tylko tyle?

– Bo chcę cię pocałować.

– Więc zrób to.

– Najpierw musisz pomyśleć życzenie. Taka szansa nigdy się nie powtórzy.

– Chcę, żebyś mnie pocałował.

– Daj spokój, Blum.

– No dobrze, życzę sobie, żebyś mnie pocałował.

– Nie mówisz poważnie.

– Niby dlaczego?

– To jest twoje życzenie?

– Niczego więcej nie pragnę.

Tak bardzo tego pragnęła. Żeby to życzenie jeszcze raz się spełniło. Wchodząc po muzealnych schodach na piętro, myślała o nim. O Marku. Choć z całych sił starała się o nim zapomnieć i wpuścić Rezę do swego życia, Mark nie odchodził, w myślach trzymała go za rękę, ścisła jego dłoń, szli obok siebie na górę, by zobaczyć wystawę.

Kuhn. Sztuka ciała. Wystawa robiła furorę wśród zwiedzających. Niczym gabinet osobliwości wędrowała z miasta do miasta. Setki tysięcy widzów oglądały już to, co właśnie ujrzała Blum. Przekonanie, że widziała już wszystko, co ma związek ze śmiercią, rozwiało się w kilka sekund. To, co tutaj pokazywano, było nieludzkie, przechodziło wszelkie wyobrażenie i przekraczało wszelkie granice. Stała udręczona i pogrążona w bólu. Sama, bezradna, zrozpaczona. Bo nie mogła uchronić zmarłych przed tym, co im zrobiono. Przed tym, co musiały znieść ich ciała. Pocięte i poskładane z powrotem, odarte ze skóry, udrapowane, powyginane i poskręcane. Zniekształcone, zakonserwowane. „Plastynacja”. Koszmar, w który Blum zanurzyła się bez wahania.

Przeszła przez dwuskrzydłowe barokowe drzwi i przekroczyła próg piekła. Wnętrze spowijał mrok. Wszystko okryte czarną materią, tylko gabloty były jasno oświetlone. Wszędzie umarli, jak aktorzy na scenie. To miała być sztuka. Niegodna, upokarzająca, szokująca, spektakularna. Każde z ciał krzyczało o uwagę, zaspokajało najniższe popędy widzów. Ciekawość, wścibstwo, pragnienie, by zobaczyć śmierć z bliska, a zarazem zanadto się do niej nie zbliżyć. Ludzie przychodzili tu popatrzeć, napawać się tym widokiem, poczuć na plecach dreszcz. Za trzysta euro można było zobaczyć śmierć. Wszystko dzięki Leo Kuhnowi. Artyście, który objawiał siebie, ukazując zarazem symbiozę nauki ze sztuką. *Kuhn. Sztuka ciała.* Leo Kuhn posunął się dalej od tych, którzy przed nim wystawiali na pokaz ciała umarłych. Dużo dalej. Nie tylko je zakonserwował i starannie upozował, lecz również rozłożył je na części i z powrotem poskładał. Czuł się artystą, a człowiek był dla niego jedynie materiałem, z którego tworzył swe dzieła. Zszywał ze sobą grubych i chudych, ludzi o różnych kolorach skóry, przekraczał granice natury i estetyki. Istne wynaturzenie. Blum z obrzydzeniem mijała kolejne gabloty. Szukała zębry, twarzy, która od kilku dni ją prześladowała, interesowała ją tylko ta jedna figura, amazonka, nic poza tym. Jej spojrzenie prześlizgiwało się po ciałach ludzi, którzy dobrowolnie zgodzili się na wszystko, byle tylko ich uwieczniono, by zyskać namiastkę sławy. Zniekształcone ciała za szkłem, ze skórą zsuniętą z czaszki na czoło, z mózgiem położonym niczym korona.

W miejscu, gdzie kiedyś była głowa człowieka, teraz pysznił się łeb jelenia. Nie wystarczyło zakonserwować ciała i zamienić go w figurę szachową. Kuhn oferował więcej. Szokował i hańbił. Dla pieniędzy.

Blum chciała stąd uciec. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała martwą skórę, mięśnie, kości, ścięgna, tętnice i żyły. Nie chciała na to dłużej patrzeć, nie rozumiała, dlaczego ktoś robi takie rzeczy, jak może robić coś takiego umarłym. Sama każdego dnia okazywała zmarłym tyle miłości, tkliwości i troski, tu jednak nie było nawet cienia szacunku. Horror. Tunel grozy. Szła szybko, jej oczy prędko omiatały kolejne sale. Jeśli wierzyć autorowi artykułu, kobieta na grzbiecie zebry była częścią tej wiedeńskiej wystawy. Powinna być tuż-tuż, może w następnej sali. Blum przyspieszyła kroku, bała się, chciała uciec. I nagle stanęła jak wryta. Znalazła to, czego szukała. Szklaną gablotę, pasiastą zebkę, wszystko, co widziała na fotografii. Sierść implantowaną kobiecie, otwartą klatkę piersiową, różowe serce.

Poczuła, że traci panowanie nad swoim ciałem. Miała wrażenie, że się rozpada, nie była w stanie kontrolować rąk, nóg, poruszać się, myśleć. Rozdygotana czuła się tak, jakby oblepiła ją jakaś ohydna maź. Widok tej kobiety sprawił, że wszystko wokół niej spowiła mgła. I poczuła niewyobrażalny ból. Zmasakrowana kobieta, ciało, które zostało zredukowane do poziomu przedmiotu, ozdoby, kiczowatej rzeźby, lalki z polakierowanymi paznokciami na grzbiecie wytatuowanej zebry. Tam, gdzie powinna być sierść, znajdowała się ludzka skóra, tatuaż przedstawiający głowy umarłych, tygrysy i nagie kobiety. Świat stanął na głowie. To, co było zwierzęciem, stało się człowiekiem, granice zostały zatarte. Patrzyła na rozcięte ciało i czarno-białe, obciążone skórą zebry nogi kobiety i czuła, że to niemal nie do zniesienia. Miała wrażenie, że spełniły się wszystkie jej najgorsze obawy. Że jest jeszcze gorzej, niż przypuszczała. Chociaż ciało tej obcej kobiety było zdeformowane, Blum bez trudu rozpoznała rysy niemal nietkniętej twarzy, patrzyła przez szkło gabloty jak w lustro. Tak jakby sama siedziała na grzbiecie zebry. Widziała siebie.

Kim była ta kobieta? Dlaczego siedziała w gablocie, martwa i rozplątana? Blum poczuła, jak zalewa ją fala współczucia i ciekawości, wzruszenia i gniewu. Sięgnęła po apaszkę i obwiązała sobie nią głowę.

Nie chciała, żeby ktoś dostrzegł podobieństwo, żeby ktoś zaczął zadawać pytania, nie zniosłaby, gdyby i w nią wlepiano wzrok, tak jak w kobietę w gablocie. Ukryta pod chustką była zwykłym gościem galerii, koneserem sztuki, którego szczególnie zafrapowała kobieta na grzbiecie zebry, nikim szczególnym. Na jej twarzy nie było widać paniki, która ją ogarnęła, nikt nie słyszał jej myśli. Ani pytań, które stawiała sobie w milczeniu. Może rzeźbę wykonano z plastiku? Może ktoś chciał jej coś w ten sposób powiedzieć? Może to groźba, ostrzeżenie udzielone przez kogoś, kto wie o niej więcej niż inni? Zastanawiała się, czy to naprawdę ludzka tkanka. Czyżby miała sobowtóra? A może ta obca kobieta była kimś więcej?

Pytania, domysły i drżenie, które rozpaczliwie próbowała opanować. Nie chciała przyjąć narzucającego się wyjaśnienia, próbowała uznać niepojęte za niemożliwe. Lecz w końcu myślała, że mogła mieć siostrę, wzięła w niej górę. Nie było innej możliwości, musiały być bliźniaczkami. Dwie dziewczynki, które czekały w sierocińcu na kogoś, kto je stamtąd zabierze. Blum nie była sama. Przynajmniej przez jakiś czas. Z jakiegoś powodu je rozdzielono, straciła siostrę i już nigdy jej nie odzyskała. Rozdzielono je, przemocą. Blum próbowała coś sobie przypomnieć, lecz nadaremnie. W jej pamięci nie zachowały się żadne wspomnienia, które by potwierdziły to przypuszczenie, żadne obrazy dwóch małych dziewczynek splecionych w uścisku, zapłakanych w chwili, gdy je rozdzielano. Nic. Blum zawsze była sama. Odkąd sięgała pamięcią, byli tylko Hagen i Herta, zakład i ciała umarłych. Nic więcej.

Bliźnięta jednojajowe, inaczej być nie mogło. Gdy się patrzyło na te dwie kobiety, na łączące je podobieństwo, inne wyjaśnienie nie wchodziło w rachubę. Blum nie miała już wątpliwości, to było jak cud, pragnienie, które niespodziewanie zostało zaspokojone. Istniał ktoś, kto być może trzymał ją kiedyś za rękę, kto obok niej leżał w nocy z otwartymi oczami. Może w jednym łóżeczku, w sierocińcu, szepcząc jej coś do ucha. Wyobrażała sobie, jak dwie dziewczynki, takie jak Uma i Nela, biegną po łące, trzymając się za ręce. Dwoje dzieci, które dzielą ze sobą świat. Przez trzy lata Blum nie była sama, przez trzy lata miała siostrzyczkę. Brzmiało to niewiarygodnie, właściwie nie miało prawa się

zdarzyć, lecz im dłużej Blum patrzyła na twarz w gablocie, tym bardziej była tego pewna, tym większy czuła ból, tym więcej płynęło jej z oczu łez. Jedna po drugiej, staczały się po policzkach, nie powstrzymywała ich, nie mogła się dłużej opierać, bo nagle poczuła tęsknotę za czymś, czego nigdy nie miała. Bo ta myśl była nie do zniesienia. Myśl, że mogły się spotkać, że mogły być sobie tak bliskie. Tak bardzo tego pragnęła, od zawsze. Mieć przyjaciółkę, kogoś, kto by jej pomógł to wszystko znieść. Hagenę, Hertę, umarłych, wszystko. Mogła je połączyć siostrzana miłość, przyjaźń, ją i tę bezimienną kobietę w gablocie. Mogła. Chociaż rozdzielała je szyba, chociaż kobieta była martwa, Blum czuła, że mają ze sobą coś wspólnego. Zapragnęła nagle uwierzyć w więź, która je połączyła. To nie było rozsądne ani logiczne, właściwie wszystko w tej chwili przypominało sen, a mimo to stała przed gablotą i patrzyła. Stłumiła w sobie wątpliwości, zdusiła je, chciała zachować to uczucie.

W sali panowała kompletna cisza. Nikt się nie poruszał, ani Blum, ani nieznajoma w gablocie. Nawet nie drgnęła. Choć Blum tak bardzo tego pragnęła, kobieta siedziała nieporuszona na grzbiecie zębry, wpatrzona w pustkę. Pozwalała patrzeć na siebie tysiącom zwiedzających, odsłaniała swoje różowe serce, krzyczała wręcz o chwilę uwagi. Jeszcze przez trzy tygodnie w Wiedniu, potem w Berlinie, Londynie. Jakby występowała w objazdowym cyrku, przerażającym gabinecie osobliwości. Blum miała ochotę stłuc szybę i zabrać stąd tę kobietę, obronić ją, zatroszczyć się o nią, zszyć jej klatkę piersiową, opatrzyć rany, pogrzebać. Złożyć ją na cmentarzu, pod drzewem. Rozmawiać z nią. Sam na sam. Bez końca.

Płakała przez dobrą godzinę. Do chwili, gdy muzealny przewodnik, który już kilka razy ją mijał, delikatnie zwrócił jej uwagę, że zostało jej dziesięć minut. Blum musiała odejść, zostawić ją samą. *Przepraszam, ale już zamykamy. Wystawa będzie otwarta jutro, od dziewiątej.* Młody mężczyzna szybko zrozumiał, co się tu dzieje, zobaczył, jak Blum ociera łzy i zdejmuje z głowy apaszkę. Twarz, która przykuła jego uwagę, podobieństwo, które od razu dostrzegł. Znał wszystkie eksponaty na pamięć. Nie musiał się zastanawiać, nawet przez chwilę, zobaczył to w jej oczach, natychmiast dodał dwa do dwóch. Spojrzał na kobietę, która przez kilka godzin stała nieporuszona przed tą gablotą, i w jednej

chwili zrozumiał. Mówiąc do niej, zakłopotany unikał jej spojrzenia, czuł się niezręcznie, bał się, że powie coś niewłaściwego. Był miły i sympatyczny. Dlatego nie zastanawiała się dłużej. Zebrała się na odwagę i skoczyła, w ciemno.

– Proszę, niech mi pan pomoże.

– Przykro mi, ale właśnie zamykamy, już mówiłem.

– Chcę tylko porozmawiać z kimś, kto mógłby mi coś powiedzieć o tej kobiecie.

– Niestety, to niemożliwe.

– Proszę, muszę wiedzieć, kim ona jest, gdzie mieszkała, jak się nazywa, jak umarła. Proszę.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak porozmawia pani z naszą kuratorką.

– Niech pan na mnie popatrzy.

– Chciałbym pani pomóc, ale nie mogę.

– Nie pan na mnie popatrzy. Proszę, niech pan spojrzy na moją twarz.

– Nie wolno nam udzielać informacji na temat donatorów.

– Co pan widzi? Proszę powiedzieć, co pan widzi.

– Niestety, muszę panią prosić o opuszczenie muzeum.

– Przecież pan widzi, prawda?

– Proszę, niech pani przestanie.

– Od razu pan zauważył, mam rację?

– Tak.

– I co pan widzi? Proszę mi pomóc, chcę tylko, żeby pan mi powiedział, że nie oszalałam.

– Jak to możliwe, że pani nie wie, kim jest ta kobieta?

– Zobaczyłam jej zdjęcie trzy dni temu, w gazecie. I przyjechałam.

– Ale ja jestem tylko szeregowym pracownikiem. Proszę mnie zrozumieć, oprowadzam ludzi po wystawie, nic więcej. Naprawdę, lepiej będzie, jeśli pani porozmawia z kimś wyżej postawionym ode mnie. Kuratorka z pewnością pani pomoże.

– Ale ja chcę porozmawiać z panem.

– Dlaczego?

– Nikomu nie powiem, że pan mi pomógł. Ani słowa, przysięgam.

- To jakiś obłąd. Kompletne szaleństwo.
 - Owszem.
 - To musi być pani bliźniaczka.
 - Nie ma innego wyjaśnienia, prawda?
 - Nie.
 - Widzi pan podobieństwo.
 - Tak.
 - Zostałam adoptowana, gdy miałam trzy lata. Nie wiedziałam, że miałam siostrę. Nie miałam o niczym pojęcia.
 - Bardzo mi przykro.
 - Jak mogłabym się czegoś o niej dowiedzieć?
 - Naprawdę nie wiem.
 - Proszę.
 - Nazwiska donatorów nie są podawane do publicznej wiadomości.
- Kuhn jest w tej kwestii szalenie zasadniczy.
- Mówi pan o tym psychopacie, który preparuje ciała?
 - Tak, nazywa się Leo Kuhn.
 - Zna go pan?
 - Tak, był tutaj. Mieliśmy szkolenie, wszystko nam szczegółowo tłumaczył, przez cały dzień. Jak przebiega cały proces plastynacji, jak się wykonuje preparaty, jak można dokonać donacji. Bardzo mu zależało, żeby zwiedzający otrzymali szczegółowe informacje.
 - Czy on mógłby mi powiedzieć, kim ona była?
 - Tak, o ile zechce pani pomóc.
 - Gdzie go znajdę?
 - W Norymberdze. Prowadzi Instytut Ciała i Sztuki, coś w rodzaju galerii, można sobie wszystko dokładnie obejrzyć. Najlepiej, jeśli pani do niego pojedzie, na pewno zgodzi się z panią porozmawiać.
 - Skąd ta pewność?
 - Bo z tego eksponatu jest wyjątkowo dumny.
 - Eksponatu?
 - Przepraszam, to jego słowa. Używa też określenia *design*.
 - *Design*?
 - Tak, różowe serce, sposób, w jaki rozcięto klatkę piersiową, przeszczepiona skóra, symbioza człowieka i zwierzęcia, tatuaże. Był

z tego szalenie dumny. Długo staliśmy przy tej gablocie, a on mówił i mówił.

– O czym?

– Choćby o tym, że tylko raz zdarzyło mu się dokonać plastynacji kogoś, kogo znał osobiście. Myślę, że miał na myśli tę kobietę.

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Proszę obejrzyć pozostałe eksponaty. To jedyna twarz, której nie zdeformował.

Mogła się odwrócić, wsiąść na motocykl i wrócić do dziewczynek, mogła zwyczajnie zamknąć oczy i zapomnieć. Wszystko potoczyłoby się inaczej, nigdy nie pojechałaby do Szwarzwaldu, nie dowiedziałyby się, jak smakuje własny język, gdy się umiera. Co czuje ciało, które nie jest w stanie się dźwignąć. Nie dowiedziałyby się żadnej z tych rzeczy.

Podziękowała młodemu przewodnikowi, wcisnęła mu do ręki pięćdziesiąt euro i wyszła. Byle dalej od potworów stworzonych przez Kuhna. Minęła dział historii naturalnej, kości mamutów i skamieliny, i wyszła na słoneczne ulice Wiednia. Przeszła przez park do palmiarni, chciała zaczekać, aż wyblaknie wspomnienie tego koszmaru, przez chwilę pomyśleć o tym, co się zdarzyło. Co to wszystko *de facto* oznacza, co powinna zrobić. Odkąd zobaczyła na plaży tę fotografię, zastanawiała się, czy przypadkiem nie grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, czy ta sprawa nie łączy się jakoś z tym, co ukrywała przed światem, z tym, co zrobiła. Wyobrażała sobie najdziksze scenariusze i wszystkie wyjaśnienia – z wyjątkiem tego, że chodzi o jej bliźniaczkę – wywoływały w niej panikę. Myśl, że to groźba, lalka z plastiku, wystawiona po to, by jej powiedzieć, że wkrótce spotka ją kara. Absurdalne wyobrażenia, które rozwiały się w jednej chwili, gdy zobaczyła, co znajduje się w szklanej gablocie. Nikt nie wiedział, co wydarzyło się dwa lata temu, jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, była tego absolutnie pewna, siadając na leżaku i zamawiając kieliszek białego wina. Opuścił ją strach, ulga mieszała się z żalem, który ją nagle ogarnął. Pociągnęła długi łyk, zamknęła oczy. Biła się z myślami, wahała się, zastanawiała, co zrobić. Chciała odwlec decyzję. Rozważyć między rozsądkiem a koniecznością.

To tylko nieznaną kobietą, wariatką, która zgodziła się na to szaleństwo, powiedziała „tak”, pozwoliła się zdeformować, wypchać i wystawić na widok publiczny. Nieznajoma wariatka, która nie ma nic wspólnego z Blum. Z własnej woli usiadła na grzbiecie zebry, być może sama nawet wybrała zwierzę, z którym miała być skrzyżowana, którego

miała dosiąść. Blum czuła w głębi duszy, że popełniła prawdopodobnie błąd, wypytyując przewodnika, drążąc temat, szukając wyjaśnień. Mimo to nie przestawała o tym myśleć. Choć to, co widziała w muzeum, napawało ją wstrętem, chciała zdobyć więcej informacji, poznać historię nieznaną, dowiedzieć się czegoś o tych trzech latach, o których do tej pory nie miała pojęcia. O własnej przeszłości, która musiała się jakoś wiązać z kobietą krzyczącą tak przeraźliwie, że Blum nie mogła jej zignorować. *Nie możesz tak po prostu wrócić do domu. Musisz jechać do Norymbergi, musisz porozmawiać z tym psychopata, musisz się dowiedzieć, kim ona była, czy ją znał. Musisz, nie masz wyboru.* Zamówiła jeszcze jeden kieliszek wina.

Postanowiła, że przenocuje w Wiedniu, chciała się w spokoju zastanowić i podjąć decyzję. Innsbruck czy Norymberga. Wrócić do dziewczynki czy zanurzyć się w obcy świat i zaspokoić ciekawość, dowiedzieć się, co się stało. Dlaczego nie zostały razem, dlaczego je rozdzielono. Coś w Blum chciało wiedzieć, jak wyglądałoby jej życie po drugiej stronie. Gdyby Hagen dostał drugą z bliźniaczek, gdzie by wtedy trafiła, czy ci drudzy rodzice okazaliby jej więcej miłości i serdeczności? Wyobrażała sobie, że mogłaby być szczęśliwsza. Nikogo by nie zabiła. Gdyby wtedy los zdecydował inaczej, do niczego by nie doszło, Hagen i Herta nie utonęliby u wybrzeży Chorwacji, pięciu mężczyzn, którzy zabili Marka, wciąż by żyło. Nikt nie musiałby umrzeć. Nic z tego by się nie wydarzyło, absolutnie nic, Blum żyłaby po prostu innym, lepszym życiem. Być może. Im dłużej nad tym myślała, tym większą obsesją stawało się owo wyobrażenie. I z każdym kolejnym kieliszkiem stawało się coraz piękniejsze.

Wyszła, gdy zamykano lokal. Potem położyła się w hotelowym łóżku, w pobliżu muzeum. Była kompletnie skołowana, w krótkim czasie doświadczyła tylu uczuć, tyle łez wylała. Próbowwała zasnąć, ale bez powodzenia. Pół nocy przeleżała z otwartymi oczami, a jeśli na chwilę zasypiała, zaraz się budziła. Nie mogła znieść myśli, że dwieście metrów dalej jej siostra siedzi w muzealnej gablocie, że być może jest jakaś szansa na to, by poznać jej bliskich. Że jej przybrana rodzina będzie wiedzieć coś więcej. Skąd pochodziła, kim byli jej rodzice, gdzie są, dlaczego oddali dzieci do sierocińca. Blum przez całe życie zastanawiała

się, dlaczego to zrobili, dlaczego trafiła do domu dziecka. Czy jej rodzice zginęli w wypadku? A może byli narkomanami lub się nad nią znęcali? Czy odebrano im dzieci, czy może urodziła ją młodociana matka, która nie czuła się na siłach samotnie wychować dziecka? Istniało tyle możliwych odpowiedzi, lecz jeszcze nigdy Blum nie była ich tak blisko jak teraz. Chciała usłyszeć prawdę, było w niej tyle niespełnionych pragnień, tyle miejsc na jej ciele, które pragnęły dotyku. To nienasycone pragnienie miłości towarzyszące jej przez całe dzieciństwo i młodość, ta bezgraniczna tęsknota za rodziną, inną niż ta, w której przyszło jej cierpieć. I rozczarowanie, że nigdy nie było jej dane zaznać tej odrobiny szczęścia.

Tuż przed świtem wstała z łóżka. Z lekko ściśniętym żołądkiem i ćmiącym bólem głowy przejechała pustymi o tej porze ulicami Wiednia. Jeszcze do wjazdu na autostradę czuła wahanie, lecz ostatecznie wybrała kierunek na Norymbergę. Dziewczynki są bezpieczne pod opieką Karla, a ona szybko się uwinie i do nich wróci. Chce tylko z nim porozmawiać, dowiedzieć się, kim była tamta kobieta. Przed nią cztery godziny jazdy, a potem musi jeszcze skłonić Kuhna do tego, żeby jej pomógł, nie może więc tracić czasu. Zatrzymała się tylko na chwilę na stacji benzynowej, wypila kawę i sprawdziła w Internecie informacje na jego temat. Leon Kuhn, Instytut Ciała i Sztuki, laboratorium, adres. Potem wsiadła na motocykl i pełnym gazem popędziła do Norymbergi. Chciała zobaczyć tę osławioną fabrykę ciał, bunkier, w którym składuje się ochotników, zanim zostaną napompowani plastikiem i pocięci na części. Instytut Ciała i Sztuki, prawdziwa fabryka, miejsce znienawidzone i uwielbiane, odwiedzane przez tysiące gości. Bo wszyscy chcą to zobaczyć. Jak to jest, gdy się jest martwym. Jak wyglądają zwłoki. Stanąc przez sekundę oko w oko z własnym strachem, zobaczyć koszmar, przez chwilę poczuć grozę, napawać się władzą nad śmiercią, przez moment mieć ją pod kontrolą. Kuhn dawał swoim widzom taką możliwość. Bawił się śmiercią, kpił z niej. Prawdziwy artysta, który przekracza wszelkie granice, by stworzyć coś nowego. Lub psychopata. Blum nie potrafiła się zdecydować, wiedziała tylko, że dorobił się na tym zajęciu ogromnego majątku i że wkrótce się z nim spotka. Miała nadzieję, że powie jej, czy

naprawdę znał kobietę, którą usadził na grzbiecie zebry. Wyjawi jej, gdzie mieszkała i z kim. I dlaczego nie żyje. Miała taką nadzieję, modliła się o to, obmyślała scenariusze tej rozmowy. Postanowiła być uprzejma, nie chciała go oceniać ani tym bardziej wystraszyć. Chce tylko informacji, cała reszta nie ma znaczenia. Fakt, że odstręczało ją to, czym Kuhn się zajmuje, że tak naprawdę znienawidziła go za to, co robi umarłym. Chce tylko poznać nazwisko, może adres. Cokolwiek.

Poczuła podmuch wiatru. Jechała za szybko. O wiele za szybko. Nie chciała się dłużej zastanawiać, chciała zwyczajnie dotrzeć przed budynek dawnej przędzalni, zaparkować motocykl i zadać kilka pytań. Nie miała wątpliwości, że to, co robi, jest słuszne, nie bała się, że może go nie zastać, że Kuhn nie zechce się z nią spotkać, że być może będzie musiała na niego czekać cały dzień. Że być może w ogóle nie ma go w Niemczech. Po prostu ruszyła w drogę. Trzy i pół godziny wolności, galop w nieznaną, do celu, który majaczył na horyzoncie. I w końcu widzi stary gmach z cegły, szkła i metalu, ogromny szyld świadczący o tym, że dotarła na miejsce. Zaparkowała i spojrzała na budynek, był niemal piękny. Imponujący hol, wszystko lśniące niczym w Las Vegas. *Show zaczyna się już w progu, pomyślała, Kuhn chce oswoić lemingi, które ślepo wkraczają do jego hali produkcyjnej, chce od początku napęłnić je pozytywnymi myślami, odebrać śmierci znamiona grozy.* Lśniące detale, kolorowe chorągwie, wszystko przypominało cyrk, stary gabinet krzywych zwierciadeł, wprost z lat dwudziestych. Do otwarcia instytutu zostało trzydzieści minut. Wszystkie drzwi były zamknięte, nikt nie zareagował, gdy zadzwoniła, budynek wydawał się pusty. Choć dosłownie skręcała się z niecierpliwości, musiała czekać. Weszła do Internetu, położyła się na trawniku i przejrzała informacje na temat Kuhna. Jego życiorys, manifest artystyczny, kompletnie nedorzeczne próby objaśnienia i usprawiedliwienia tego, co niepojęte, płomienne mowy w obronie tego, co robi. Blum patrzyła na ekran smartfona i czuła, jak wzbiera w niej nienawiść do człowieka, który rozciął tamtej kobiecie klatkę piersiową, pomalował na różowo jej serce i obdarł ją ze skóry. Szukała dalej. Patrzyła na jego zdjęcia, fotografie maga, pogromcy śmierci, na uroczystych otwarciach wystaw, designera w niebieskim kitlu przy pracy, artystę udzielającego wywiadów. Obejrzała setki jego

zdjęć. I nagle się pojawił. Zupełnie niespodziewanie. Leo Kuhn.

Czerwone ferrari wjeżdża w bramę. *Zrządzenie losu*, pomyślała Blum. Tylko ona i on, przed ogromnym budynkiem. Widzi jego twarz za przednią szybą, trzeba przyznać, że to atrakcyjny mężczyzna. Wysiada z wozu. To było takie proste, jak prezent od losu, Blum nie musiała go szukać, prosić o spotkanie. Zwykły przypadek, z jakiegoś powodu po prostu tak się zdarzyło. Kuhn ruszył w jej stronę.

Wyglądał tak jak na zdjęciach w Internecie. Świetnie ubrany: lniane spodnie, biała koszula, szelki, wyglancowane skórzane buty. Minął Blum i podszedł do wejścia. Wydawał się pochłonięty myślami, nawet nie zauważył siedzącej na trawie kobiety, nie spostrzegł, kiedy wstała i zakradła się za jego plecami. Odwrócił się dopiero, gdy położyła mu dłoń na ramieniu. Właśnie wstukował kod zamka i nagle poczuł jej dotyk. Chciała stanąć przed nim bez słowa, zobaczyć jego twarz, jego oczy w chwili, kiedy ją ujrzy. Chciała wiedzieć, jak zareaguje, była pewna, że jeśli naprawdę znał kobietę z gabloty, uda jej się to dostrzec. Oto dzieło sztuki i jego twórca.

Kuhn. Poczul jej dłoń, odwrócił się. Potrzebował chwili, by rozeznac się w sytuacji, by rozpoznać twarz, która stanęła mu przed oczami. Zszokowany cofnął się odruchowo, jego źrenice się rozszerzyły, spojrzenie powędrowało od góry do dołu. Rozpoznał ją, Blum nie miała cienia wątpliwości. Niemal ugięły się pod nim nogi. Na chwilę, ułamek sekundy, boski Kuhn stracił rezon.

- Proszę odejść.
- Niestety, to niemożliwe.
- Proszę odejść.
- Nie.
- Czego pani ode mnie chce? Kim pani jest?
- Musimy porozmawiać, Leo.
- Kim pani jest?
- Przecież wiesz.
- To niemożliwe.
- A jednak to prawda, Leo.
- Nie.
- Nudziłam się w gablocie.

- Niech pani przestanie, proszę stąd iść.
- Daj spokój, Leo. Myślałam, że ucieszysz się na mój widok.
- Kim pani jest?
- Moje różowe serce znów bije, Leo.
- Dość tego, to jakiś absurd. Nie znam pani, nie mam pojęcia, czego pani ode mnie chce.
- Na pewno?
- Absolutnie. Nie wiem, jak pani to zrobiła, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.
- A cóż ja niby takiego zrobiłam?
- To podobieństwo...
- Przez chwilę dał się pan nabrać, prawda? Widziałam to w pańskich oczach.
- Czy ja jestem w ukrytej kamerze? Chce mnie pani wkręcić?
- Nie, to nie jest ukryta kamera, chcę tylko porozmawiać.
- O czym?
- O kobiecie z zebłą.
- Muszę przyznać, że podobieństwo jest zdumiewające.
- Pan ją znał, prawda?
- Tak.
- Kim ona była?
- Nie wie pani?
- Nie.
- Cóż mam powiedzieć? Ktoś tu się chyba bawi w czary. Mam wrażenie, że dzieją się jakieś cuda. Spotkanie z panią będzie dla mnie z pewnością wydarzeniem dnia.
- Nie przyjechałam tu po to, by pana zabawiać.
- Chcąc nie chcąc, już to pani zrobiła. Dawno nie przeżyłem czegoś równie ekscytującego. To było wręcz fantastyczne. Nie miałem pojęcia, że Björk ma siostrę.
- Björk?
- Tak miała na imię.
- Nie wiedziałam. W ogóle nic o niej nie wiem. Dlatego tu jestem.
- Da się pani zaprosić na śniadanie?
- Chcę się dowiedzieć, jak umarła.

– Powoli, powoli, chodźmy do naszej kafejki, usiądziemy wygodnie i porozmawiamy. Proszę za mną.

– Dobrze pan znał Björk?

– Była siostrą mojego najlepszego przyjaciela.

– Miała brata?

– Tak, nazywa się Ingmar.

– Gdzie go znajdę?

– Nie tak szybko! Dla mnie ta sytuacja też jest niezwykła. Pani wizyta, pani wygląd. Staje pani nagle przede mną i zaczyna wypytywać o Björk.

– Nie pozbędzie się mnie pan, dopóki się wszystkiego nie dowiem.

– Chętnie pani pomogę, w ramach rewanżu.

– Nie rozumiem.

– Najpierw pani opowie mi, kim jest, skąd pochodzi, dlaczego interesuje się Björk. O co właściwie tu chodzi. Najpierw pani. Potem odpowiem na wszystkie pytania.

– Jak pan chce.

– Kawa z cukrem czy bez?

– Bez.

– Proszę, zamieniam się w słuch.

– Nazywam się Blum.

Spędziła z nim dwie godziny. Sam na sam. Liczyło się tylko to, co ma jej do powiedzenia, jego usta, z których nie spuszczała oczu, jego dłonie, gdy podkreślał swe słowa. Blum zaspokajała ciekawość, chłonęła wszystko, co jej opowiadał, każdy skrawek informacji był darem, kluczem do zaryglowanych dotąd drzwi. Blum otwierała je po kolei, wkraczała do kolejnych pomieszczeń. Fascynująca, trzymająca w napięciu przygoda. Kuhn się nie spieszył, zdumienie malujące się na twarzy Blum wyraźnie sprawiało mu przyjemność. Był uważny i wyjątkowo uprzejmy. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, że człowiek, który zamienia ludzkie ciała w dzieła sztuki, zyska jej sympatię, że będzie tak szarmancki, że owinie ją sobie wokół małego palca. Kuhn siedział i słuchał jej opowieści, z zainteresowaniem dopytywał o jej pracę, z entuzjazmem zareagował, gdy powiedziała, że i ona zajmuje się umarłymi. Blum musiała otworzyć przed nim swój świat, chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia, co jej może powiedzieć, a co lepiej przemilczeć.

Pokrótkie opowiedziała o swoim życiu. O Hagenie, Hercie, zakładzie pogrzebowym, dziewczynkach, Marku. O tym, jak trafiła do Norymbergi. Była szczerą, przynajmniej do tego stopnia, do jakiego to możliwe. Chciała zdobyć jego zaufanie, dowiedzieć się czegoś więcej o Björk, o jej bracie. Dlatego po kolei odpowiadała na pytania. W końcu Kuhn zaspokoił swoją ciekawość i niespiesznie otworzył pudełko z czekoladkami. Najpierw zaczął mówić o eksponatach, o tym, że zakład założył jego ojciec. Że zaczął od preparatów medycznych, a potem, jak wielu jemu współczesnych, zaczął preparować całe ciała i wystawiać je w galeriach. Plastynacja ludzi budziła zaciekawienie milionów zwiedzających, którzy chcieli spojrzeć śmierci w twarz. Kiedyś to był niezły interes, ale w pewnym momencie liczba gości gwałtownie spadła, ojciec Kuhna zmarł, a firma wymagała restrukturyzacji. Trzeba było coś zrobić, żeby okręt nie poszedł na dno. Kuhn musiał obrać nowy kurs, zdecydowanie odrzucił staroświeckie wiosła i zaczął z zapalem

modernizować zakład. Student Akademii Sztuk Pięknych postawił wszystko na głowie i szybko wspiął się na sam szczyt. W pewnym momencie oczy całego świata skierowane były na Norymbergę, gdzie skandal zaczął gonić skandal. *Kuhn. Sztuka ciała*. To hasło od samego początku przyciągało jak magnes, Kuhn wiedział, że ludzka skłonność do podglądactwa idzie jeszcze dalej, że ludzie pragną wejść dużo głębiej. Że bez trudu da się przekroczyć każdą granicę. Odniósł sukces na światową skalę, jego wystawy od lat wędrowały od miasta do miasta, wszędzie gromadząc rzesze pomyleńców, którzy chcieli zobaczyć wytwory jego wyobraźni. Człowiek był dla niego jedynie surowcem, materiałem, na którym pracował artysta. A przecież widzów pociągała groza, fakt, że te dzieła były kiedyś zwykłymi ludźmi. Oto życie i to, co po nim zostaje. Horror w przebraniu sztuki.

Uwielbiali go. I nienawidzili. Kuhn musiał żyć pod gradem oskarżeń i gróźb, nawet śmierci, lecz nie porzucił swojego dzieła. Mówił z rozmachem, więcej, niż Blum miała ochotę usłyszeć. Ilekroć próbowała skierować jego wywód na Björk i jej rodzinę, wchodził jej w słowo. Nie spieszył się, chciał, żeby Blum zrozumiała, na czym polega jego dzieło, jakie ma intencje. Chciał, żeby go polubiła, żeby przestała potępiać to, czym się zajmuje. Chciał zrozumienia, bliskości. *Traktuję zmarłych z szacunkiem. Robię tylko to, na co zgodzili się donatorzy. W gruncie rzeczy chodzi o to, by wspólnie stworzyć pewien obraz. Poważnie traktuję życzenia potencjalnych donatorów. Każdy z nich może przedstawić swój wymarzony scenariusz, a ja staram się go zrealizować. Dokładnie według zamysłu zmarłego, tłumaczył. Czarnoksiężnik*, pomyślała Blum. Potrafił przekonać samego siebie, że w tym, co robi, nie ma nic złego. Że chodzi mu wyłącznie o harmonijne połączenie nauki i sztuki, artyzmu i przekazywania naukowej wiedzy. Kuhn miał charyzmę, był diabłem w ludzkiej skórze. Ilekroć spostrzegł, że Blum chce wtrącić jakąś krytyczną uwagę, uprzedzająco przyznawał jej rację, a zarazem w tym samym momencie odpierał jej niewypowiedziany zarzut. Blum nie mogła wyjść ze zdumienia. A mimo to z trudem powściągała ciekawość. Kiedy Kuhn na chwilę przerwał, by odpowiedzieć na pytanie jednej z pracownic, Blum skorzystała z okazji i przypomniała mu o powodzie swojej wizyty.

- Obiecał mi pan pomóc.
- Przecież właśnie to robię.
- Jak dotąd opowiadał pan niemal wyłącznie o swoim szalonym dziele.
- No cóż, zauważyłem, że okazała pani w tej kwestii pewne zainteresowanie, więc pomyślałem, że wprowadzę panią w mój świat.
- Powiedzmy, że pod tym względem zaspokoił pan już moją ciekawość aż nadto.
- Cierpliwości, moja droga.
- W domu czekają na mnie dzieci.
- W takim razie powinna pani zadzwonić i powiedzieć im, że jeszcze przez dzień lub dwa będzie pani w podróży.
- Doprawdy?
- Jestem o tym przekonany.
- Skąd ta pewność?
- Wspomniałem pani, że studiowałem w Berlinie.
- Zacznie pan całą opowieść od początku?
- Ingmar to mój kolega z roku.
- Brat Björk?
- Tak.
- Przecież Björk została adoptowana.
- Owszem, rodzice Ingmara nie mogli mieć dzieci, dlatego adoptowali Björk. A dwa lata później przyszedł na świat Ingmar. To był prawdziwy cud.
- Gdzie go znajdę?
- W Szwarzwaldzie.
- A dokładniej?
- Zawiozę panią.
- Nie ma takiej potrzeby.
- Być może mi pani nie uwierzy, ale i tak się tam dzisiaj wybieram. Ojciec Ingmara kończy siedemdziesiąt lat, Ingmar zorganizował na jego cześć wielkie przyjęcie. Czyż to nie prawdziwe zrządzenie niebios?
- Jego ojciec wciąż żyje?
- Alfred. Jeszcze dzisiaj go pani pozna.
- To niemożliwe.

– Dlaczego? Nie ma się pani czego obawiać, to zwykli, szalenie sympatyczni ludzie.

– Nie mogę się tam pojawić bez zapowiedzi.

– Przyjedzie pani ze mną, to z pewnością będzie dla nich niezapomniana niespodzianka.

– Muszę wiedzieć coś więcej.

– Spokojnie, wszystkiego dowie się pani w stosownym czasie.

– Jak umarła Björk?

– O to powinna pani spytać Ingmara.

– Co się stało z jej matką?

– Umarła, kiedy Ingmar miał dziewięć lat.

– Jak?

– Naprawdę jestem pewien, że Ingmar chciałby pani o wszystkim opowiedzieć osobiście.

– Skąd te skandynawskie imiona?

– Ich matka była Szwedką.

– A Björk? Jaka była?

– Wszystkiego dowie się pani na miejscu, jedźmy już, proszę.

– Obiecał pan, że odpowie na wszystkie moje pytania.

– Przecież to robię.

– Chcę wiedzieć, jaka była.

– Była cudowna.

Blum miała pewność, że Kuhn coś przed nią ukrywa. Czuła głęboki lęk przed tym, co przemilczał, co zachował dla siebie. Była naga, bezradna, bezbronna. Kuhn wił się, próbował lawirować, wiele spraw chciał zachować dla siebie, zbywał ją, rzucał jej byle ochłapy. Chociaż Blum od dwóch godzin siedziała z nim w kafejce, nie odsłonił się. Mówił tylko ogólnie, nie podawał żadnych szczegółów, raz po raz z jego ust rozlegało się to samo zdanie: *O tym powie pani rodzina Björk. Jeśli zaraz wyjedziemy, za trzy godziny będziemy na miejscu. Lepiej, żeby to Ingmar opowiedział pani o wszystkim, nie chcę mu odbierać tej przyjemności. Jeszcze trochę cierpliwości.* Zdradził jej tylko to, co absolutnie konieczne, całą resztę przemilczał. Lecz perspektywa, że za kilka godzin Blum pozna rodzinę tamtej kobiety, koła jej serce, uśmierzała niepokój. Kuhn zapewniał, że wszystko będzie dobrze, że

niedługo wszystkiego się dowie. Musi tylko wsiąść na motocykl i tamten nieznany świat stanie przed nią otworem. Odpowiedzi, których szuka, są tak blisko. Blum ufała mu, Kuhn był w tym momencie jej przyjacielem, pozwoliła mu się poprowadzić, nieważne, że rozcinał klatki piersiowe i malował organy, kiwnęła głową, gdy po raz kolejny zaproponował, by z nim pojechała. *Szwarcwald jest naprawdę piękny o tej porze roku. Nie traćmy czasu, przeszłość czeka na panią.* Uśmiechnął się. Blum odwzajemniła uśmiech, zamiast plunąć mu w twarz. Przystała na jego propozycję. Coś jej mówiło, że powinna to zrobić. Że nie warto marnować czasu, że trzeba jechać, zanurzyć się w tę historię. Bez słowa włożyła kask i dodała gazu.

Czarny motocykl i czerwone ferrari. Z góry wyglądają jak dwa punkciki. Lato, wąska droga, asfalt i słońce, podróż w nieznanne. Po prostu wsiadła i ruszyła przed siebie. Nie zastanawiała się dłużej, czy to rozsądne, nie miała wyboru, gnana ciekawością ruszyła za Kuhnem. *Chodźmy, im prędzej dotrzemy na miejsce, tym lepiej.* W drodze do miejsca, gdzie wychowała się Björk. Do jej rodziny, brata, ojca. Blum miała ich poznać, u boku Kuhna miała wkroczyć w świat swojej siostry, do ogromnego namiotu, gdzie jej ojciec świętował urodziny. Mężczyzna, który adoptował Björk, zupełnie obcy. Za dwie godziny uściśnie mu dłoń, porozmawia z nim, o wszystkim. Jeszcze chwila i pozna rodzinę, która mogła być jej rodziną. Ojca, który nie żądałby od niej, by obcinała umarłym paznokcie, wpychała im w odbyt watę. Być może wiodłaby zupełnie zwyczajne życie. Ryk unosił się nad asfaltem, a ona wyobrażała sobie tamto życie, śniła na jawie kolorowe sny, pędząc za czerwonym ferrari. Kuhn i Blum. Nie pozwoliła mu się zbyć ogólnikami, podjęła grę, stanęła do wyścigu. Sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. I nadzieja, że przyjmą ją z otwartymi ramionami, że ludzie, których spotka, okażą jej serdeczność. Że ją polubią. Że dowie się więcej, niż zechciał jej zdradzić Kuhn. Dużo więcej.

Co kryła przeszłość? I co nastąpi, gdy wkrótce zaparkuje motocykl? Okaże się, kiedy zsiądzie, zdejmie kask. Bała się tej chwili. Pędząc dwieście dwadzieścia na godzinę wprost w ten obcy, nieznany świat, tuż przed dotarciem do celu miała ochotę zatrzymać się i zawrócić. To byłoby takie proste: wrócić do dziewczynek, żyć tak,

jakby nic się nie wydarzyło. O niczym nie wiedzieć, nie pędzić po tej wąskiej drodze, pośród tych lasów, wszystko uciąć, zdusić ciekawość. Po prostu żyć, zapomnieć o tym obrazie, o fotografii, kobiecie na grzbiecie zebry, w gablocie, o Björk. Cieszyć się swoim życiem, takim, jakie jest, zamknąć oczy w ogrodzie, po prostu leżeć w cieniu jabłoni, być szczęśliwą. Przez chwilę to rozważała, ale zdecydowała inaczej, nie zatrzymała się, nie zawróciła. Z głową naprzód wskoczyła do lodowatej wody, ruszyła serpentyną na ostatnie wzgórze, jeszcze dwie minuty przez gęsty las i w końcu rozpostarł się przed nią zapierający dech w piersi widok.

Zahamowała. To, co zobaczyła, odebrało jej mowę. Zamiast jechać dalej za Kuhnem, zatrzymała się i zsiadła z ducati. Stała na wzgórzu i spoglądała w dół, na posiadłość, w której wychowała się Björk. Kuhn nie powiedział jej całej prawdy, na dobrą sprawę właściwie skłamał. Mówił o hotelu w uroczym zakątku, lecz oczom Blum ukazał się widok nieporównanie piękniejszy, niemal majestatyczny. Kolos pośrodku polany, potężna budowla, olbrzym z setkami balkonów, co najmniej dziesięciopiętrowy, z kortami tenisowymi, basenami i domem dla personelu. Idealnie wkomponowany w żywą przyrodę. Dom, w którym wychowała się Björk, dom jej bliźniaczki. Raj. Solveig.

Skandynawskie imię żeńskie. Widoczny z daleka napis. Na dachu budowli wielkimi literami wypisano imię matki Björk. Solveig. *Chciałem, żeby zobaczyła to pani na własne oczy. Za każdym razem gdy tu przyjeżdżam, robi to na mnie równie wielkie wrażenie.* Kuhn zawrócił, stanął obok niej i spojrzał w dół, na hotel. Dał jej czas, by oswoiła się z tym, co ujrzała, cicho i spokojnie opowiedział jej całą historię. Podczas gdy Blum patrzyła przed siebie, nie mogąc nasycić oczu cudownym widokiem, Kuhn mówił o Alfredzie i Solveig. Małżeństwie, które tak jak Hagen i Herta przed trzydziestu cztery lata przygarnęło dziewczynkę z sierocińca. O Szwedce, która została matką i od której imienia wziął nazwę hotel. *Przyjechała do Niemiec czterdzieści pięć lat temu i już tu została. To była wielka miłość. Losy jej i Alfreda splotły się od pierwszej chwili, na zawsze. Cały kraj o tym mówił, o otwarciu hotelu, o pałacu wśród drzew.* Kuhn wyjaśnił, że projekt był szalenie kontrowersyjny, lecz Alfred Kaltschmied postawił na swoim, postanowił wyróżnić się

z tłumu i stworzyć coś, czego świat dotąd nie widział, coś monumentalnego. *Budowa trwała pięć lat*, mówił Kuhn, odpowiadając na zadawane przez Blum pytania. Powiedział, jaka jest powierzchnia posiadłości, ile jest w hotelu pokoi, dlaczego budynek sprawia wrażenie, jakby był opuszczony. *Dwieście hektarów. Sześćset łóżek. W tej chwili hotel jest nieczynny.* Blum nie widziała w basenach wody, ludzi na balkonach, spacerowiczów w ogromnym parku i na tarasach. Tylko na łące poniżej domu dla personelu tłoczył się tłum urodzinowych gości, grała orkiestra dęta, stały stoliki, wielki bufet, bary i przeogromny namiot, na wypadek gdyby zaczęło padać. *Alfred kończy dziś siedemdziesiąt lat*, przypomniał Kuhn. *Chociaż nienawidzi takich imprez, Ingmar nie odmówił sobie tej przyjemności. Zapewne domyśla się pani, że relacje między ojcem a synem nie zawsze układają się idealnie, dlatego to tym bardziej wzruszające, że Ingmar zrobił staremu dobremu Alfredowi niespodziankę, organizując to przyjęcie.* Kuhn uśmiechnął się krzywo. Blum tylko kiwnęła głową. Bała się, że za chwilę zwymiotuje.

Oto alternatywa. Björk wychowała się tutaj, jej placem zabaw był park ze sztucznym stawem, nie zimna kostnica. Blum w jednej chwili przypomniała sobie niezliczone godziny spędzone sam na sam z umarłymi, swoją dziecięcą ciekawość, którą zaspokajała, wbijając igłę w skórę martwych ludzi, przypalając ich zapalniczką, bo chciała sprawdzić, czy się poruszają, czy naprawdę nie odczuwają bólu. Nie miała basenu na wolnym powietrzu, pola do minigolfa, setek pracowników, z którymi mogłaby porozmawiać. Miała tylko zwłoki. Nie spotykała gości ze wszystkich stron świata, nikt nie odwiedzał ich starej willi. Rodzice nie mieli przyjaciół, którym mogłaby usiąść na kolanach, byli jedynie żałobnicy ze łzami w oczach. Blum знаła tylko tęsknotę za miłością, czułym dotykiem. Nie biegała po lesie, nie miała Solveig ani Alfreda, nie miała dzieciństwa. Tylko zakład. Nic poza tym.

Poczuła, że wzbiera w niej gniew. I głuche rozczarowanie. Kuhn stał obok niej. Jakby czytając w jej myślach, objął ją ramieniem. *Czas wziąć byka za rogi, potem możemy osuszyć butelkę wina. Obojgu nam dobrze to robi.* To powiedziawszy, pchnął ją lekko w stronę motocykla i poklepał po ramieniu. *Da pani radę, jakby co, jestem tuż obok.*

Spojrzała na niego z wdzięcznością, przekręciła kluczyk w stacyjce i zjechała ze wzgórza.

Spała trzy godziny, potem się obudziła. Dręczył ją jakiś koszmar. Siedziała na łóżku i widziała tamte obrazy, wszystko, co zrobiła. Miała wrażenie, jakby zdarzyło się to jeszcze raz, obrazy były tak realistyczne, ksiądz, który błagał o życie, łgając w żywe oczy. Jeden z zabójców jej męża. Widziała, jak odcina mu głowę, zwyczajnie odrąbuje mu ją siekierą. Jak głowa odpada od ciała. Bez przerwy słyszała ten odgłos, gdy czaszka uderzyła o podłogę, przypominał dźwięk budzika, którego nie można wyłączyć. Mroczna tajemnica. Mroczna tajemnica, którą skrywała przed światem, wyrwała ją ze snu. Chociaż myślała, że nie może być gorzej niż kilka godzin wcześniej, te stare obrazy na chwilę przesłoniły wszystko, co się zdarzyło wieczorem. Blum widziała głowę księdza, którą włożyła do plastikowej torby, jego ciało, które wrzuciła do morza. Wszędzie krew, to było jak senny koszmar, choć działo się naprawdę, sprawiło jej ból jeszcze większy niż Ingmar i Alfred, niż alkohol, który kipiał w jej żyłach. Sześć godzin po tym, jak zasnęła, znów pragnęła, by jej życie po prostu się skończyło. Chciała umrzeć, bo życie było zbyt ciężkie.

Chciała wymazać wszystkie obrazy. Przeszłość, tak bliska, napawała ją lękiem. Była sama. Z tym, co zrobiła. Sama w Solveig. Wymierzyła sobie siarczysty policzek, była na siebie wściekła, chciała być gdzie indziej, nie tutaj, chciała, żeby wstał dzień, chciała wytrzeźwieć, wrócić do dziewczynek, do swojego świata. Znów żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło, z dala od Szwarewaldu, z dala od tych ludzi, wsiąść zwyczajnie na motocykl i zniknąć. Gdzieś, gdzie wszystko jest dobre. Wyjechać bez słowa i nigdy nie wrócić. Chciała wymazać z pamięci wszystko, co się zdarzyło, wieczór, drżącego starca, jego bezkrwistego syna, kobietę z zebłą. Wymazać każdą myśl. Bo myśli sprawiały, że była bezbronna, rozpaczliwie bezradna.

Leżała w domu dla personelu. Pijana, w cudzym łóżku, z jeszcze niedawno żywą nadzieją, która właśnie legła w gruzach. Nie spełniło się nic z tego, o czym marzyła. Nic. Na koniec zostało jej tylko wino, które

miało uczynić ten wieczór znośnym, urodzinowy namiot, ślicznie nakryte stoły, kwiaty i muzyka. Wszystko urządzone z istic weselnym przepychem, cudowne przyjęcie pośrodku lasu, urodziny Alfreda Kaltschmieda, doniosłe wydarzenie towarzyskie. Przyjęcie niespodzianka dla wielkiego dobroczyńcy regionu, hołd dla wizjonera, który dwadzieścia lat temu przywiózł tu pieniądze i miejsca pracy. Fetowano go poniekąd wbrew jego woli. Alfred Kaltschmied znów znalazł się w centrum wydarzeń, niechętnie, łaskawie. Blum długo go obserwowała, zanim do niego podeszła.

Podeksycytowana, w letniej sukience. Przebrała się, a potem wraz z Kuhnem wmieszali się między gości. Była mu wdzięczna, że jest przy niej, ramię w ramię przeciskali się przez ciżbę, przyjęcie właśnie rozkręciło się już na dobre. Wszystko wydawało się iść zgodnie z planem, choć Blum przez moment dziwiła się, że impreza odbywa się na łące zamiast na imponującym tarasie hotelu. Wokół niej roześmiane twarze, szampan. I Alfred. To, o czym Kuhn ją zapewniał, a w co ona naiwnie wierzyła, że może się zdarzyć. Że pozna Ingmara i Alfreda i – orkiestra, tusz – z fanfarami zostanie przyjęta na łono rodziny. Scenariusz na ten wieczór czytało się z przyjemnością, Blum była podeksycytowana, ale spokojna. Uśmiechała się. Rozglądała się z zaciekawieniem, tłumiąc dreszcz, który raz po raz przeszywał jej ciało.

Alfred Kaltschmied. Blum wodziła za nim oczami, chciała nieco odwlec moment pierwszego spotkania, wziąć głęboki wdech, przygotować się. Na głowie miała chustkę, a twarz skryła za okularami przeciwsłonecznymi, przez chwilę się ukrywała, w oczach gości była jedynie towarzyszką Kuhna. Nikt niczego się nie domyślał, nikt nie wiedział, kim jest naprawdę, czego tu szuka, Blum po prostu stała i patrzyła. Na ojca Björk, mężczyznę, który adoptował jej siostrę. Ubrany w beżowy letni garnitur rozmawiał z kimś, trzymając się na uboczu. Złamany człowiek. Blum chłonęła każdy jego ruch, każdy gest, jego zawstydzenie i rozpaczliwe próby ukrycia drżenia ręki, gdy unosił kieliszek. Alfred Kaltschmied nie chciał, żeby ktoś to zobaczył, kiedy podnosił do ust łyżkę z zupą, jego spojrzenie wędrowało dyskretnie w lewo i w prawo. *Parkinson*, powiedział Kuhn, powolny upadek, który starszy pan koniecznie chciał ukryć przed światem. Blum zobaczyła to

w jego twarzy. To, jak bardzo musiał się przewycięzać, by zamienić kilka słów z każdym z gości, widziała tę niechęć, obrzydzenie po każdym łyku piwa. Odrazę do ludzi.

Trzymając Kuhna pod rękę, podeszła do niego. Ruszyli dokładnie w chwili, gdy Ingmar stanął u boku ojca. Alfred i jego syn, przez chwilę z dala od gości, doskonały moment, by się objawić ich oczom. Kuhn objął przyjaciela i uścisnął dłoń Alfredowi, z jego ust popłynęły serdeczne życzenia, po czym odpalił bombę. Mówił o wielkiej niespodziance, o tym, że za chwilę obu panom odejmie mowę. Kuhn zapowiedział ją niczym handlarz na targu, mówił o nieprawdopodobnej sensacji, niezapomnianej chwili. Był jak spiker w ringu bokserskim, dramatyzował, popadał w przesadę, krzyczał, Blum najchętniej dźgnęłaby go łokciem pod żebro, zakneblowała mu usta. Lecz nie zrobiła tego, zaczekała, aż skończy. Aż z krzywym uśmiechem poprosi ją, by zdjęła chustkę i okulary.

Zrobiła to, tak po prostu. Czowała się jak małe dziecko. Strach przed tym, że będzie oceniana, obawa, że nie sprostą oczekiwaniom, nie zostanie zaakceptowana, ciążyły jej niemiłosiernie. Strach przed milczeniem, które nagle zapadło. Nie, to nie była cudowna chwila. Raczej straszna. Chwila, kiedy nagle wszystko się wyjaśniło, kiedy twarz Blum zagłuszyła głosy całego tłumu gości. Kąciki ust Alfreda gwałtownie opadły, oczy wyrażały niezrozumienie, obawę, wzburzenie. Blum to widziała. Musiał się poczuć tak jak ona kilka dni wcześniej, na plaży. Alfred Kaltschmied ujrzał ducha, zignorował wyciągniętą ku niemu dłoń, nie padło ani jedno słowo, bił od niego chłód niczym od bryły lodu. Wpatrywał się w nią w milczeniu. Potem odwrócił się i zwyczajnie odszedł. Kuhn wołał za nim, ale bez skutku. Alfred zniknął. Wszyscy patrzyli, jak starszy mężczyzna z mozołem wspina się po stoku, nie oglądając się za siebie, i wkrótce zostaje połknięty przez ogromną budowlę. Cała ta scena trwała ledwie minutę. Minutę, która była jak wieczność.

Blum z trudem chwyciła powietrze. Mała dziewczynka próbowała zrozumieć, co się stało. Znów tęskniła za przytuleniem, znów na próżno. Nikt jej nie kochał, nie okazywał czułości. Zamiast pieszczot otrzymała dwa ciosy, jeden po drugim. Najpierw Alfred, potem Ingmar. Również

on ją zostawił, odtrącił jej dłoń. Cichy, blady Ingmar, powściągliwy, niemal wstydlivy, odrzucił ją, zamiast przyjąć. Brat, który tak naprawdę nie był jej bratem. Przeszył ją nieskończony ból, gdy bez słowa odwrócił się od niej i odszedł, wmieszał się między gości, ukrył przed nią. Ingmar Kaltschmied. Kompletnie przeciwieństwo Kuhna, dwaj przyjaciele, którzy nie mogli się bardziej różnić, byli jak przypływ i odpływ. Kuhn zalewał plażę, Ingmar się cofał. Jak jego ojciec, popatrzył tylko przez chwilę na Blum. Kuhn wprawdzie próbował ratować sytuację, ale bez powodzenia. W kilku słowach wyjaśnił, co się wydarzyło, jak to możliwe, że twarz Björk nagle staje przed oczami Ingmara. Kuhn nie rozumiał, dlaczego tak zareagowali, dlaczego Ingmar nic nie powiedział, dlaczego się odwrócił i odszedł. Wszystko poszło nie tak, nadzieje Blum znowu zostały zawiedzione. Musiała to znieść, czuła się niczym w klatce, jak zwierzę w zoo, nie chciała tego znosić ani chwili dłużej. Ani sekundy.

Naciągnęła z powrotem chustę i założyła okulary. Dzięki temu udało się uniknąć poruszenia wśród gości, nie rozległy się szepty zdumienia i niedowierzania. Blum chciała zniknąć, napić się wina, upić, zapomnieć, jak najszybciej uśmierzyć ból. Podeszła do baru i wzięła całą butelkę wina. Nie potrzebowała kieliszka, było jej obojętne, co o niej pomyślą, jak to wygląda. Pociągnęła długi łyk. Byleby poczuć ulgę, jak najszybciej, a potem zniknąć stąd raz na zawsze. Czuła się upokorzona, odtrącona. Ani śladu rodzinnej bliskości, tylko chłód cudownej porcelany i śnieżnobiałych obrusów. Urodziny bez jubilata, jego syn, który nie był w stanie wykrztusić słowa, który stał tylko i z dala się na nią gapił, gdy ona się upijała. Ingmar. Również on opowiedział się przeciw niej, nie chciał jej znać, przez cały wieczór, przez długie godziny zamiast przyrodniego brata, który stanąłby u jej boku i porozmawiał, towarzyszyło jej tylko czerwone wino. Nie padły żadne pytania, żadne odpowiedzi, był tylko Kuhn, usiłujący ją rozweselić, uchronić przed załamaniem. Przed upadkiem. Bo alkohol z każdym łykiem sprawiał, że ziemia pod jej stopami stawała się coraz bardziej niepewna.

Siedząc w łóżku, Blum przywoływała w myślach poprzedni wieczór. Łupanie w głowie przypomniało jej wszystko, co nastąpiło

potem. Kuhn zaprowadził ją na górę i położył do łóżka. Nie chciał od niej niczego więcej, pocałował ją tylko w czoło i sobie poszedł. Zostawił ją samą, pozwolił pograć się w mroku. A ona nie chciała niczego czuć. Nie chciała już w ogóle niczego.

- Przepraszam.
- Odejdź.
- Chcę tylko z tobą porozmawiać.
- Daj mi spokój. Po prostu odejdź.
- Chciałbym cię prosić o wybaczenie.
- Za późno.
- Wczoraj po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć.
- A dziś już wiesz?
- Tak.
- Zachowaj to sobie dla kogoś innego.
- Do tej pory próbuję to pojąć.
- Mogłeś ze mną porozmawiać. Odpowiedzi są bardzo proste, wystarczyłoby, żebyś posłuchał.
- Wiem, że nasze zachowanie bardzo cię zraniło. Naprawdę żałuję, że tak się stało. Przepraszam cię również w imieniu ojca, obaj zachowaliśmy się niewybaczalnie.
- Myślę, że będzie lepiej, jak wrócę do domu.
- Nieprawda. Cieszę się, że przyjechałaś, że mogę cię poznać. Jestem ci za to naprawdę wdzięczny.
- Lepiej dajmy sobie z tym spokój.
- Proszę, zostań.
- Niby po co? Dlaczego?
- Choćby dlatego, że siedzę tutaj od dwóch godzin i na ciebie patrzę. Bo jesteś tak piękna jak ona.
- Powtarzam: dajmy z tym spokój.
- Nazywasz się Blum, prawda?
- Tak.
- Ja jestem Ingmar.
- Wiem.
- To chyba jakiś cud.
- Owszem.

– Mam wrażenie, że to ona tu siedzi. Macie nawet podobne głosy.
– Opowiedz mi o niej.
– Co tylko chcesz, ale chodźmy na dół, Gertrud przygotowała dla nas śniadanie.

– Kto to jest Gertrud?
– Nasza ochmistrzyni, nakryła dla nas przed domem. Możemy spokojnie porozmawiać, na pewno masz mnóstwo pytań.
– Owszem.
– Są tylko domownicy, goście już wyjechali, więc nikt nie będzie nas niepokoił.

– A Kuhn?
– Leo musiał wracać do laboratorium, prosił, bym cię pożegnał w jego imieniu.

– A twój ojciec?
– Jest w hotelu.
– W hotelu? A my gdzie jesteśmy?
– W domu dla personelu.
– Dlaczego nie spałam w hotelu? Chyba macie tam dosyć miejsca, prawda?

– W hotelu jest generalny remont.
– On nie chce mnie widzieć, prawda?
– Nie powinnaś tego brać do siebie.
– Dlaczego nie chce ze mną porozmawiać?
– Jest stary i schorowany. Do tej pory nie otrząsnął się po śmierci Björk.

– Kiedy umarła?
– Trzy lata temu.
– Jak?
– Zginęła w wypadku.
– W jaki sposób?
– Zejdźmy, porozmawiamy spokojnie przy śniadaniu, obiecuję, że o wszystkim ci dokładnie opowiem.

Miał delikatny głos, niemal bezbronny. Głos, za którym Blum poszłaby na ślepo przez ciemny las. Spontanicznie zdała się na swój instynkt. Nie namyślała się, czuła tylko, że to, co robi, jest słuszne. Że

nie kryje się w tym nic złego, że może mu ufać, że nie musi się niczego lękać. Chciała, aby tak było.

Wzięła jeszcze szybki prysznic i ze ściśniętym żołądkiem poszła na dół. Wciąż bolała ją głowa, zmuszała się, by zachować jasność myśli. Nie spodziewała się, że to się stanie, że Ingmar będzie na nią czekał na słońcu, przed domem, że jej opowie, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Posmarowała chleb masłem, napiła się wody i odsunęła od siebie talerz. Rozparła się wygodnie w fotelu i zamknęła oczy. Ingmar mówił przez pół godziny, z rzadka tylko mu przerywała. To, co słyszała, było jak film, widziała go w wyobraźni – dramat, saga rodzinna, która rozpoczęła się niczym baśń.

Miejsce akcji: hotel. Solveig. Monumentalna budowla, która przyćmiewa wszystko wokół, również niewiarygodną historię, która rozegrała się za jej murami. Ingmar opowiadał od samego początku, mówił, jak się to wszystko zaczęło, nie szczędził szczegółów, niczego nie opuszczał, uprzedzał pytania Blum, opowiadał o swoim życiu. O życiu swojego ojca. O tym, że Alfred był kiedyś kucharzem, że uczył się u największych mistrzów, że zawsze marzył, by otworzyć własny hotel. Marzenia Alfreda sięgały daleko, bardzo daleko. Chociaż na początku była tylko mała gospoda, w miejscu, gdzie teraz stoi hotel z sześciuset łóżkami, zawsze wierzył, że mu się uda. Na wzgórzu, w samym sercu Szwarzwaldu pielęgnował marzenia, modlił się o cud i został wysłuchany. Dostał to, czego potrzebował, by małą knajpkę przekształcić w imperium, hotel, który stał się wzorem dla innych, pierwszy w kraju. W ciągu jednej nocy znalazł pieniądze i miłość. Solveig, córkę wielkiego przemysłowca ze Szwecji, dziedziczkę milionów, którą spotkał podczas spaceru po lesie.

Ojciec mówi, że bardzo się kochali. Zawsze powtarzał, że Solveig była gwiazdką, która spadła wprost z nieba. A on pochwycił ją w dłonie. Ingmar opowiadał, a Blum wyobrażała sobie, jak na to wzgórze zawitało szczęście. Wraz z Solveig, która z walizką pieniędzy przyjechała ze Sztokholmu, by zamieszkać w małym domku Alfreda. Wesele, miesiąc miodowy, Ingmar opowiadał o wszystkim, co wiedział, co sam znał z opowieści. O czasach przed jego narodzinami, o dziejach Alfreda i Solveig. Snuł miłosną opowieść o dwojgu ludzi, którzy wspólnie

wykopali fundamenty i kładli cegłę po cegle. Mówił o hotelu wzniesionym przez nich na tej ziemi, o fantazji Alfreda, którą Solveig przekuła w rzeczywistość. Wspierała męża, zaraziła się jego entuzjazmem, wspólnie wybudowali hotel, jakiego świat nie widział. Otrzymali wszelkie potrzebne wsparcie, wszyscy chcieli uszczknąć kawałek z wielkiego tortu, wszyscy im zazdrościli. Alfred i Solveig. Na początku była wielka miłość. Aż na ich szczęściu pojawiła się rysa.

Ingmar raz po raz podkreślał, że powtarza tylko to, co usłyszał od ojca. Że nie wie, jak to wyglądało naprawdę, że może się tylko domyślać, co się zdarzyło, jak wielkie było ich szczęście, ból, tęsknota. Blum czuła, że Ingmar mówi o tym niechętnie, że stara się streszczać. Pokrótkie opisał losy dwojga ludzi, wspomniał tylko o tym co najistotniejsze, opowiadał precyzyjnie, prawie że obojętnie. O sukcesie hotelu, tysiącach gości szturmujących szwarcwaldzki raj i tęsknocie za dzieckiem, która zaczęła kłaść się cieniem na szczęściu. O niezliczonych próbach zajścia w ciążę, o Solveig marzącej o tym, by móc przytulić córeczkę. Byli zrozpaczeni. Nieważne, że hotel kwitł, ich szczęście zostało zżarzone, w końcu Solveig nie potrafiła już myśleć o niczym innym. Alfred próbował ją uspokajać, pocieszać, odwozić od ponurych myśli. Liczyło się tylko jedno. Dziecko, którego nie mogli mieć. Smutek położył się cieniem na całym życiu Solveig. W końcu zdecydowali się na adopcję.

Alfred poruszył niebo i ziemię, wykorzystał swoje kontakty i w ciągu kilku miesięcy spełniło się ich marzenie. Adoptowali dziewczynkę. Miała trzy latka, była sierotą. Słońce znów weszło nad hotelem, wróciło szczęście. Björk. A dwa lata później pojawił się Ingmar. Wbrew wszelkim diagnozom i orzeczeniom lekarzy, którzy wykluczali możliwość naturalnego poczęcia, Solveig zaszła w ciążę. Idealne zakończenie, jak w baśni, Alfred i Solveig byli w siódmym niebie. On kierował hotelem, ona zajmowała się dziećmi, wszystko układało się doskonale. Mieli wszystko, życie nie mogło być piękniejsze. Gdyby nie melancholia Solveig. Gdyby nagle nie zniknęła. Na zawsze.

Ingmar. Zawahał się. Blum widziała, ile kosztuje go wypowiedzenie tych słów. *Zabiła się. Z dnia na dzień zniknęła. Miałem dziewięć lat.* Nagle przerwał opowieść, załamał się. Blum widziała przed

sobą dziewięciolatka, który stracił matkę. Widziała, jak ten dziewięciolatek walczy ze łzami. Ingmar nie chciał o tym mówić, nie chciał odpowiadać na wiszące w powietrzu pytania. Jak to się stało? Czy była chora, czy cierpiała na depresję, dlaczego zostawiła dzieci? Nie powiedział ani słowa więcej. Tylko że się zabiła, że on i Björk wychowali się bez matki. I że u boku Alfreda nigdy nie pojawiła się inna kobieta. W ich życiu był tylko pogrążony w żałobie ojciec, który wycofał się niczym ślimak do swojej skorupki, który zostawił dzieci samym sobie, nie potrafił się nimi zaopiekować. Ingmar wykrzyczał to wszystko, choć jego usta milczały, Blum widziała to w jego twarzy, czytała między wierszami. Zranienie, ból porzucenia przez ojca. Ból Ingmara i Björk. Bo nie dostali tego, czego pragnęli najbardziej. Miłości.

Przez lata w oczach Alfreda był tylko żal. Ingmar i Björk próbowali jakoś przeżyć w tym cudownym hotelu. A Gertrud, korpulentna ochmistrzyni, dbała o to, żeby okręt nie poszedł na dno. Wlewając w siebie jedną szklankę wody za drugą, Ingmar zaczął rozpląwać się nad tą kobietą. Blum słuchała z zainteresowaniem, próbowała ignorować ból głowy, wypłukać z ciała truciznę, uporządkować zalewający ją potok nowin. Gertrud. Ochmistrzyni. Namiastka matki. *Bez niej byśmy nie przetrwali. Tylko dzięki niej to wszystko nie rozsypało się w proch, tuliła nas, opiekowała się nami. Odkąd pamiętam, była przy nas. Zawsze mogłem na niej polegać.* Ingmar uśmiechnął się, kiedy przyszła, by sprzątnąć ze stolika. Z brudnymi talerzami w rękach stała, wpatrując się w Blum. Surowym wzrokiem mierzyła intruza, kobietę, która była wręcz nieprzyzwoicie podobna do Björk. Gertrud tylko patrzyła, nie powiedziała ani słowa, potem odeszła. Nie pozwoliła sobie na żaden komentarz, ukryła zdumienie i wycofała się bez słowa. A przecież Blum to czuła, było wręcz oczywiste, że ochmistrzyni ma problem z nieproszonym gościem. Odeszła, lecz pozostawiła po sobie nieprzyjemne wrażenie.

Oprócz Ingmara, Alfreda i Kuhna ona jedna widziała twarz Blum, wiedziała, kim jest nieznaną kobietą, czego tu szuka, to ona wieczorem wskazała Kuhnowi pokój, w którym ułożył Blum. Kuhn o wszystkim jej opowiedział, Blum jak przez mgłę przypominała sobie, że również Gertrud była wzburzona, że w pierwszym momencie nie

potrafiła sobie poradzić z tym niezwykłym podobieństwem. Że jej oczy mówiły, by Blum jak najszybciej się stąd wyniosła. *Nie zawrócisz temu biednemu chłopcu w głowie*, mówiły te oczy. *Wynoś się stąd, nie chcemy cię tutaj. Co umarło, nie zmartwychwstanie. Wynoś się.* Blum czuła to. Te niewypowiedziane słowa wciąż jeszcze kołatały jej w głowie, choć Gertrud dawno zniknęła z talerzami w domu dla personelu.

– Ona mnie nie lubi.

– Nieprawda, Gertrud lubi wszystkich.

– Ale nie mnie.

– Cały hotel jest na jej głowie.

– To chyba niezbyt trudne. Przecież to istny raj.

– Pozory mylą, Blum. Po śmierci matki już nic nie było jak dawniej, w pewnym sensie wszystko się wtedy skończyło.

– Wiem, jak to jest.

– Co.

– Stracić kogoś bliskiego.

– Mówisz o swoich rodzicach?

– Nie żyją.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tutaj też nie zawsze było cudownie.

– Masz rację: trudno w to uwierzyć.

– Björk również popełniła samobójstwo. Tak jak moja matka.

– Nie!

– Niestety to prawda. Skoczyła z najwyższego piętra, w hotelowym holu. To ja ją znalazłem.

– O mój Boże.

– Nic nie mogłem zrobić. Leżała bez ruchu, martwa. Nie ruszała się, nie powiedziała ani słowa.

– Przykro mi.

– Kiedy zobaczyłem twoją twarz, wszystko wróciło. Pamiętam, jak nią potrząsałem. Bo nie wiedziałem, jak jej pomóc. Chwyciłem jej głowę i nią potrząsałem. Potem wziąłem ją w ramiona i przytuliłem. Było tak cicho.

- Czyli spóźniłam się o trzy lata.
- Niestety. Do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Nigdy nie myślałem, że ma jakieś problemy. Miała przecież cudowne życie.
- Pokażesz mi, gdzie to się stało?
- Niestety to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Ojciec nie chce, żebyś weszła do domu. Chce, żebyś wyjechała.
- Tak powiedział?
- Tak.
- To dość bezduszne.
- Przykro mi, Blum, ale kiedy coś wbije sobie do głowy, nie da się go przekonać.
- W porządku, jak chce.
- Próbowałem z nim porozmawiać, ale to strasznie uparty człowiek.
- W takim razie jadę. Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej.
- Mogę pojechać z tobą?
- Słucham?
- W drodze moglibyśmy porozmawiać. Leo powiedział mi, że prowadzisz zakład pogrzebowy, masz dzieci. Chciałbym cię lepiej poznać. Opowiedzieć o nas.
- Dziękuję, ale mam dość waszej rodziny.
- Moglibyśmy pojechać moim wozem, motocykl weźmiemy na przyczepkę. Proszę, porozmawiajmy, Blum. Tylko my zostaliśmy na tym świecie.
- Co niby to da?
- Przecież chcesz się dowiedzieć, kim była Björk. Jak żyła, czym się zajmowała, jakie miała pasje. I dlaczego siedzi teraz na tej pieprzonej zebrze.
- Tak bardzo chciałabym ją poznać.
- To wciąż możliwe, Blum.

Choć bardzo starał się to ukryć, Blum zauważyła to bardzo szybko. Szedł przodem, powłócząc lewą nogą. W drodze do auta próbował maskować swoją ułomność. Najwyraźniej nie chciał na ten temat rozmawiać, nie chciał, żeby Blum go o to pytała. Każdy jego ruch zdradzał obawę, że będzie musiał to wyjaśnić. Unikał jej wzroku, wstydził się niepełnosprawności. *Proszę, nie pytaj*, mówiły jego oczy. To musiał być jakiś paraliż, ciągnął za sobą nogę niczym martwy kłoc drewna. Było to tylko jedno z wielu pytań, na które nie odpowiedział, choć kiedyś będzie musiał to zrobić. Blum wierzyła, że tak się stanie. Starala się nie gapić, pomogła mu umocować motocykl na przyczepce i wsiadła do wozu.

Jechała obok obcego mężczyzny przez las. Potem wiejską drogą i autostradą. Nie namyślała się długo, po prostu powiedziała „tak”. Nie miała nic do stracenia. Długa podróż do domu, sympatyczny mężczyzna, który na wszelkie sposoby próbował naprawić to, co zepsuł jego ojciec. Blum, przybita i upokorzona, starała się powstrzymać łzy, godnie znieść to, że Alfred wypędził ją niczym błąkającego się psa. Ingmar ukoił jej ból, postanowił odwiedzić ją do jej świata. Chciała z nim porozmawiać w bezpiecznym, znajomym otoczeniu, dowiedzieć się jak najwięcej o Björk. Zostawiła hotel Solveig za plecami, uciekła z rajku, postanowiła, że wróci do swego życia i będzie się nim cieszyć. Mimo wszystko. Pięć godzin w samochodzie. Blum delektowała się bliskością Ingmara. Długo milczeli, potem on zaczął mówić. Opowiadał wesołe historie z własnego dzieciństwa, historie o Ingmarze i Björk. Długie ciche reminiscencje. Robił co w jego mocy, by zasklepić otwartą ranę Blum.

Mówił o Björk. Opowiadał, jaka była, o życiu, które wiodła, zanim nieszczęście położyło się cieniem na ich rodzinie. Wszystko brzmiało tak zwyczajnie. Rodzeństwo buszujące po ogromnym domu, dzieciństwo pośród hotelowych gości, na łonie przyrody, w zbudowanym własnoręcznie domku na drzewie, zabawy z dziećmi turystów z całego świata. Ingmar odmalowywał obraz, który przypominał Blum o Umie

i Neli, o beztroskich latach, zanim śmierć wszystko przekreśliła. Wspominał czasy, zanim Solveig zniknęła z życia jego i Björk. Blum czuła wzruszenie, widząc, z jaką radością Ingmar wraca do tego okresu swojego życia. Z godziny na godzinę lubiła go coraz bardziej. Był taki skromny, taki usłużny i opiekuńczy. Pytał, czy nie chce się czegoś napić, czy nie musi skorzystać z toalety. Dziękował jej, że pozwoliła się odwiedzić, powiedział, że nie może się doczekać, kiedy pozna jej dzieci, zobaczy, jak mieszka, spotka Rezę i Karla. Interesował się jej pracą, jej życiem, pytał, co lubiła jeść, gdy była dzieckiem, czy lubi gotować. Dawał i brał. Własne wspomnienia w zamian za wspomnienia Blum. Swoje życie w zamian za jej. Granice się zacierały. Nawiązała się niespodziewanie szczerą rozmową, jakby byli dwojgiem przyjaciół, którzy od wieków się nie widzieli.

Ingmar był jak otwarta księga. Pozwalał Blum czytać, a ona czuła, że niczego przed nią nie skrywa, mówił o sobie, o tym, co nadaje sens jego życiu, czego pragnie, o czym marzy. O akademii sztuk pięknych, o swojej pracy, o tym, że kiedyś pokaże jej swoje prace. Sztuka nowoczesna, pokrewna akcjonizmowi. Gdy zapytała o jego obrazy, zawahał się i trochę zawstydził. *Trudno to opisać, ale głęboko wierzę, że kroczę właściwą ścieżką. Czuję, że zbliża się przełom. Od tak dawna nad tym pracuję. Musisz kiedyś odwiedzić mnie w atelier, chcę poznać twoją opinię. Ciekaw jestem, czy ci się spodoba.* Niemal zawstydzony jej ciekawością zbył pytania o swoją pracę i wrócił do opowieści o Björk. *Twoja siostra jest teraz ważniejsza od mojej sztuki,* powiedział z uśmiechem i dodał, że Björk studiowała medycynę i ostatnie cztery lata przed śmiercią spędziła w Afryce. *Lekarze bez granic,* wyjaśnił. *Zawsze miała serce większe niż inni ludzie. Już w dzieciństwie przynosiła do domu umierające ptaszki, leczyła je, pielęgnowała. Zresztą w ogóle kochała zwierzęta. Stąd ta zebra.*

Miłość Björk do Afryki. Opowiedział o czasie, który spędziła w małej wiosce w Tanzanii. O tym, jak potrafiła godzinami mówić o sawannie, o licznych safari, w których uczestniczyła. *Björk była szczęśliwym człowiekiem,* powiedział. W każdym razie tak sądzili wszyscy, którzy ją znali. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego popełniła samobójstwo, dlaczego nigdy nie powiedziała choćby słowa o tym, że

ma jakiś problem. Dlaczego posunęła się do ostateczności. Niczym się nie zdradziła, na jej twarzy zawsze gościł uśmiech. Björk nie miała problemów, o Björk nie trzeba było się martwić. Prymuska w szkole, najlepsza studentka na roku. W domu też była tą lepszą z rodzeństwa. Blum słyszała to w jego tonie. Że czuł się niekochany. Że chciał od ojca więcej. Więcej miłości, więcej czułości. Słyszała to między słowami. Że był nieszczęśliwy. Malował przed jej oczami obraz małego chłopca, dramat bogatej rodziny. Dramat, który w przyspieszonym tempie przesuwał się przed jej oczami, gdy pędzili po autostradzie. Szczęście na szwarcwaldzkim wzgórzu, które wcale nie było szczęściem. Dwa samobójstwa w raj, tragiczne losy, z którymi jeszcze dwa dni temu nie miała nic wspólnego. Zupełnie nic.

I nagle wszystko stało się tak bliskie. Zbyt bliskie. Poczwała, że za wiele tego wszystkiego. Widok za oknem i słowa Ingmara w jej uszach. Chłoneła wszystko, co mówił, a jednocześnie odpychała to od siebie. Trzydzieści kilometrów przed Innsbruckiem zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie chciała się zanurzyć w tym chorym świecie. Dlaczego zabrała go do domu, do dziewczynek. Kręciła w duchu głową, wiedziała, że zrobiła to dlatego, że nie umiała pogodzić się z faktem, iż jakiś obcy stary człowiek nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Że miała siostrę, która nie żyje. Wiedziała, że również Ingmar nie zdoła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego je rozdzielono, dlaczego nie pojechały obie do Szwarzwaldu. Albo obie nie trafiły do chłodni Hagena. Ingmar był tylko pozostałością historii, której nie można już zmienić, Björk siedziała na grzbiecie zebry i nigdy z niego nie zsiądzie. Będzie galopować, tak jak sobie to wymarzyła. Trafiła tam, gdzie chciała. Do muzealnej gabloty.

Blum czuła, że świat wiruje jej przed oczami. W jej głowie panował chaos. W głowie, która wciąż pękała, bo w żyłach Blum nadal szumiał alkohol. Wzięła kilka głębokich wdechów. Chciała uporządkować myśli, chciała już tylko wrócić do domu i przytulić dziewczynki. Opowiedzieć Karlowi i Rezie, co się stało, przedstawić im Ingmara. Chociaż rozsądek podpowiadał jej, by go odprawić, postanowiła, że spędzi z nim jeszcze dwa albo trzy dni, a potem się pożegnają. Ingmar wróci do swojego świata. Bez niej. Im dłużej go

słuchała, tym bardziej było to oczywiste. To, co się wydarzyło, odeszło w przeszłość. Bezpowrotnie. Nie ma dla niego miejsca w jej planach na przyszłość. Ani dla Ingmara, ani dla tamtego hotelu, ani dla Alfreda. Blum dopuszczała myśl, że kiedyś znów się spotkają, za kilka lat ponownie zamienią kilka słów, ale nic więcej. Kiedy dotarli do Innsbrucku i zjechali z autostrady, była już tego pewna. Nie chciała żadnych zmian, żadnej przeszłości, żadnych nowych ran. Jest dobrze tak, jak jest. Prawie.

Jego skóra była jak dom. Ich ciała zlały się w jedno, cicho i niespiesznie, niemal w bezruchu, delikatnie, tak by się nawzajem nie zranić. Bez słowa. Zanurzyli się w długiej cudownej bliskości. W środku nocy. Ich usta się odnalazły. W kompletnej ciszy.

Czekała na to przez cały wieczór, na tę chwilę z nim, sam na sam, na jego bliskość, jego głos w jej uchu. Tylko ona i on, po długiej rozłące. Najpierw powitanie, dziewczynki i Karl, wspólna kolacja. Blum długo trzymała je w ramionach, z beztronską zanurzyła się w domowej atmosferze. Cudownie było wrócić do domu, do bliskich. I cudownie, że obecność Ingmara nawet przez chwilę nie zmąciła nastroju, że przyjęli go jak przyjaciela. Blum chciała tego, przedstawiła im nieznanego, opowiedziała, kim jest, skąd przyjechał, co zobaczyła na plaży w kolorowym piśmie. Szybko podzieliła się z Rezą i Karlem przeżyciami ostatnich dni. Opowiedziała o swoim lęku, o nadziei. I o rozczarowaniu. Cieszyła się, widząc, z jakim spokojem Reza i Karl przyjmują nowiny. Dali jej poczucie, że cokolwiek się stanie, zawsze może na nich liczyć. Że dzielają jej wzburzenie, okazują współczucie i zrozumienie. Szalona historia, którą opowiedziała, nie wzbudziła zdziwienia, nie zachwiała ich łodzią. Karl i Reza stali na pokładzie, uśmiechając się do niej. *Jesteśmy twoją rodziną*, powiedzieli. *A Ingmar jest tu zawsze mile widziany*. Poczuli, że zawinęła do bezpiecznej przystani, wszystko było takie proste i jasne. Gdy skończyła swoją opowieść, zostawiła trzech mężczyzn, by w spokoju porozmawiali, a sama z dziewczynkami zajęła się gotowaniem. Potem wszyscy zasiedli do stołu. Kolacja trwała do późna, cudownie było siedzieć razem, pić wino, beztronsko rozmawiać. Aż w końcu pogasły światła i położyła się przy nim.

Reza. Jego skóra, jego dotyk. Tak bardzo za nim tęskniła. Przytuliła się mocno. Tęskniła za tym poczuciem bezpieczeństwa i zaufania. Nie widzieli się trzy tygodnie, nie rozmawiali. Reza. Małomówny mężczyzna, który zrobiłby dla niej wszystko. Zakradła się

do jego mieszkanka, zapukała, a on otworzył. Ich oddechy splotły się w jednym rytmie. Leżała na nim, a on ją tulił. Bo spełniłby jej każde życzenie. Brał to, co mu dawała. *Przepraszam*, szepnęła. *Cudownie, że wróciłaś*, odrzekł, muskając palcami jej plecy. Reza i Blum.

– Kiedy jestem przy tobie, wszystko jest takie proste.

– Wiem.

– Cudownie było tak myśleć, Rezo.

– O czym?

– Że miałam siostrę. Tak jak Uma i Nela. Że w moim życiu był ktoś jeszcze. Oprócz Hagena i Herty. Ktoś taki jak ja.

– Wiesz, że ja jestem zawsze przy tobie.

– Wiem.

– Jesteś smutna.

– Nie.

– Ale płaczesz.

– Nie płaczę.

– Łzy są dobre, Blum.

– I kto to mówi? Przez tyle lat nie widziałam cię płaczącego.

– Płaczę w środku, Blum. W środku wylałem mnóstwo łez.

– Wiem.

– Kiedy łzy płyną same, jest dużo gorzej.

– Nie rozumiem.

– Kiedy nie ma nikogo, kto by je otarł.

– Dziękuję, Rezo.

– Za co?

– Za wszystko.

Reza. Mark przywiózł go do domu kilka lat temu. Bośniaka z wojenną traumą. Był bezdomny i właśnie zamierzał złamać prawo, gdy spotkał Marka. A ten bez namysłu postanowił dać mu dach nad głową, zamiast wsadzić za kratki. Zawsze kierowało nim współczucie. I zawsze potrafił wyczuć w człowieku dobro. Nigdy, nawet przez chwilę nie żalowali, że przyjęli go do swojego domu, że pozwolili mu zamieszkać w suterenie. To, że spotkali się z Markiem, było prawdziwym zrzędzeniem niebios. Tak jak to, że leży teraz obok niej. Że został grabarzem, tak jak ona. Od początku, od pierwszego dnia nie bał się

śmierci, nie brzydził się zmarłych. Reza. Cudownie pachniał, jego skóra, jego słowa. Zawsze milczący i powściągliwy, niechętnie wspominał o swoim życiu, o wojnie. Kiedy budził się z krzykiem w środku nocy, brała go w ramiona i pocieszała, tak jak zazwyczaj on tulił ją. Opowiadała o Jugosławii, rodzinie, którą stracił, ludziach, których zabił. O zemście. O bliznach, które nadal bolały. O tym, jak został mordercą. O tym, że Blum jest słońcem, które każdego dnia wstaje nad jego głową i które wraz z nią zachodzi.

Reza i Blum. Została z nim aż do świtu, potem po cichu wróciła na górę. Mijając pokój dziewczynek, uchyliła drzwi i na chwilę zajrzała. Ten widok zawsze przepelniał ją szczęściem. Potem przeszła obok pokoju dla gości, gdzie spał Ingmar. Przygotowując w kuchni śniadanie, dziwiła się, jak to możliwe, że obcy mężczyzna śpi w jej domu. Że go tutaj przywiozła, że tak naturalnie zanurzył się w jej świecie. Brat jej siostry, który z uśmiechem na ustach wszedł właśnie do kuchni i pomógł jej nakryć do śniadania. Wkrótce potem wszyscy jakby nigdy nic znów siedzieli razem przy stole, rozpoczynając nowy dzień. Blum miała wrażenie, że to jakaś baśń. Rozczarowanie, że nigdy nie pozna siostry, którą zawsze pragnęła mieć, ustąpiło miejsca radości, że niespodziewanie zjawił się wśród nich nowy członek rodziny. Ktoś, kto żyje, ktoś sympatyczny, chociaż zupełnie obcy. Mimo to z jakiegoś powodu czuła, że to normalne, że wszystko jest na właściwym miejscu, że łączy ją z nim jakaś przedziwna bliskość. Bliskość losów, cierpienia, którego oboje zaznali, utraty bliskich. Wiedziała, co musiał czuć, kiedy trzymał w ramionach martwą Björk. Znała ten ból. Dlatego obecność Ingmara niosła jej ukojenie.

Ta bliskość trwała trzy dni. Ingmar przy stole, Ingmar koszący trawnik, Ingmar bawiący się w ogrodzie z dziewczynkami w berka i czytający im bajki. Siedzący obok Blum na ławce przed domem. Dużo rozmawiali. O Björk, o hotelu, w którym się wychowali, o Alfredzie. I o tym, co robi Blum, kiedy znika w sali przygotowań. Ingmar chciał to zobaczyć, Blum musiała mu wszystko pokazać. *Fascynujące. To, co robisz z umarłymi. Chciałbym to kiedyś zobaczyć, proszę, pokaż mi, Blum.* Kiedy Blum otworzyła drzwi chłodni i wysunęła jedną z aluminiowych trumien, Ingmar wyglądał jak dziecko stojące przed

szafką z cukierkami.

Pokazała mu świat umarłych. A on stał i patrzył. Opanowany, spokojny, rzeczowy. Widok starszej kobiety leżącej przed nim na stole w ogóle go nie szokował. Widać było, że zetknął się już blisko ze śmiercią, dlatego nie napawała go lękiem, przeciwnie, okazał zaciekawienie, skorzystał z okazji i zanurzył się głębiej. *Mogę to zrobić?*, pytał. *Mogę spróbować? Chciałbym dotknąć.* Blum przesunęła się nieco i pozwoliła mu podejść do stołu. Ingmar zaczął czule masować głowę kobiety, rozprowadzając szampon po przeredzonych siwych włosach. Robił to bez wstrętu, uważnie, z pokorą, tak jakby świat wokół niego nie istniał, jakby był tylko on i kobieta na stole. Jej włosy, które suszył, i Blum. Obserwowała go. Jego ciekawość i chęć uczenia się sprawiały jej przyjemność. Uparł się, że nasmaruje kobietę kremem i pomoże ją ubrać. Na końcu wspólnie z Blum ułożyli ją w trumnie. W szarej letniej sukience, z różańcem w splecionych dłoniach. Wszedł do tej sali z myślą, że chce pomóc. Nie chciał być tylko gapiem, chciał dać Blum poczucie, że to, co robi, jest piękne, że podziwia ją za to, że traktuje zmarłych z takim szacunkiem. Słysząc to było w każdym jego słowie. *Dziękuję, że mogłem ci pomóc. Masz naprawdę cudowną pracę.* Na koniec ją objął.

Po kolacji Blum usiadła z nim jeszcze na chwilę, nie potrafiła ukryć, jak bardzo jest poruszona. Ingmar nie miał żadnych zahamowań, traktował zmarłą kobietę z naturalną swobodą, nie czuł żadnego wstrętu, odrazy. *Masz naturalny talent*, powiedziała. *Jeśli będziesz potrzebował pracy, możesz zacząć nawet jutro*, zażartowała i wybuchła śmiechem. Cieszyła się tą chwilą. Siedziała wygodnie z bratem Björk na kanapie. Dziewczynki już wcześniej położyła do łóżek. Rozmawiali. Wymieniali się szczegółami z życia swych rodzin. Im więcej mówił, tym bardziej się otwierała. Nie miała żadnych oporów, ufała mu, opowiedziała mu nawet o Marku. Jak się poznali na łodzi jej rodziców, jak się po raz pierwszy pocałowali, w sali przygotowań. I jak go straciła, w tamten wtorkowy poranek. O wypadku, krwi i o tym, jak leżał przed nią na stole. Jej nagi, martwy mąż, którego umyła, któremu opatrzyła rany, którego zszyła. *Wciąż czuję ten ból*, powiedziała. Ból, który nie ustąpił. Blum miała wrażenie, że Ingmar doskonale rozumie, co wtedy czuła. Że zna ten

ciężar nie do uniesienia.

Siedzieli do późna. Zwyczajnie, bo tak wyszło, bo tak się ułożył dzień. Bo Blum wbrew oczekiwaniom posunęła się dalej, niż zamierzała, a Ingmar dostał od niej o wiele więcej, niż oczekiwał. Blum była otwarta, bezbronna, niczego już nie kontrolowała. Ani słów, ani łez. Płynęły jej po policzkach, a on je ocierał. Łzy rozpaczy. Po prostu wezbrały w niej, płakała przez kilka minut. Nie miała przy sobie Rezy, jego skóry, jego ramion, w których mogłaby się ułożyć. Chociaż był w suterenie, w swoim mieszkaniu, to w tym momencie mógł być równie dobrze na końcu świata, Blum nie mogła dłużej czekać. Ktoś musiał ją podtrzymać, jak bezbronne dziecko zebrała o miłość. *Nie zostawiaj mnie teraz samej, Ingmarze. Nie odchodź*, powiedziała cichutko, ze szlochem, lecz on dosłyszał jej prośbę. Bez wahania wziął ją na ręce i zaniósł do jej sypialni. Potem nadeszła noc. A potem zjawił się Reza.

- Oszalałeś?
- Do cholery, posłuchaj mnie przez chwilę, Blum.
- Proszę, przestań krzyczeć, Rezo.
- Musisz się natychmiast spakować i zniknąć. Proszę cię, wstawaj wreszcie i chodź.
- Chryste, czego ty ode mnie chcesz? Wpadasz do mojej sypialni i zaczynasz wykrzykiwać jakieś niestworzone rzeczy.
- Masz mało czasu, niedługo tu będą, zaufaj mi. Musisz uciekać jak najdalej stąd.
- O czym ty mówisz, Rezo?
- Znaleźli aktora.
- Jakiego znowu aktora?
- Przecież wiesz, o czym mówię.
- Nie mam pojęcia!
- Odbyła się ekshumacja, właśnie wracam z cmentarza. Przygotowywałem kaplicę, o wszystkim powiedział mi zarządca cmentarza. Otworzyli grób. Na cmentarzu jest pełno policji.
- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.
- Obudź się, Blum.
- Możemy porozmawiać później, Rezo?
- Nie, nie możemy. Nie ma czasu do stracenia, musisz natychmiast zniknąć.
- Zaraz do ciebie zejdę, wtedy porozmawiamy.
- Nie słyszysz, co mówię? Znaleźli w trumnie dwie głowy. Dwie głowy i cztery nogi, rozumiesz, Blum?
- Ciszej, Rezo.
- Doszło do jakiegoś sporu o spadek. Nagle zjawiono się nieślubne dziecko, żona zmarłego zażądała analizy DNA i otwarto grób.
- Dość, Rezo.
- Grób był pojedynczy, więc znaleźli jedną głowę i dwie nogi za dużo. Wiesz, co to znaczy. Na miejsce przyjechał już wydział zabójstw, dwie godziny i będą tutaj.
- Nie chcę o tym rozmawiać, Rezo. Nie teraz i nie tutaj. Ktoś nas może usłyszeć.

- Kto nas może usłyszeć w twojej sypialni?
- Rezo, błagam cię, nie mów nic więcej. Ani słowa, rozumiesz?

Ani słowa.

– Tylko my mieliśmy możliwość ukryć w trumnie dodatkowe części ciała. Tylko my dwoje, Blum. Ty i ja.

– Przestań, proszę.

– Będą szukać tak długo, aż znajdą coś, co nas połączy z tym ciałem. Wiesz, że mam rację. Dowiedzą się, co się stało.

– Bzdura! Nigdzie nie jadę, nic nie zrobiłam.

– Zabiłaś pięciu ludzi, Blum. Jeśli będą dalej szukać, znajdą jeszcze dwa ciała.

– Nic nie zrobiłam. Nic się nie wydarzyło, wszystko jest w doskonałym porządku. Pozwól mi spokojnie wziąć prysznic, potem zejdę i zjemy śniadanie.

– Porównają DNA nieznanego ciała z bazą danych, dowiedzą się, że to Ludwig. To nie potrwa długo, Blum, przyślą tu setkę gliniarzy, wszystko wywrócą do góry nogami, zobaczysz.

– Gdzie są dziewczynki?

– W ogrodzie.

– A Karl?

– Na górze, w swoim mieszkaniu. Tylko Ingmara nie ma w pokoju. Wszędzie go szukałem, nie mam pojęcia, gdzie się podział.

Wszystko się rozpada w drobny mak. Blum nie chciała słuchać tego, co mówił Reza. Chciała zakneblować mu usta, chciała, żeby był jak najdalej stąd. Reza. Szeptał, krzyczał, był zrozpaczony, próbował przekonać Blum, że to koniec. Delikatnie wyciągnął ją z łóżka, prosił, żeby się pospieszyła, przytulił. Usta Rezy płonęły na jej czole, podczas gdy Ingmar stał cicho w łazience.

Wszystko słyszał, każde słowo, które padło z ust Rezy. I odpowiedzi, cały ten smutny spektakl. Od chwili gdy Reza zapukał do drzwi sypialni. Blum zerwała się przerażona, błagalnie poprosiła Ingmara, żeby się ukrył w łazience. To było jedyne wyjście, nie chciała zranić Rezy. Musiała ukryć przed nim, że Ingmar spał u jej boku, w jej łóżku. Mężczyzna, którego poznała ledwie kilka dni temu. Ukryła go niczym kochanka, nie chciała tłumaczyć Rezie, że była słaba i chciała się

po prostu położyć. Ingmar trzymał ją tylko w ramionach, ocierał łzy. Nic więcej.

Brat Björk. Najzwyczajniej w świecie ułożył obok niej chromą nogę, twarz, usta, oczy. Był tej nocy jak przyjaciel. Ingmar. Teraz stał półnagi w łazience i dowiedział się wszystkiego, więcej, niż miał się dowiedzieć. Blum nie była w stanie temu zapobiec, nie mogła uciszyć Rezy, wymazać słów, które padły z jego ust. *Zabiłaś pięciu ludzi, Blum. Tylko my mieliśmy możliwość ukryć w trumnie dodatkowe części ciała. Musisz uciekać, Blum.* Słyszała to, co mówił Reza, i to, co dotarło do uszu Ingmara. Prawdę, którą wbrew sobie musieli z nim teraz dzielić. Prawdę, która w jednej chwili wszystko zmieniła.

Nagle wszystko się stało nieważne. Nie mogła tego cofnąć, Ingmar wszystko słyszał. I wciąż słuchał. Był tu, lecz to nie miało już żadnego znaczenia. Istotne było jedynie to, co będzie musiała powiedzieć dziewczynkom. I Karłowi. Nieważne, co Ingmar sobie myśli, co zrobi. Blum zniknie, a Ingmar koniec końców będzie tylko jeszcze jednym człowiekiem, który zna prawdę. To takie proste. Wszystko potoczyło się tak szybko, przed chwilą było jeszcze lato, a teraz zaczął sypać śnieg. Obawy Blum, by nie zranić Rezy, w jednej chwili stały się śmieszne, przytulenie się do obcego mężczyzny było jak dziecięca psota w porównaniu z tym, co na nią spadło. Gra toczyła się o jej życie. Wszystko, co jeszcze miała, jej rodzina, zakład, dom, właśnie obracało się w proch. *Wydział zabójstw, dwie godziny i będą tutaj.* Czuła, jak ogarnia ją panika. Nagle poczuła strach.

– Co ja powiem dziewczynkom?

– Nie wiem, Blum.

– A ty? Co powiesz policji?

– Że wyjechałaś na urlop. Jesteś gdzieś w górach, poza zasięgiem.

I nie wiem, kiedy wrócisz.

– A potem?

– Coś wymyślimy.

– Zamkną cię, Rezo.

– Nie sądzę, jestem tylko szeregowym pracownikiem, o niczym nie mam pojęcia. Dadzą mi spokój, chcą ciebie. Pomyśl: ty uciekłaś, a ja zostałem, to ich przekona. Powiem, że o niczym nie miałem pojęcia.

- Musisz pojechać ze mną, Rezo.
- Nie.
- Dlaczego?
- Tu jest mój dom, Blum. Nie chcę znowu uciekać.
- Nie mogę zostawić dziewczynek.
- Musisz.

- Dokąd jedziesz, mamusiu?
- W góry.
- Chcemy pojechać z tobą. Spakujemy śpiwory i latarki. W nocy możemy się bawić w duchy. Będzie super!
- To niemożliwe, Nelu.
- Dlaczego?
- Tam jest zbyt wysoko i niebezpiecznie.
- Umiemy się wspinać. W ogrodzie weszliśmy na wielką jabłoń.

I nie spadliśmy.

- Niedługo wrócę.
- Nie chcemy, żebyś wyjeżdżała.
- Wiem, ale muszę.
- Zrobiliśmy coś złego?
- Nie, skądże, nic złego nie zrobiliśmy.
- To dlaczego nie możemy pojechać?
- Proszę, Nelu, i tak mi smutno, że muszę jechać.
- Dlaczego?
- Mama musi przez kilka dni pobyć sama. Kiedy wrócę, będziemy się razem bawić.
- W co?
- W co tylko zechcecie, spełnię każde wasze życzenie. Możemy uszyć nowe pidżamki dla lalek albo zbudować zagrodę dla zwierząt. Albo pobawimy się kolejką. Kiedy wyjadę, wy zastanówcie się, co chcecie robić, zgoda? Będzie świetnie.
- Uszyjemy nowe pidżamki. Zgadzasz się, Umo?
- Taak.
- Możemy też pójść z tobą do sklepu i wybrać najładniejszy materiał.
- Tak zrobimy. Jak tylko wrócę.
- Kiedy?
- Niedługo, za kilka dni będę z powrotem.
- Pomachasz nam?
- Słucham?
- Jak wjedziesz na górę, pomachasz nam?

- Oczywiście, obiecuję, że wam pomacham.
- No to jedź. I szybko wracaj.
- Obiecuję.
- Kochamy cię, mamusiu. Prawda, Umo?
- Taak.

Dwa długie uściski, podczas których kraja jej się serce. Nie chciała ich zostawiać, nie chciała wypuścić ich z ramion. Czuła potworny ból. Bo nie mogła powiedzieć im prawdy, bo musiały wierzyć, że ich mamusia naprawdę wyjeżdża w góry, że będzie się wspinać wśród kozic i górskich szczytów, gdy one zostaną w domu i będą czekać, aż wróci. Bo potrzebuje chwili oddechu. Musiała skłamać. Jeszcze buziak w niewinny dziecięcy policzek. Czuła, że ten pocałunek musi jej wystarczyć na bardzo długo. Ostatkiem sił powstrzymała łzy. *Przywiozę wam coś ładnego*, powiedziała, po czym obróciła się na pięcie i wsiadła do samochodu.

Nie strasz ich, powiedział Reza. *Nie mów, że na razie nie wrócisz*. Blum była na siebie wściekła. Ani słowa o ucieczce i strachu, ani słowa o zabitym aktorze na cmentarzu, którego dwa lata wcześniej wściekle poćwiartowała. Nic już nie zostało z kobiety zdolnej przekroczyć wszelkie granice, gotowej z zimną krwią i bez wahania zabić człowieka. Nic. Była tylko zwyczajną matką, kochającą ponad wszystko swoje córeczki, która w tym momencie zrobiłaby wszystko, żeby cofnąć swoją mściwą krucjatę. Żeby móc z nimi zostać. Tak bardzo pragnęła zapakować swoje aniołki do wozu i uciec. Z powrotem do Grecji, do ślicznego domku na plaży, do łóżka, do tamtego poranka, kiedy przekomarzali się z Markiem i dziewczynkami. Do przeszłości.

Ale to nie było możliwe. Mogła jedynie wsiąść do wozu Ingmara i im pomachać. Wiedziała, że Reza ma rację. Że dopóki nie wyjaśni się, na czym stoją, musi zniknąć, sama. Nie mogła sprowadzać na dziewczynki niebezpieczeństwa, nie mogła ich straszyć. To tylko kilka dni w górach, wszystko wyglądało jak zwykle – mamusia wyjeżdża, ale niedługo wróci. Mamusia kłamie. Nurtowało ją tyle myśli, tyle mogło się zdarzyć, tyle było spraw, które wymknęły jej się z rąk. Gapiła się przez boczną szybę auta. Milczała. Nie mogła już nic zrobić.

Nie dzwoń, powiedział Reza. *Żadnych telefonów. Kup jak*

najszybciej dwie karty prepaidowe i jedną wyślij tutaj. Wtedy będziemy mogli porozmawiać. Żadnych kontaktów. Ogarnęła ją bezsilność i niepewność. Z każdym przejechanym kilometrem było coraz gorzej. Czowała, że na nic nie ma już wpływu, że może tylko uciec, ukryć się jak ścigane zwierzę. Z minuty na minutę potęgował się jej lęk. Auto pędziło po autostradzie, a jej wyobraźnia pisała najbardziej posępne scenariusze.

Myślała o tym, co Reza powie policji. I o tym, że być może za kilka dni trafi zamiast niej do więzienia. Poczwała mdłości. Pomóc mógł jej już tylko cud. Na nic innego nie mogła liczyć.

Za oknem przesuwiał się wiejski krajobraz. Zabrała spakowaną naprędce torbę i wsiadła do wozu, obok Ingmara. Milczała, chciała odwlec tę chwilę, wstrzymać oddech jak najdłużej i zanurzyć się w ciszy, niczego nie słyszeć, nie mówić. Nie chciała z nim rozmawiać. Z obcym mężczyzną z łazienki, który wszystko słyszał, bratem kobiety z zebłą, a teraz jej wybawcą, jedyną zaufaną osobą, jaka jej pozostała. Milczała. Przyjęła jego propozycję, bez namysłu sięgnęła po wyciągniętą ku niej gałąź i pozwoliła się doholować do brzegu. Nie oceniał jej, ciągnął. Spytał tylko, czy chce z nim jechać. Nie do wiary, ale nie było w nim strachu, na jego twarzy malowało się tylko współczucie. Wtedy gdy Reza wyszedł z sypialni i Blum opadła na łóżko. Wydawał się zupełnie spokojny, nie było w nim nawet cienia wzburzenia, tak jakby w ogóle nie dotarł do niego sens tego, co mówił Reza. W jego głosie brzmiała troskliwa nuta. *Ubierzemy się i wyjedziemy. O nic nie pytał. Widziała tylko tę zatroskaną twarz i nogę, którą ciągnął za sobą, idąc przed nią do wozu.*

Asfalt, drzewa, góry. Wspólna podróż. Na północ. Blum była jak ogłuszona, chciała, żeby ktoś podjął za nią decyzję, żeby jej pomógł. Związała swój los z kimś, kto miał ją w garści, zmusiła się, by mu zaufała. Ingmar. Mógł ją zniszczyć, jednym telefonem mógł wszystko skończyć. Odebrać jej wszystko – życie, wolność. A jednak milczał, nie zdradził jej, przeciwnie. *Pomogę ci. Zawiozę cię w bezpieczne miejsce. Chodź.* Błady człowiek z ręcznikiem wokół bioder, obcy mężczyzna, z którym spała, w którego ramionach się wyplakała. Był przy niej, tak po prostu, ubrał się i pomógł jej się spakować. Nie narzucając się, zaczekał przy swoim wozie. *Będę na dole. Możemy ruszać, kiedy tylko będziesz*

gotowa. Potem nastąpił ostatni akord, pożegnanie z dziewczynkami, z Karlem, ostatni rzut oka na dom. Reza, który ją mocno przytulił. Jego miękkie usta na jej czole. Zaufany przyjaciel. Zostawiła go, zwyczajnie zignorowała jego obiekcje. Chciał jej wyperswadować wyjazd z Ingmarem, lecz Blum już podjęła decyzję. *Nie mam wyboru, Rezo.* Potem zniknęła.

Nieszczęście to nie jest drzewo, mawiał Hagen. Nie rośnie długimi latami, tylko zwykle zjawia się w ciągu nocy. Tak jak teraz. W jednej chwili świat się odwrócił. Tam, gdzie przed sekundą panował hałas, zaległa cisza. Domowa krzątanina, wspólna codzienność, wszystko się skończyło, gdy przejechali przez bramę. Blum zostawiła dotychczasowe życie i uciekła z pokładu, zanim statek zatonął. Skoczyła do morza, z kołem ratunkowym wokół pasa, z Ingmarem, który co chwila pytał ją, czy czegoś potrzebuje, czy ma się zatrzymać na następnym postoju. Czowała się bezradna, milczała, nie mogła wykrztusić słowa. Nic nie było w stanie jej uspokoić, uciszyć głosów dziewczynek w jej głowie. Choćby nie wiem jak próbowała je zagłuszyć, choćby nie wiem jak starała się wyobrazić sobie szczęśliwe zakończenie, Uma i Nela nie przestawały powtarzać w kółko tych samych słów: *Nie chcemy, żebyś jechała. Kochamy cię, mamusiu. Będziemy grzeczne, mamusiu.* Czowała, jak jej pęka serce. Na wspomnienie tego, co im zrobiła, co te małe niewinne istotki przeżyły po śmierci Marka. Najpierw straciły ojca, a teraz matkę. Lecz im dłużej nad tym wszystkim myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że nie miała wyboru. Że jej małości nigdy nie przestaną zadawać tych samych pytań. *Kiedy wróci mamusia? Co się stało, dziadku? Dlaczego nas nie zabrała ze sobą?* Blum z trudem chwytiała powietrze. W głębi duszy wciąż widziała ten sam obraz. Dwie dziewczynki, sieroty. Dwie dziewczynki w domu dziecka. Czowała, jakby ktoś kopnął ją prosto w żołądek. Myśl o tym, że trafią do rodziny zastępczej, że będą je tulić zupełnie obcy ludzie, że zostaną same, tak jak ona, przed laty. Mgliste wspomnienie, które od kilku dni co jakiś czas powracało. Blum i Björk. To niejasne wrażenie, poczucie, że przez kilka lat nie była na świecie sama. Że zaznała odrobiny szczęścia, nim trafiła do Hagenowego piekła. Björk i Blum. Siostry.

Blum nie mogła znieść tego wspomnienia. Obrazu rodziny, który

malowała na czarno, bo w jej palecie nie było już innych kolorów. Nie było już miejsca na nadzieję, buziaki na dobranoc, uściski. Raptem zostało jej tylko jedno życzenie – by to wszystko się wreszcie skończyło. Myśl, by nagle pociągnąć za kierownicę, katapultować auto w powietrze. Umrzeć, jak Mark. Nie słyszeć tego, co mówi Ingmar, nie musieć mu niczego wyjaśniać, przetykać łez i opowiadać zmyślonej historii. Nie chciała tego, ale musiała. Była gotowa na wszystko, na każdy czyściec, byle tylko przetrwać. Przeżyć i kiedyś wrócić. Znow je zobaczyć. Umę i Nelę. *Zrobię wszystko, by tak się stało. Wszystko, obiecuję.*

- Dziękuję, Ingmarze.
- Cokolwiek się stało, pomogę ci, Blum.
- Słyszałeś, co mówił Reza?
- Tak.
- Wiesz, że to nieprawda?
- Nieprawda?
- Tak.
- To dlaczego siedzisz obok mnie w samochodzie?
- Nikogo nie zabiłam.
- Nie musisz mnie okłamywać, Blum.
- Nie kłamię.
- Nikomu nie powiem.
- Dlaczego?
- Bo nie chcę cię stracić. Dopiero co cię poznałem.
- I nie miałoby to dla ciebie znaczenia, gdybym kogoś zabiła?
- Żadnego.
- Jak możesz tak mówić?
- Wierzę, że jesteś dobrym człowiekiem, Blum.
- Jak może być dobrym ktoś, kto zabił człowieka?
- Jesteś siostrą Björk.
- I to wystarczy?
- Tak.
- Jestem potworem, Ingmarze.
- Naprawdę?
- Zabiłam pięciu ludzi.
- Nie jesteś potworem, Blum.

- Nie boisz się, że coś ci zrobię?
- Nie.
- Każdy rozsądny człowiek poszedłby na policję.
- Nigdy nie twierdziłem, że jestem rozsądny.
- Nie chcesz wiedzieć, kim byli tamci? Dlaczego zginęli?
- Nie zapytam cię o to.
- Dlaczego?
- Sama mi powiesz, kiedy uznasz, że jesteś gotowa. Najpierw zawiozę cię w bezpieczne miejsce.
- Jesteś aniołem czy jak?
- Może.
- Dokąd jedziemy?
- Do hotelu. Tam nikt cię nie znajdzie.
- A twój ojciec?
- Musi się z tym pogodzić.
- A goście?
- Nie ma żadnych gości.
- Remont kiedyś się skończy.
- Nie, ten remont się nigdy nie skończy.

I znowu to miejsce. Dom, który ją kusił niczym mięsożerna roślina. Był jak rana, w którą Blum wlatywała na własną zgubę. Jak mucha. Nęcona przez zapach, zafascynowana luksusem, przepychem, z jakim go urządzono. Fascynujące królestwo starego mężczyzny, miejsce, gdzie żyła jej siostra. Niebo.

Kiedy zjeżdżali ze wzgórza, ogromna posiadłość, jej otoczenie, rozmach, z jakim ją zbudowano, zrobiła na Blum wrażenie równie wielkie jak za pierwszym razem. Mnóstwo pomniejszych budynków i budyneczków, a wśród drzew przeogromny gmach główny. Postanowiła, że dopóki nie minie sztorm, ukryje się w jednym z ponad trzystu pokoi. *Masz się zachowywać spokojnie, Blum, masz być nieuchwytna dla radarów, nie rób niczego ryzykownego*, słyszała głos Rezy. Ingmar wjechał do podziemnego garażu. Troska Rezy i ten niewyobrażalny luksus. Nie mogła wyjść ze zdumienia, gdy jechali wzdłuż pomalowanych betonowych ścian. Wszędzie czerwone dywany i złoto. Tam, gdzie zwykle jest wyłącznie asfalt i beton, tu witał ich przepych. Otworzyła się przed nimi podziemna brama do Solveig. Goście od pierwszej chwili mieli się czuć komfortowo. Z wozu prosto do windy, z windy prosto do holu. Luksus.

Widziała to, czego miała nigdy nie ujrzeć, wszystko, co Alfred Kaltschmied chciał przed nią ukryć. Barokowy świat, w który się zanurzyła, potok wrażeń wciągał Blum coraz głębiej. Jej spojrzenie wędrowało po holu, próbowała uchwycić każdy szczegół, jakby weszła do baśniowego świata. Marmur, mosiądz, orientalne dywany, obrazy, stiuk, aksamit. Czuła się przytłoczona wielkością holu, ogromnymi ślimakowatymi schodami, przepychem. To tutaj Björk i Ingmar biegali w dzieciństwie. Blum stała i patrzyła. Ingmar przystanął obok niej. Pozwolił jej sycić oczy, czekał cierpliwie, aż będzie gotowa ruszyć dalej. Był jak dobry duch tego miejsca, miał wzgląd na zalewające ją uczucia. Rozpacz i zachwyty, wszystko się mieszało. Blum nie była w stanie dłużej tego kontrolować, zbyt wiele bodźców spadło na nią w jednej chwili. Zbyt wiele myśli, zbyt wielki strach. Chciała na moment bez reszty oddać się tym niewiarygodnym wrażeniom, które ją zalewały, chciała zapomnieć o świecie, który ją ścigał, a który teraz został za bramą

hotelu. Odetchnąć, zatracić się w zdumieniu, chłonąć każde słowo Ingmara. A on cierpliwie oprowadzał ją po budynku, wszystko pokazywał, pomieszczenie po pomieszczeniu, jak w bajce. Chciała na chwilę zagłuszyć myśli, ze wszystkich sił starała się zapomnieć. Bo to miejsce było tak niewiarygodnie piękne. Blum zachowywała się, jakby nic się nie wydarzyło, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Czuła się jak sławna aktorka, która tanecznym krokiem przemierza korytarz luksusowego hotelu. Beztroska, zblazowana. Blum.

Była jak odmieniona. Pragnęła tego cudownego świata. W pewnej chwili zaczęła dziko wirować pośrodku sali balowej. Cudowne pomieszczenie z wysokim sufitem, niezliczone lustra oprawne w złoto i obrazy na ścianach. Czuła się jak we francuskim zamku z siedemnastego wieku, z radosnym krzykiem przebiegła przez sale jadalne ze srebrami i kryształami na stołach, wpadła do lobby, stąd zaś do biblioteki. Okręciła się w miejscu i stanęła zdumiona, błagała Ingmara, by pokazał jej więcej, by poprowadził ją dalej, jak najdalej od tego, co sprawia ból. Zanurzyła się w nowym świecie, a jej gospodarz był najwyraźniej zachwycony, że na chwilę zrzuciła brzemień, że zaczęła się śmiać, że w wielkim holu zjechała po poręczy schodów. Nagle zamieniła się w dziecko. Dziecko, które znalazło nowy, cudowny plac zabaw, które zostało dosłownie połknięte przez wielki dom. W środku panowała kompletna cisza, nikt nie wiedział, że tutaj jest. Nikt jej nie słyszał. Byli sami. Tylko ona i Ingmar. I te cudowne secesyjne meble, perskie dywany, ciężkie kotary z czerwonego aksamitu. Wokół ani żywego ducha, ani śladu ojca Ingmara, ani śladu Gertrud. Żadnych gości, nikogo, kto mógłby ją poskromić surowym spojrzeniem, kto by ją napomniał, by się zachowywała. Była wniebowzięta, robiła rzeczy, które zawsze miała ochotę zrobić w hotelu. Zamiast być cicho, krzyczała. Testowała granice, sprawdzała, co to za miejsce, badała swoją kryjówkę. Opuszczony hotel. Czuła się, jakby przeszła przez płot i zakradła się do jakiegoś cudownego zakątka. Wszystko było takie nierzeczywiste.

Ingmar pozwalał jej na wszystko. O nic nie pytał, tylko patrzył. Z przyjemnością obserwował jej zachwyty. A Blum odsuwała od siebie wszelkie decyzje, nie chciała się teraz zamartwiać. Nie w tej chwili. Może jeśli odwróci wzrok, wszystko się jakoś ułoży, może kiedy

otworzy oczy, okaże się, że wszystko wróciło na swoje miejsce. Chciała przez chwilę odetchnąć, nabrać otuchy, między brokatami a złoconymi świecznikami. Wdech. Wydech. Ukryć się we wspaniałym łożu z baldachimem. W pokoju na poddaszu. Dostała najlepszy apartament w hotelu. Cudowne miejsce, balkon ponad drzewami, gdziekolwiek spojrzała, otaczał ją luksus. Więzienna cela wyglądałaby zupełnie inaczej.

To, co zdarzyło się tego dnia, było jak jazda kolejką górską. *Czuj się jak w domu, Blum, tu jesteś bezpieczna.* Ingmar pokazał jej dom, wlał w nią poczucie, że wszystko będzie dobrze. Nie rozmawiali o tym, co się zdarzyło, zachowywali się tak, jakby istniał tylko ten hotel, w którym się właśnie zameldowali. *Tutaj się wychowaliśmy, Blum. Wszystko wygląda dokładnie tak jak wtedy. Wszystko zostało na swoim miejscu. Jakby czas stanął w miejscu. Jakby nic się nie wydarzyło.* Ingmar. Spokojnie, nie narzucając się, zaczął opowiadać kolejne historie ze swojego dzieciństwa. Tak jakby wyczuwał, że Blum chce zagłuszyć myśli, że wszystko będzie dla niej lepsze niż rozmyślanie nad własnym życiem. Blum podążyła za nim, przez dom, z powrotem do jego przeszłości, po której ją oprowadzał. Opowiadał, jak się tutaj bawili, co zniszczyli dwadzieścia lat temu. Jak płatali figle gościom i splądrowali hotelowy bar, gdy miał piętnaście lat. Wódka dla Björk i Ingmara. Wódka dla Ingmara i Blum.

Blum wzięła butelkę i napełniła dwa kieliszki, do pełna. Wypiła duszkiem, byle się jakoś odurzyć. Byle niczego nie czuć. Żeby to nie wróciło. Sięgnęła po alkohol, bo nie potrafiła zapomnieć. Wciąż były przy niej Uma i Nela. I Benjamin Ludwig, wydobyty z grobu aktor, ulubieniec milionów, który dwa lata temu zniknął z ekranów telewizorów. Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało. Aż do dzisiaj. Nikt nie wiedział, że został zamordowany, poćwiartowany i pogrzebany. Tajemnica przestała być tajemnicą. Fakt, że znaleziono jego ciało, był jak wyrok. Jeszcze nie zapadł, lecz Blum wiedziała, że każdy sąd w tym kraju uzna ją za winną i skaze. Nie okaże łaski, zrozumienia. To był jej koniec. Jej i Rezy. Prawdopodobnie w tym momencie siedział w pokoju przesłuchań i kłamał. Próbował wszystko odkręcić. Albo milczał. By chronić Blum.

Wlewała w siebie alkohol, bo jej życie rozsypało się w drobny mak. Nic nie pomagało, myśli prowadziły donikąd, stała na skraju przepaści. Dlatego piła. Tylko tyle mogła zrobić, by sobie poradzić z tą bezradnością. Pić, aż wszystko wróci na swoje miejsce, aż z jej głowy zniknie ostatnia ponura myśl. Tylko Ingmar i Blum w pustym hotelu. Była mu wdzięczna, że ją tu przywiózł. Ukrył. Powiedziała to bez słów, tylko na niego patrzyła, mówiła oczami. *Dziękuję, Ingmarze. Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś, ale dziękuję. Napij się ze mną, Ingmarze. Nie opuszczaj mnie, Ingmarze. Nie zostawiaj mnie samej. Słucham cię. To, co mówisz, jest takie piękne. Swoimi słowami wlewasz życie w ten pusty dom. Zostań, nie odchodź, Ingmarze.* Przez cały wieczór. Wspomnienia, obrazki z cudzego życia, z życia Björk, gdy była dzieckiem. Matka Ingmara. Jego ojciec. Słynny hotel. Solveig. Historia rodzinna w przyspieszonym tempie. Wciąż od nowa. Aż Blum miała dość. Aż spadła ze stołka.

Kilka godzin później. Ciemność. Leżała w ogromnym łóżku, przewracała się z boku na bok, próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Jak tu trafiła. Dlaczego pościel pachnie inaczej niż zwykle. Nieznajome prześcieradło na jej policzku, znowu ten nieznajomy mężczyzna w jej łóżku, skóra Ingmara. Zbyt blisko.

Obudziła się w środku nocy i poczuła jego obecność. Kolejny cios prosto w żołądek, cios, który sama sobie zadała. Poczowała, że musi wymiotować, rozpaczliwe pragnęła odwrócić to, co się stało. Siedziała rozbudzona w łóżku i przeklinała siebie, wódkę, którą wypila, wszystko, co powiedziała i co zrobiła. Była na siebie wściekła, że okazała się taka słaba i głupia. *Nie jesteś normalna, Blum! Dlaczego to zrobiłaś?* W jednej chwili wszystko stanęło jej przed oczami. Jak zabrała go ze sobą na górę, do swojego pokoju. Jak poprosiła go, żeby został, bez namysłu otworzyła usta, przyjęła jego język. Przypomniała sobie jego nogę, która jak kawał martwego mięsa leżała obok niej. Była pijana, czuła usta Ingmara na swoich ustach, jego dłonie. Wołała o czułość. Po prostu się poddała, pozwoliła sobie na słabość, pozwoliła mu, by ją podtrzymał. Liczyło się pocieszenie, namiętność była gdzieś w tle. A przecież chciała, by to uczucie stało się silniejsze niż wszystko inne w jej duszy, silniejsze niż strach, który czuła. Silniejsze i głośniejsze niż myśli o Umie i Neli. Blum i Ingmar. Przez jedną noc.

A teraz czuła się pusta. Ileż by dała, żeby ramiona, które leżały bezwładnie obok niej, zwyczajnie zniknęły. Była jak dziecko, chciała cofnąć czas, chciała leżeć w tym łóżku sama, nie myśleć o nim. Wiedziała, że popełniła błąd, że to jeszcze bardziej skomplikuje jej życie, o którym sobie nagle przypomniała. Nagi mężczyzna obok niej był ukoronowaniem dramatu. Gorzej już być nie mogło, wszystko nagle stało się obojętne, jej głupota wypełniała pokój, brutalna rzeczywistość po chwili upojenia powaliła ją na ziemię. Naiwna mała dziewczynka, która pragnęła cofnąć czas, nigdy go nie spotkać, zostać na greckiej plaży, nigdy nie włożyć części ciała Ludwiga do cudzej trumny. Chciała, żeby to okazało się tylko snem. Chciała zacisnąć powieki i znów je otworzyć, w nadziei że wszystko wróci na swoje miejsce, że koszmar minie. Zamyka oczy i je otwiera. Ale Ingmar nie znika. Blum wciąż jest

w hotelu, w łóżku. Jest noc. I nie robi się jasno.

Spał. Nie obudził się, kiedy wstała i wymknęła się z pokoju. Była głodna, musiała coś zjeść, przez cały wieczór tylko piła, ścisk w brzuchu dodatkowo pogarszał sprawę, jej żołądek się buntował. Jej głowa, jej usta, wszystko krzyczało. *Chcę jeść. Chcę zadzwonić do domu, dowiedzieć się, co z dziewczynkami. Chcę do domu. Chcę, z powrotem zasypać ten grób i pozwolić temu wieprzowi w nim zgnić. Nie chcę, żeby wszystko zaczęło się od początku. Nie chcę. Chcę tylko coś zjeść. Znaleźć kuchnię, lodówkę. Chcę się ukryć. Nie chcę tu być.* Rozpacz i głód. Blum zeszła schodami, nie użyła windy, wolała nie robić hałasu, uniknąć spotkania z Gertrud, nie budzić kolejnych demonów. Chciała tylko coś zjeść. Napić się wody i pomyśleć. Sama w tej ogromnej kuchni. Aluminium i stal, wszystko wypolerowane na błysk, wszystko gotowe do użycia. Tylko światło parkowych latarni majaczyło za oknem. Blum przemknęła przez spowite w półmroku pomieszczenie, ostrożnie, po cichu. Nie знаła tego miejsca, Ingmar nie pokazał jej kuchni, rzuciła na nią jedynie okiem. Chciała kromkę chleba, plasterek wędliny lub sera, musiała zapełnić dziurę w brzuchu, przywrócić organizmowi zdolność działania, musiała odzyskać jasność myśli, podjąć decyzję. Otwierała po kolei szuflady i szafki, ale niczego w nich nie było. Pusto, ani kromki chleba, nic, czym mogłaby zaspokoić głód. Tylko ten głos, który nagle rozległ się za jej plecami.

Jego twarz. Zjawiała się nagle przed jej oczami, jego drżące ciało, jego kroki, których nie usłyszała, bo tak była zaabsorbowana szukaniem, bo nie spodziewała się, że ktoś jeszcze może zejść do kuchni. Alfred Kaltschmied, patriarcha, który nie chciał jej widzieć, ojciec Ingmara, mężczyzna, który adoptował Björk. Nagle stanął obok niej, w środku nocy. Odezwał się i wpatrywał w nią wyczekująco, z pytaniem w oczach. Blum na chwilę wstrzymała oddech, dopiero potem zaczęła z nim rozmawiać. Nie miała wyboru, nie mogła uciec, zniknąć, umknąć przed jego spojrzeniem. Rozmawiała z nim, odpowiadała na jego pytania i sama pytała. Nie spanikowała, zachowywała się tak, jakby zupełnie nie zaskoczyło ją to spotkanie, jakby rozmowa z nim była czymś najbardziej naturalnym na świecie. Zrobiła to, bo nie miała już nic do stracenia. Nieważne, czy ją wypędzi z tego domu. Zamiast się bronić, postanowiła

zaatakować.

– Wystraszył mnie pan.

– Co pani tutaj robi?

– Chce mi się pić. I jestem głodna. Ale zdaje się, że ta kuchnia nie jest używana.

– Blum, prawda?

– Tak, tak się nazywam.

– Trudno ci będzie znaleźć coś do jedzenia, Gertrud zaprowadziła własne porządki.

– Mówimy sobie po imieniu?

– Owszem. Jestem Alfred, ale to na pewno już wiesz.

– Twój syn mnie zaprosił.

– Dobrze, że przyjechałaś.

– Naprawdę?

– Tak.

– Chciałaś, żebym wyjechała. Nie chciałaś mnie widzieć, nawet nie chciałaś mnie poznać. Odrzuciłaś mnie. Skąd ta nagła zmiana?

– Miałem czas na przemyślenia. Cieszę się, że zabłąkałaś się do mojej kuchni.

– Cieszysz się?

– Tak. Jeśli masz ochotę, mogę zrobić jajka sadzone. A może omlet?

Wszystkiego się mogła spodziewać, ale nie tego, że będzie tak miły. Że będzie chciał z nią rozmawiać, że będzie dla niej robił jedzenia, że pozwoli jej patrzeć na swe drżące dłonie. Rozbił jaja, pokroił szynkę i szczypior. Nie zważał na to, że rozlewa wodę, że Blum widzi, jak niezdarnie trzyma trzepaczkę. Mówił o swojej przeszłości. Niepytany pogрузzył się we wspomnieniach, pozwolił Blum usłyszeć historię, którą miał do opowiedzenia ten dom, niespodziewanie przyjął ją z otwartymi ramionami. Choć ledwie kilka dni wcześniej wypędził ją niczym psa.

Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Pusty hotel, ta kuchnia, cebula szkląca się na patelni i ta jego niespodziewana serdeczność. Alfred. Jego pytania, jego odpowiedzi. Postawił przed Blum talerz z omletem. Jego obecność napęłniała ją spokojem, jakby się znali od lat. Wspólnie wiosłowali w przeszłość, rozmawiali o jego życiu,

o Ingmarze i Björk. O Solveig. I o sierocińcu gdzieś nad Jeziorem Bodeńskim.

– Nie było cię tam.

– Nie rozumiem.

– Była tylko Björk. Tylko jedna dziewczynka, nie dwie. Nikt nie wspomniał, że ma bliźniaczkę. Naprawdę nie miałem o niczym pojęcia.

– Nie powiedzieli wam?

– Nie.

– Nie wspomnieli, że ma siostrę?

– Ani słowem, przysięgam. Była tylko Björk.

– Czyli mnie już nie było?

– Gdybyśmy wiedzieli, nie rozdzielilibyśmy was. Musisz mi uwierzyć.

– Wzięlibyście dwójkę?

– Tak. Solveig zawsze bardzo chciała mieć dzieci.

– A ty?

– Chciałem, żeby była szczęśliwa. Nigdy nie pragnąłem niczego innego.

– Ingmar powiedział mi, co się stało.

– To znaczy?

– Powiedział, że ją bardzo kochałeś.

– To prawda.

– Powiedział, że znalazłeś ją w lesie.

– Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, chciała skoczyć z drzewa.

Przekonałem ją, żeby tego nie robiła.

– Słucham?

– Wysoko na drzewie była kobieta. Stała na gałęzi z zamkniętymi oczami, nie trzymała się pnia. Miała na sobie białą suknię. Była przepiękna.

– Co się stało?

– Zeszła.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Zacząłem z nią rozmawiać. Opowiedziałem jej o lesie, powiedziałem, że drzewo, na które się wspięła, to dąb. I że straszy wiewiórki. Paplałem co mi ślina na język przyniesie.

– Może tam na ciebie czekała?
– Może.
– Uratowałeś jej życie.
– Niestety nie.
– Przecież zeszła z tego drzewa, prawda?
– Ale i tak nie żyje.
– Przykro mi.
– Powiedziałaś, że Ingmar ci o tym mówił, tak?
– Owszem.
– Nie uratowałem jej życia. Ani jej, ani Ingmarowi.
– Nie rozumiem.
– Gdyby nie ta tragedia, jego życie z pewnością potoczyłoby się inaczej.

– Co się stało?
– Ingmar spędził ponad dwa lata w szpitalu. Takie coś nigdy nie wychodzi na dobre. To wtedy wszystko się zawaliło, z dnia na dzień wszystko się rozsypało.

– O czym ty mówisz?
– Ingmar jechał rowerkiem przez hotelowe lobby. Zabranialiśmy mu, ale nie słuchał. Jeździł przy każdej okazji, nic nie sprawiało mu takiej frajdy. Mijał gości, przejeżdżał hol, wjeżdżał do jadalni i z powrotem pędził do ogrodu. Uśmiechał się od ucha do ucha, był szczęśliwy, rozumiesz? Nie umieliśmy się na niego gniewać.

– Co się stało?
– Ingmar jechał rowerem przez hol, kiedy Solveig skoczyła.
– Nie.
– Niestety to prawda.

Widok był przerażający. Alfred opisał tę scenę. Chłopiec leżał pod ciałem matki, nie ruszał się. Cała podłoga we krwi, Ingmara i Solveig, matki i syna. Wszyscy myśleli, że oboje nie żyją, oboje. Że go zmiażdżyła. Bo już się nie ruszał. Histeryczny krzyk recepcjonistki, pootwierane usta siedzących w holu gości. Słyszeć było tylko stłumione echo. Śmiech Ingmara, który nagle umilkł.

Z oczu Alfreda spłynęła łza. Chciał to ukryć, lecz Blum ją dostrzegła. Łzę, którą otarł z policzka. Historia z zamierzchłej

przeszłości wciąż nie przestała go boleć. Alfred stracił żonę, jego syn przez siedem miesięcy leżał w śpiączce. Cud, że nie umarł. Ingmar. Na zawsze już naznaczony kalectwem bez przerwy przypominającym o tamtym dniu. O tym cudownym życiu, które nagle się skończyło, i o gościach, których Alfred zwyczajnie wyrzucił. Musieli opuścić hotel, wszyscy, natychmiast, nie chciał, żeby widzieli krew na marmurowej posadzce, by się na nią gapili. Solveig i Ingmar. Alfred nie chciał, żeby na nich patrzono, stracił panowanie nad sobą. *Wróciłem właśnie z ogrodu i w pierwszej chwili zobaczyłem tylko gości. Stali wokół i patrzyli. Nic nie zrobili, nikt nie próbował im pomóc. Tylko patrzyli, jak na zwierzęta w zoo. Na lwicę, która rozszarpała swoje młode. Zacząłem krzyczeć. Tak głośno, że spakowali swoje walizki i wyjechali.*

Kuchnia, Alfred. Dwadzieścia lat później. Gdy o tym mówi, wciąż z trudem chwyta powietrze. Tak jakby przez dwadzieścia lat milczał, jakby Blum była pierwszą osobą, której może o tym powiedzieć. To wszystko było dla niego nie do zniesienia. To, że Solveig uciekła, zostawiła go samego z dziećmi, z Ingmarem w szpitalu. Długie miesiące siedzieli przy jego łóżku, Alfred i Björk, trzymali dłoń Ingmara i płakali. Aż w końcu otworzył oczy. Alfred był zrozpaczony, Blum wręcz czuła jego bezradność. Widziała ją w jego oczach, patrzyła, jak unosi drżącą dłoń i ociera kolejną łzę. Stary schorowany człowiek wspominający życie w cudownym hotelu na końcu świata. Chłopca w wózku inwalidzkim jeżdżącego po pustych korytarzach. Robiącego powolne postępy, uczącego się znowu chodzić. Wszyscy próbowali żyć dalej w tym raj. Alfred, Ingmar i Björk.

Za dużo tego wszystkiego. Po euforii, z jaką mówił, nastąpiło otrzeźwienie. Blum miała własną historię, która rzucała ją na kolana i ciągnęła w dół, w jej duszy nie było już miejsca na cudze cierpienie, na współczucie. O wiele za dużo tego wszystkiego. Mimo to słuchała Alfreda aż do świtu, sprawiała wrażenie, że sama nie ma żadnych kłopotów. Jakby nie było dziewczynek tęskniących za mamą, policji rozkopującej cmentarz i innych problemów. Nie chciała o tym myśleć. Również o Ingmarze. O jego języku w jej ustach, jego skórze na jej skórze. Po prostu słuchała starego człowieka, który z jakiegoś powodu postanowił się jej zwierzyć. Alfred.

Potem zniknął w czeluściach hotelu. Uścisnął ją jeszcze, po czym pojechał windą na górę i zniknął w swoich apartamentach. Pożegnał ją smutnym spojrzeniem i odjechał. *Muszę się jeszcze zdrzemnąć*, powiedział. Znowu została sama. W holu panowała zupełna cisza. Nie zakłócał jej żaden dźwięk, skrzypienie otwierających się lub zamykających drzwi, ludzki gwar, stukanie naczyń. Nic. Została sama. Ingmar i Alfred byli gdzieś na górze. *Nikogo więcej tu nie ma*, powiedział. *Tylko mój syn i ja mieszkamy w tym domu. Pozostali nie żyją*. Od dwudziestu lat nie było tu żadnych gości, Alfred zamknął wtedy hotel i nigdy więcej go nie otworzył.

Blum wyobraziła to sobie. Życie w hotelu, bezbrzeżną samotność, ponieważ budynek był tak ogromny, ponieważ na każdym kroku wszystko przypominało, że kiedyś kipiało tu życie. Setki pustych foteli i łóżek, setki pomieszczeń, których nie wypełniał już ludzki głos, oddech, śmiech. Tylko bogaty mężczyzna, który mógł sobie pozwolić na to, żeby budynek stał pusty. W recepcji nie było sympatycznej recepcjonistki przyjmującej i wydającej klucze, nie było kelnerów serwujących wykwintne potrawy, armii pokojówek ścielących łóżka. Tylko Gertrud, prawa ręka Alfreda. Troszczyła się o wszystko, odkąd umarła Solveig. Dbala, żeby było czysto, żeby wszystko błyszczało i lśniło. Gertrud zajmowała się naprawą zepsutych sprzętów, Gertrud wszystko koordynowała, Gertrud zachowywała pozory, była duszą tego miejsca. *Troszczy się o nas*, powiedział Alfred. *Należy do rodziny. Będzie dla ciebie przygotowywać śniadania*. Stara dobra Gertrud. Już

niedługo przyjdzie tu z domu dla personelu. Już wkrótce. Lecz zanim się zjawi, Blum będzie dalej śnić koszmar, wyobrazać sobie to, co niewyobrażalne.

Myślała o tym, że w hotelu jest sześćset nieużywanych łóżek, baseny, ogrody, że mieszkała tu matka, która omal nie zabiła własnego syna. Dwa samobójstwa w jednym domu, cierpienie i złote poręcze, kryształowe żyrandole na suficie i wspomnienia wypełniające tę przestrzeń. Z każdego kąta wyziera przeszłość, czas, który się nagle zatrzymał, idealne miejsce, żeby się ukryć. Hotel Solveig. Tutaj nikt nie będzie jej szukał, nikt oprócz Kuhna nie zdoła połączyć jej z tym miejscem. Blum, o ile to było możliwe, odsunęła od siebie cudze historie i postanowiła zaczekać tu, dopóki się nie dowie, co się dzieje w Innsbrucku. Poprosi Ingmara, żeby kupił jej dwa telefony, jeden z nich wyśle do domu, a potem zadzwoni. Tak jak poradził jej Reza. Nie chciała popełnić błędu, wiedziała, że Reza ma rację. Musi odczekać dwa dni, potem będzie mogła z nimi porozmawiać. Z Rezą, Karlem i dziewczynkami. Mimo że potwornie za nimi tęskniła, oparła się pokusie sięgnięcia po któryś z hotelowych telefonów. Powstrzymała się, chociaż zżerała ją ciekawość, chociaż tęskniła za dziewczynkami. Żadnego niepotrzebnego ryzyka, żadnych e-maili, żadnych telefonów.

Cisza. Słysząc tylko jej głos, nic poza tym. Nawet gdyby chciała, nie byłoby to możliwe. Dwadzieścia lat temu życie wyglądało inaczej. Pokoi nie otwierano kartami, nie było Internetu, szybkich małych komputerów, które pozwalały z własnego domu łączyć się z całym światem. Nie było Skype'a, FaceTime'a, nie było niczego. Tylko staroświecki telefon i wielka księga rezerwacji. Rodzina Goldsteinów z Berlina, dwa tygodnie w lipcu dziewięćdziesiątego trzeciego. Ostatni wpis, potem pusto. Aż do dzisiaj, do teraz. Nie do wiary, że Alfred nie sprzedał hotelu, że sztucznie podtrzymuje go przy życiu, że nie zabrał dzieci i się stąd nie wyprowadził. Alfred Kaltschmied wydał majątek na to, by żyć w przeszłości. Miał parkinsona, był naznaczony chorobą i do dziś nie otrząsnął się po śmierci żony. Pustelnik, serdeczny człowiek. Blum ze wzruszeniem słuchała, gdy opowiadał, jak bardzo je kochał. Solveig i Björk.

Blum wzięła się w garść. Jakkolwiek tragiczna, straszna

i groteskowa okazała się ta historia, nie dlatego się tutaj znalazła. Była tutaj, bo Reza powiedział, że musi uciekać, musi się ukryć. Właśnie dlatego. Nie z powodu Solveig i Björk, nie z powodu Ingmara i Alfreda, nie z powodu księgi gości, w której od 1993 roku nie dokonano żadnego wpisu. Była tutaj z powodu martwego aktora, z powodu Benjamina Ludwiga, jeszcze niedawno gwiazdy telenoweli. I z powodu pozostałych czterech mężczyzn, którzy mieli na sumieniu jej męża. Właśnie dlatego. Ci dranie zabili Marka, odebrali go jej. Bo był policjantem, bo stał po stronie dobra, bo wierzył, że może uchronić świat przed złem. Mark. Niepoprawny marzyciel. Mylił się, zabili go, a Blum go pomściła i teraz będzie musiała za to zapłacić. Proste.

Ukryła się. Tutaj nikt nie będzie jej szukał. Nieważne, co zrobiła, nieważne, że popełniła tyle błędów, liczy się tylko to, by pozostała w ukryciu. Rozumiała, że to najlepsze, co jej się mogło przytrafić, że to prawdziwe zrzędzenie losu. To, że ci dwaj mężczyźni przyjęli ją pod swój dach. Ten dom był niczym wyspa, na którą się zabłąkała, metodycznie badała nieznaną terytorium, starała się spojrzeć na wszystko trzeźwo. Chodziła od pokoju do pokoju, próbowała znaleźć telewizor, włączyć kanał informacyjny, dowiedzieć się, co się dzieje na zewnątrz. Na większości ekranów był tylko szum, żadnego obrazu, dopiero na czwartym piętrze znalazła sprawny odbiornik. Przeskakiwała po niemieckich kanałach, szukając wiadomości z Austrii, informacji o dziwnym znalezisku na innsbruckim cmentarzu. O zbiegłej właścicielce zakładu pogrzebowego. O odnalezieniu zaginionego aktora. Na próżno jednak szukała wieści o spektakularnej zbrodni w Tyrolu. Ani słowa. Ani o zabójcy jej męża, człowieku, którego porwała, a następnie zabiła i poćwiartowała, ani o pozostałych mężczyznach, którzy gwałcili, katowali, kopali i upokarzali. I zabijali. Ani słowa. W jej serce znów wstąpiła nadzieja.

Przeszłość. Wszystko znów stało się tak bliskie. I było jej z tym dobrze. Odzyskała pewność siebie, czuła, że gdyby musiała, zrobiłaby to ponownie. Obezwładniła, zabiła i zakopała. Przypomniała sobie te pięć bestii i znów wezbrał w niej gniew. I bezsilność. Tak jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj, jakby dopiero co pogrzebała tego cholernego sadystę. Komedianta, który wspólnie z przyjaciółmi porwał dwie

mołdawskie pokojówki i młodziutkiego pomocnika kucharza, a potem przez lata gwałcił ich, katował, pokrywał ich ciała ranami, powoli zabijał. Blum odzyskała grunt pod stopami.

Przypomniała sobie. Wszystko. Nie mogła pozwolić, żeby im się upiekło, znalazła ich i zabiła, tak jak oni zabili Marka. Po kolei, jednego po drugim. Porywała ich, zabijała, ćwiartowała, starannie pakowała części ich ciał i ukrywała je w trumnach innych umarłych. W sali przygotowań swojego zakładu pogrzebowego. Przykryła zło warstwą ziemi. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że z powrotem wychynie na powierzchnię.

Woda, basen. Blum rozebrała się i wskoczyła, tak po prostu, na chwilę. Zanurzyła się, wstrzymała oddech, zamknęła oczy. A teraz unosiła się nago w błękicie, leciutko się poruszała, tylko tyle, żeby nie pójść na dno. Musiała to zrobić, chciała zmyć z siebie dotyk Ingmara, wszystko, co opowiedział jej Alfred, chciała być sama. Tylko ona, tylko jej myśli. Nie chciała, by wszystko się pomieszało. Zbyt wiele historii, zbyt wiele losów, zbyt wiele twarzy. Zakochane oczy Ingmara, drżące wargi Alfreda, Benjamin Ludwig i pozostali. Reza, Karl i dziewczynki. Blum chciała ukryć się w ciemnej szafie, zaciągnąć kołdrę na głowę, zakopać się w morskim dnie, czuć jedynie ciepłą wodę na skórze. Tylko od czasu do czasu poruszyć lekko rękami. Aż znowu nadejdzie noc. Aż w telewizorze na czwartym piętrze coś powiedzą. Chce być nago, w ciemności. Pozwalać się nieść wodzie. Aż wszystko wróci na swoje miejsce, aż wszystko znów będzie dobrze.

Minęło dziesięć minut, może dwadzieścia. Blum nie miała pojęcia, jak długo już stała i się jej przyglądała. Gertrud. Czekwała na brzegu basenu. Palila papierosa. Spokojna, zrelaksowana, nie powiedziała ani słowa, kiedy Blum przechyliła głowę na bok i na nią spojrzała. Dziwna scena. Blum. W wodzie, nago, nie rusza się z miejsca. I Gertrud. Stoi w milczeniu. Obca i zarazem znajoma. Z jakiegoś powodu Blum nie przeszkadzało, że ta stara kobieta się na nią gapi. Postanowiła, że zostanie w wodzie, nie pozwoli się zbić z pantałyku, nie będzie uciekać, nie da się upokorzyć. Unosiła się tylko w wodzie, patrzyła na Gertrud. I myślała.

Dwie kobiety na pustej pływalni, ich skrzyżowane spojrzenia. Żadna z nich nie chciała wykonać pierwszego kroku, ruszyć w kierunku drugiej, zachowywały bezpieczny dystans. Gertrud zgasła papierosa w kieszonkowej popielniczce i zapaliła następnego. Przez kilka minut tylko milczały, jakby to była jakaś zabawa. Albo rozgrywka. Kto dłużej wstrzyma oddech. Kto się pierwszy odezwie. Kto nie wytrzyma. Nie było to przyjemne, lecz Blum nie ruszyła się z miejsca. Aż zgasł następny papieros. Aż Gertrud poprosiła, by Blum poszła z nią do ogrodu zimowego. Usłużnie wyciągnęła ku niej ręcznik i zaczęła, aż Blum wyjdzie z wody. *Śniadanie gotowe*, powiedziała. Tylko tyle.

Była uparta i zdecydowana. *Proszę za mną, pora, byśmy się rozmówiły.* Gertrud się uśmiechnęła, Blum odpowiedziała uśmiechem. Wyszła z basenu, ubrała się i ruszyła za Gertrud pustymi korytarzami. Nim Alfred wrócił do łóżka, musiał powiadomić ochmistrzynię o niezapowiedzianej wizycie i zapewne polecił jej, by była dla Blum miła. Gertrud się starała. W cudownej oranżerii podała obfite śniadanie, potem jakby nigdy nic przysiadła się do Blum i zapaliła kolejnego papierosa. Nie było nikogo, kto mógłby jej zwrócić uwagę, że tu się nie pali. Gertrud okrążała Blum niczym drapieżny ptak, w każdej chwili gotowa bezlitośnie rzucić się na swoją ofiarę. Blum widziała to w jej oczach. Była jak stary pies, jak praczka, która na chwilę siada, by poplotkować, zanim wróci do swych obowiązków i zajmie się tym ogromnym domem. Wierna towarzyszka Alfreda, zastępcza matka Ingmara, kobieta, która w razie konieczności byłaby gotowa zamienić się w bestię. Blum czuła to. Że Gertrud, niezależnie od tego, jak bardzo jest miła, w każdej chwili może zaatakować.

– Wiem, dlaczego pani tu jest.

– Wątpię.

– Chce pani pieniędzy.

– Bzdura.

– Więc czego?

– W tej chwili? Tabletki na ból głowy.

– Wiem, że chce pani pieniędzy.

– Mam inne zmartwienia, proszę mi wierzyć.

– Jakie?

– Woli pani nie wiedzieć.

– Wręcz przeciwnie, chętnie się dowiem.

– Czy ta rozmowa jest konieczna?

– Owszem.

– Gertrud, prawda?

– Tak.

– Dziękuję za śniadanie, Gertrud, ale w tej chwili chciałabym zostać sama, chciałabym tu posiedzieć i popatrzeć przez okno. Dwa, może trzy dni, potem zniknę, obiecuję.

– Nie, musimy porozmawiać.

- Niby dlaczego?
- Bo jest pani ciekawska, bo na pewno chce pani wiedzieć jeszcze więcej, bo Alfred z pewnością nie powiedział pani wszystkiego.
- Jestem pewna, że nie miał nic więcej do powiedzenia.
- Może jednak?
- Dziękuję, naprawdę mam dość.
- Nie chce pani dowiedzieć się więcej o swojej siostrze?
- A co pani może mi o niej powiedzieć?
- Musi panią zżerać ciekawość.
- Przecież to niczego nie zmieni. Ona nie żyje, prawda?
- Owszem. Ale może chciałaby pani wiedzieć, jakim była człowiekiem.
- Myślę, że to raczej pani chce wiedzieć, jakim ja jestem człowiekiem. Dlatego pani tu jest. Żeby się dowiedzieć, czego tu szukam, co zamierzam, czy chcę naciągnąć biednego Alfreda na jego miliony. Mam rację?
- Pani siostra była dobra.
- Dobra?
- Była bardzo wrażliwa. I skromna. Tak naprawdę nie pasowała tutaj.
- Co ma pani na myśli?
- Zawsze była inna, wyjątkowa.
- Pewnie dlatego po śmierci pozwoliła się wypchać.
- Niech pani przestanie.
- Nie rozumiem.
- Niech pani tak o niej nie mówi.
- Dlaczego? Jeździ po ulicach Wiednia niczym Barbie na grzbiecie zebry. Wypchana jak zwierzę.
- Wiem. I boli mnie serce, gdy o tym myślę.
- Dlaczego?
- Bo to do niej nie pasuje.
- Kuhn spreparował ją zgodnie z jej życzeniem.
- Tego właśnie nigdy nie rozumiałam.
- Czego?
- Ona taka nie była. Zawsze odrzucała to, co robi Leo. Nigdy nie

rozumiałam, dlaczego pozwoliła mu to ze sobą zrobić.

– Pani również uważa, że to, co robi Kuhn, nie jest dobre?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Myślę, że tak. Bądź co bądź Kuhn obdarł biedną Björk ze skóry i poćwiartował, otworzył jej klatkę piersiową i pomalował jej serce na różowo.

– Owszem.

– Zrobił z niej monstrum.

– Leo jest przyjacielem Ingmara, należy niemal do rodziny, bywa tutaj od lat. To, co robi, to jego sprawa. A jeśli Björk tego chciała, to niech tak będzie. I tyle. Koniec kropka.

– Jakie były między nimi relacje?

– Między kim?

– Między Björk i Kuhnem.

– A niby jakie miałyby być?

– Czy coś ich łączyło?

– On ją adorował, od samego początku. Odkąd pierwszy raz przekroczył próg tego domu. Można powiedzieć, że Björk była kobietą jego marzeń.

– I zdobył ją?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego. Nigdy nie rozumiałam tej dziewczyny. Na przykład dlaczego wyjechała. Do Afryki. Tak daleko. Musiała być bardzo samotna.

– Dlaczego się zabiła?

– Nie mam pojęcia, naprawdę. Zawsze myślałam, że znam swoje dzieci.

– Pani dzieci?

– Od dawna żyjemy tu razem. Widziałam, jak dorastali. To moja rodzina.

– Skoro to pani rodzina, to dlaczego mieszka pani w domu dla personelu?

– Jestem ochmistrzynią, nie żoną Alfreda. Troszczę się tutaj o wszystko. O Ingmara, o Alfreda. A wcześniej również o Björk.

- Była pani ulubienicą, prawda?
- Skąd pani wie?
- Widzę, jak pani na mnie patrzy.
- Niby jak?
- Jakby mnie pani lubiła.
- Bzdura.
- Wyglądam jak Björk. Pani sobie ją przypomina, widzę to w pani oczach. Ma pani wrażenie, jakby ona wróciła, prawda?
- Niech pani przestanie.
- Śniadanie z biedną Björk w ogrodzie zimowym, jak dawniej.

Mam rację?

- Proszę, niech pani przestanie.
- Dlaczego? Przecież to pani chciała koniecznie ze mną rozmawiać. Poupajajmy się więc odrobinę przeszłością. Czyż to nie jest cudowne?

- Nie.
- W każdej chwili może pani zakończyć tę rozmowę.
- Wiem.
- Jak powiedziałam, zostanę tu dwa, trzy dni, potem zniknę.
- Nie musi pani.
- Owszem, muszę.
- Mogłybyśmy się lepiej poznać.
- Niby po co?
- Raczej dlatego. Dlatego że być może ma pani rację.
- W jakiej sprawie?
- Że panią lubię.

Po tych słowach zapadła cisza. Siedziały i patrzyły na siebie, ich spojrzenia się spotykały, w powietrzu unosił się zapach kawy i świeżo podpiezonego chleba. Tylko Gertrud i Blum, równe sobie. Zawieszenie broni, a potem nagle ta bliskość. Ledwie przed chwilą okazywały sobie nieufność, a teraz siedziały w milczeniu, odprężone, spokojne. Uczucia, które dopuściła do siebie Gertrud, wyjaśniły sytuację. W jednej chwili zniknęła cała wrogość, podejrzliwość, sceptycyzm, został tylko ból Gertrud, jej tęsknota za Björk, pragnienie, by znów jej dotknąć, zobaczyć żywą. Nagle między Blum i Gertrud zrodziła się więź. Tęsknota za

córką, tęsknota za matką. Gertrud. Serdeczna kobieta, która po śmierci Solveig wychowała Ingmara i Björk. To jej ręce ich dotykały, to ona ich przytulała, jej głos ich pocieszał. Dbała o to, by życie toczyło się dalej, życie w tym spustoszonej przez śmierć raju. Nie pozwoliła, by wtargnęło tu zło. Chroniła obu swych mężczyzn, gotowała dla nich, troszczyła się o nich. Pies stróżujący, który tym razem nie zaszczekał. Chociaż paraliżowały ją wspomnienia, nie chciała dłużej skrywać uczuć. Miłości do Björk. Bez słowa wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Blum i mocno ścisnęła. *Nie do wiary, że jesteście do siebie aż tak podobne. Tak bardzo mi jej brak*, powiedziała. Przez kilka minut tylko patrzyła na Blum, trzymając jej rękę. Było cudownie. Oto ta troskliwa matka, o której marzyła Blum. Na chwilę znów zbudziło się w niej poczucie rodzinnej bliskości, na chwilę znów pozwoliła się zwieść mrzonce. Aż w końcu Gertrud wstała i wyszła. Tak po prostu, nawet się nie obejrzała.

Blum została. Jej pusta dłoń na stole, paczka papierosów, zapalniczka. I ta ogromna dziura, którą wypaliła w niej Gertrud. Przypomniała sobie dzieciństwo, znów poczuła tęsknotę, która trawiła ją przez dwadzieścia lat. Nie zaznała czułości, miłości, nie miała matki, która by ją przytuliła, objęła, pocieszyła. Tylko obowiązki. Nie była dzieckiem, tylko następczynią Hagena, spadkobierczynią rodzinnego zakładu, jego żołnierzkiem. Małą dziewczynką, która wołała o miłość, która chowała się w chłodni i rozmawiała z umarłymi. Bo nikt inny nie chciał jej słuchać. Tyle lat samotności.

Blum sięgnęła po papierosa, zapaliła. Wyglądała przez okno, wydychając dym wysoko nad głowę. Znów dopadła ją przeszłość. Myślała o tym, jak mogło wyglądać jej życie, co mogła zrobić inaczej, czego uniknąć. I jak wtedy potoczyłyby się jej losy. Lecz czasu nie da się cofnąć. Nie mogła mieć innych rodziców ani liczyć na ulaskawienie, nie było dla niej nadziei. Wszystko wyjdzie na jaw, trafi do celi, odbiorą jej dzieci. Tak zwyczajnie. Tak jak zwyczajny był dym, który wychodził z jej ust, jak zwyczajny był uśmiech Ingmara, kiedy podszedł do jej stolika.

Ingmar Kaltschmied. Obudził się i pogodny, uśmiechnięty zszedł na śniadanie. Dla niego to była tylko zabawa, kilka ekscytujących dni. Blum wniosła nieco ożywienia w życie bogatego młodzieńca. Było mu

obojętne, co stanie się jutro, chciał tylko siedzieć z Blum przy tym stoliku. Mały Ingmar ze sztywną nogą, jedno z dzieci Gertrud, chłopiec, który został niemal zmiażdżony przez własną matkę. Z tym dziecięcym uśmiechem na twarzy chciał dotknąć dłoni, którą Gertrud przed chwilą puściła. Lecz Blum ją cofnęła. *Nie, Ingmarze, powiedziała. Musisz teraz coś dla mnie zrobić. Muszę ci zaufać. Oprócz ciebie nie mam nikogo, kogo mogłabym o to prosić. Tylko ciebie.*

Blum poprosiła go. Tak po prostu. Wiedziała, że jej nie odmówi. Tylko on mógł kupić telefony, tylko on mógł jeden z nich wysłać Karlowi i Rezie. Byłby jednym z wielu klientów elektromarketu, nie wzbudzając podejrzeń, mógł kupić prepaidowe komórki i nadać paczkę na pocztę. Drobiazg. Chętnie się zgodził. *Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. Nie martw się, Blum. Jakoś przez to przejdziemy. Zostań tu i spróbuj się odprężyć. Gertrud spełni wszystkie twoje życzenia. Niedługo wracam. Wtedy porozmawiamy.*

Blum milczała. Patrzyła przez okno i paliła papierosa za papierosem, nieważne, że jej nie smakowały. Nieważne, że z nim spała. Nieważne, co sobie myślał. Gdy wyszedł, starła z ust jego pocałunek. Wargi, którymi ją musnął na pożegnanie. Nie chciała ich czuć.

Czas płynął ociężale. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Słońce miało wkrótce zejść, każda minuta oczekiwania była dla niej udręką. Ingmar przepadł jak kamień w wodę. Już dawno powinien wrócić, do miasta była ledwie godzina drogi. Kupno telefonu, zapakowanie jednego z nich, wizyta na poczcie – już dawno powinien siedzieć obok niej i ją uspokajać, że wszystko będzie dobrze, że znalazł sposób na to, by wydostała się z tarapatów. Ale w hotelu nie słyszał jego wysokiego głosu, nie odbierał też telefonu, Blum milion razy próbowała się do niego dodzwonić, bez rezultatu. Raz po raz szła do recepcji i wybierała jego numer, ale ciągle odzywała się poczta. Była niespokojna, skąd mogła wiedzieć, czy Ingmar nie poszedł na policję i jej nie zdradził. Bała się, że opowie im o wszystkim, co usłyszał w jej łazience. Że Blum zabiła pięciu ludzi, że poćwiartowała swoje ofiary i ukryła je w trumnach. Niepozorna kobieta, właścicielka prowincjonalnego zakładu pogrzebowego. Ingmar miał ją w garści.

Czuła, że ogarnia ją panika. W coraz ciemniejszych barwach wyobrażała sobie, co też mogło się stać. Miała dość czasu na rozmyślanie. Bo przecież nie mogła nic zrobić, tylko czekać. Siedzieć beczynnie i bezradnie wyglądać przez okno. Stała i patrzyła. Na lasy, na park rozpościerający się w dole, obserwowała Gertrud. Kobietę, która rano trzymała jej dłoń, a teraz dzierży piłę spalinową. Stoi na drabinie i przycina gałęzie drzew. Robi to jak mężczyzna, nie waha się, nie boi się piły, po prostu pracuje, obcina konar po konarze. Gałęzie spadają na ziemię. Czas płynie. Blum obserwuje każdy ruch ręki, każdy krok, patrzy, jak Gertrud siada na traktorze i z łatwością manewruje przyczepką między drzewami. Jak ociera pot z czoła i rzuca okiem w górę. W stronę Blum. Ku oknu, za którym stoi. Przez chwilę patrzy sobie w oczy, po czym Gertrud znów sięga po piłę i odcina kolejną gałąź. Blum zamyka oczy.

Stała tak jeszcze przez chwilę, potem znów ruszyła na obchód hotelu. Chętnie wyszłyby na dwór, przespacerowałyby się po lesie, pomogła Gertrud przy drzewach. Ale to niemożliwe. *Nikt nie może cię zobaczyć, Blum. Nawet przypadkowy turysta. Obiecuj mi, że zostaniesz w domu.* Blum była uwięziona w tej złotej klatce. Mogła jedynie zabić

czas wędrówką po hotelu. Cisza i samotność były nie do zniesienia, sprawiały wręcz ból. Otwierała kolejne drzwi, by czymś się zająć, lecz to wcale nie pomagało. Wskakiwała na stoły, fikała po sofach, krzyczała. Jej głos niósł się po całym hotelu, lecz nikt jej nie słyszał, nikt nie przyszedł, by jej powiedzieć, że ma zachowywać się ciszej. Hotel był martwy. Był tylko cieniem, wspomnieniem, które Alfred chciał koniecznie zachować, zakonserwowanym uczuciem. Pamiątką po jego żonie, która chodziła po ogromnym perskim dywanie w lobby. Po Solveig, która z taką pieczołowitością zaaranżowała wnętrze hotelu, po Solveig, która rzuciła się z dwunastego piętra.

Blum stała dokładnie tam, skąd musiała skoczyć żona Alfreda. Przy balustradzie, ze wzrokiem skierowanym w dół. To byłoby takie proste. Skok i śmierć. Lecz Blum tego nie robi. Dźwignie ten ciężar. To, że nastał wieczór, a w domu nie dało się zauważyć śladu życia, że wszystko przypominało kulisy, muzeum, w którym ma czekać, aż ktoś przyjdzie i z nią porozmawia. Lecz Alfred przez cały dzień się nie odezwał, a Gertrud wciąż krzątała się na dworze wśród drzew. Znów próbowała się skontaktować z Ingmarem. Ponownie stanęła przy oknie i wybrała numer jego komórki. Rozpaczliwie próbowała się do niego dodzwonić, podczas gdy drzewa w parku powoli traciły gałęzie. Pozostało jej tylko czekać na powrót Ingmara. Lecz on nie wracał. Choć mijały godziny. Dlatego wyszła.

Musiała. Ingmar zostawił ją na łodzie. Czowała, że nie wytrzyma w tym domu ani chwili dłużej. Chciała wrócić do dziewczynek, zobaczyć je, przynajmniej rzucić na nie okiem, po cichu, z ukrycia. Obserwować je, patrzeć na ich twarzyczki. Nieważne, czy to, co zamierzała zrobić, było rozsądne. Chciała w końcu otrząsnąć się z beczynności, podjąć jakąś decyzję. Szybko pobiegła do małego salonu fryzjerskiego, przy wejściu do spa. Przechodziła tamtędy już kilka razy, mijała wielkie suszarki, staromodne fotele, barokowe lustra. Również tu wszystko lśniło, gdy zapaliła światło. Również tu Gertrud ścierała kurz z lamp, z szafek, wszystko leżało na swoim miejscu, jakby czekało na Blum, na to, by odchyliła głowę, jakby zaraz na jej włosy miała się poleć ciepła woda, a uprzejmy głos zacząć mówić o pogodzie, o cudownej szwarcwaldzkiej jesieni. Musiała ufarbować włosy, zmienić fryzurę. Już,

natychmiast.

Otworzyła szafkę z farbami, sięgnęła po środek do rozjaśniania, wodę utlenioną, chciała się zamienić w platynową blondynkę, skrócić włosy, tak żeby patrząc w lustro, nie poznać swojego odbicia. Wzięła nożyczki i zaczęła ciąć. Bez wahania. Znajoma fryzura zniknęła z każdym kolejnym cięciem. Była jak drzewo w parku, wokół niej gałęzie spadały bezgłośnie na podłogę. Jej włosy. Nałożyła wodę utlenioną i usiadła na krześle. Czekwała cierpliwie, chciała, żeby dawna Blum zniknęła bez śladu. Miała wyglądać krzykливо, inaczej, zwracać na siebie uwagę. Wtedy nikt jej nie rozpozna, nikt. Blondynki z krótkimi włosami. Nieznajomej kobiety stojącej przed lustrem. Tak, zmieniła się nie do poznania, krótsze włosy, nowy kolor, Blum stanęła przed lustrem w lobby, próbowała się oswoić z nowym wyglądem. Zmieniła się nie do poznania. A mimo to nadal była tą samą Blum. W środku wciąż czaił się potwór ukryty w leśnej gęstwinie.

Poszła na górę spakować swoje rzeczy, potem zbiegła schodami do podziemnego garażu. Nie oglądała się za siebie. Cieszyła się, że zostawia za sobą lobby i całą resztę, choćby nie wiem jak dobra to była kryjówka, choćby nie wiem jak bezpiecznie czuła się w tym domu, intuicja podpowiadała jej, że to nie jest dobre miejsce. Od pierwszego momentu hotel Solveig przypominał jej film, który jako dziecko musiała obejrzeć wspólnie z Hagenem. „Lśnienie”. Jeden z tych filmów, które miały ją zahartować, jeden z tych filmów, których Blum nigdy nie zdołała wymazać z pamięci. Pusty hotel w górach, w którym zimowała pewna rodzina. Szczęśliwe małżeństwo, któremu właściciele powierzyli opiekę nad budynkiem. Mieli spędzić cudowne miesiące, lecz wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. „Lśnienie” to horror, z ekranu leją się strugi krwi. Blum pamiętała niesamowitego, wywołującego ciarki na plecach chłopca na trójkołowym rowerku, który całymi dniami jeździł po niekończących się korytarzach. I jego ojca, który zamordował swoją rodzinę, ponieważ hotel powoli doprowadził go do szaleństwa. Wszystkie te obrazy stanęły teraz Blum przed oczami, zasiały w jej duszy głęboki strach. Te podobieństwa: mały Ingmar na swoim rowerku, rodzina w pustym hotelu, zmarli. Blum chciała uciec stąd jak najdalej, nie zamierzała składać swojego losu w cudze ręce. Dlatego wyszła

z pokoju.

W garażu zaczęła szukać samochodu, którym mogłaby wrócić do domu, do dziewczynek. Ale wszystkie były zamknięte. Bez wozu nie miała szans wydostać się z hotelu. Liczyła, że Ingmar albo Alfred zapomnieli wyjąć kluczyki. Szczęście jej jednak nie dopisało, w garażu nie czekał na nią zatankowany do pełna samochód, którym mogłaby uciec. Stał tylko niebieski rower oparty o betonową ścianę. Wyjechała na nim z garażu i ruszyła w dół wzgórza. Nie miała innego wyboru, w dolinie zamierzała wsiąść do pociągu, a w Innsbrucku pójść pieszo z dworca do domu. Była pewna, że jej się uda, że nikt jej nie rozpozna. I chociaż wiedziała, że popełnia fatalny błąd, nie mogła inaczej. Po prostu jechała. Kręciła pedałami. O niczym już nie myślała.

Kobieta na rowerze. Ingmar w pierwszej chwili jej nie rozpoznał. Chociaż minął ją bardzo powoli, nie zatrzymał się, pojechał dalej. Obrócił na chwilę głowę i spojrzał na krótkie blond włosy, lecz najwyraźniej nie od razu połączył w głowie obrazy, bo nie poświęcił jej większej uwagi. Zwykła rowerzystka, turystka, pewnie chciała zobaczyć hotel. Dopiero po kilku sekundach zahamował i zawrócił. Dopiero wtedy zrozumiał, kim jest kobieta, którą widział we wstecznym lusterku. Był wściekły, zmusił ją, by się zatrzymała, chwycił za rękę, wciągnął do samochodu i popędził z powrotem do domu. Niebieski rower został na skraju drogi.

– Oszalałeś?

– Musisz natychmiast wrócić do hotelu, nikt nie może cię zobaczyć. Szybko.

– Czyś ty oszalał?

– Miałaś zostać w hotelu.

– Mogę robić, co zechcę.

– Nie możesz, Blum.

– Co to niby ma znaczyć? Masz się natychmiast zatrzymać, chcę wysiąść. Nie chcę tu zostać, rozumiesz? Chcę wrócić do dziewczynek, i to już.

– To niemożliwe.

– Cały dzień na ciebie czekałam. Gdzie byłeś?

– Musimy porozmawiać, Blum.

- Więc mów, do cholery.
- Musisz się ukryć.
- Chcę wysiąść.
- Nie. Lada chwila wybuchnie bomba.
- Co się, na litość boską, stało?
- Obcięłaś włosy.
- Tak, obcięłam włosy. Mów natychmiast, co się dzieje, inaczej wysiadam. Nie możesz mnie zmusić, żebym tutaj została.
- Wiedzą, że to ty.
- Kto?
- Policja.
- A ty skąd o tym wiesz?
- Po prostu wiem.
- To niemożliwe. Pojechałeś do miasta kupić telefony. Jeden z nich miałeś wysłać do Karla.
- Ale nie wysłałem.
- Słucham?
- Chciałem mieć pewność, Blum. Pojechałem do Innsbrucku, chciałem mieć pewność, że aparat trafi w ręce Karla, rozumiesz?
- Nie.
- Zaparkowałem przed willą i zaczekałem, aż pojedzie po Umę i Nelę do przedszkola.
- Żartujesz, prawda?
- Pojechałem za Karlem i dyskretnie wcisnąłem mu aparat do ręki. Nikt niczego nie zauważył.
- O czym ty mówisz, Ingmarze?
- Powiedziałem mu, że ma do ciebie zadzwonić wieczorem. Nic więcej. Wstukałem numer drugiego aparatu, wystarczy, że naciśnie zielony guzik. Wszystko odbyło się błyskawicznie.
- Powiedz mi, że tego nie zrobiłeś.
- Posłuchaj, Blum. Przed willą stali policjanci. W środku trwa przeszukanie, panuje totalny chaos.
- Co z dziewczynkami?
- Wszystko w porządku.
- A z Rezą? Z Karlem? Coś ty, do cholery, najlepszego zrobił?

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi, ale to nie wygląda dobrze, Blum. Jedno jest pewne, szukają cię. Ale jestem przekonany, że cię nie znajdą. Nie tutaj.

– Dlaczego to robisz, Ingmarze? Dlaczego mieszasz się do mojego życia? Skąd w moim domu policja? Co z dziewczynkami? Muszą być przerażone. Co Karl im powiedział?

– Nie wiem. Zawiozłem mu tylko telefon. Zaraz zniknąłem, nie chciałem, żeby widziano nas razem. Nikt mnie nie zna, więc nic się nie stało, nic ci nie grozi. Wszystko zrobiłem jak należy.

– Ty cholerny głupku.

– Karl też nic nie wie. Nie powiedziałem mu, gdzie jesteś.

Wszystko będzie dobrze, Blum.

– Głupek, cholerny głupek.

– Chcę ci tylko pomóc.

– Wcale cię o to nie prosiłam. Miałaś wysłać telefon pocztą. A ty zostawiłaś mnie tutaj samą.

– Chciałem przyspieszyć sprawę. Wiem, jak bardzo chcesz porozmawiać z dziewczynkami, z Karlem. Chcesz chyba wiedzieć, co się dzieje, prawda?

– Nie chcę, żebyś się w to mieszał.

– Przecież wcale się nie mieszam.

– Właśnie, że tak. To, że raz czy dwa ze sobą spaliśmy, nie daje ci prawa grzebać w moim życiu.

– Nie chciałem zrobić nic złego.

– Zajmij się lepiej swoimi sprawami. Od moich trzymaj się z daleka. Rozumiesz? Jestem ci wdzięczna za to, że mnie tutaj przywiozłeś, ale dłużej nie mogę zostać.

– Proszę, Blum. Musisz się uspokoić. Chodźmy na górę, napijmy się czegoś, potem pomyślimy, co dalej.

– Nie dotykaj mnie. Powiedziałam, nie dotykaj!

– Przepraszam, Blum.

– Daj mi telefon, ale już.

– Karl zaraz do ciebie zadzwoni, przekonasz się, że wszystko jest w porządku.

– Daj mi ten cholerny telefon!

- Proszę.
- I zostaw mnie samą. Nie chcę cię widzieć. Zrozumiałeś?
- Przepraszam, naprawdę nie chciałem zrobić nic złego.
- Pytam jeszcze raz: zrozumiałeś?
- Tak.

Znów jest w hotelu. Zamknięta. Czowała się jak marionetka. Ingmar pociągał za sznurki, odwiózł ją z powrotem do hotelu, nacisnął „reset”, przywrócił ustawienia początkowe. Wróciła do hotelu i wrócił strach. To uczucie zaczęło ją podtapiać, uczucie, którego do tej pory nie знаła, nie w takiej postaci. Było czymś nowym. Do tej pory zawsze udawało jej się przed nim uciec, zrobić coś, żeby jej nie przerosło. Strach. Bardzo wczesnie nauczyła się, że musi mu się przeciwstawić, że musi wziąć sprawy w swoje ręce, że najgorsza jest bezsilność. Kiedy nie można nic zrobić. Kiedy jest się zdany na czyjąś łaskę, w opuszczonym domu na końcu świata, skazanym na czekanie, na pogodzenie się z tym, że dawne życie już nigdy nie wróci. Bezsilność i strach. Nienawidziła ich. Tego burczenia w brzuchu, tego niewyraźnego poczucia, które ją paraliżowało, przygniatało do ziemi, wyciskało z oczu łzy. Nie miała już sił. Ani odwagi. Leżała w łóżku, siedziała na sofie, stała pod prysznicem, próbując to z siebie zmyć. To wszystko, co sprawiało jej ból. *Proszę, nie*, mówiła. I zalewał ją strumień wody.

Strach stawał się coraz większy. Strach przed umarłymi, których pogrzebała. Przed głowami, nogami i ramionami. Zagroziła wszystkiemu, co było jej drogie. Trzy ciała na miejskim cmentarzu. Aktor, kucharz i fotograf, trzech mordercy, którzy stali się ofiarami. Jej ofiarami. Ukryła ich w grobach obcych, Bogu ducha winnych ludzi. W pojedynczych kwaterach, których zazwyczaj już nigdy się nie otwiera. Kaprys losu sprawił, że spór o spadek uczynił Blum główną podejrzaną w sprawie o morderstwo. Ktoś nacisnął niewłaściwy guzik.

Siedziała samotnie w swoim pokoju i modliła się o to, żeby rozległ się sygnał telefonu. Żeby zadzwonił Karl, żeby mogła porozmawiać z dziewczynkami, żeby ich głosiki rozjaśniły mrok. Blum wiele razy wybierała jego numer, lecz za każdym razem słyhać było tylko przeciągły sygnał, jakby chciał jej powiedzieć, że musi być cierpliwa. Zbierało jej się na płacz. A jeśli Karl zwyczajnie wyrzucił aparat? Jeśli nie chce jej znać? Może boi się prawdy? Boi się dowiedzieć, co zrobiła jego synowa? Emerytowanemu policjantowi pewnie niełatwo patrzeć, jak dawni koledzy grzebią w jego życiu, jak kalają to wszystko, co jeszcze kilka dni temu wydawało się rajem. Karl już wiedział, że Blum

nie jest aniołem, że nie jest zwykłą, kochającą żoną, czułą matką, synową.

Oczekiwanie. Została sama. Odizolowana od świata, gdzieś na obrzeżach smutnego obrazu. Spoglądała przez okno na ciemność. Wypełniała ją pustka. I wstyd. I bezsilność. Wyobrażała sobie, że wchodzi na balustradę i rzuca się w dół. Uderza o marmurową posadzkę. Lecz chwilę wcześniej nacisnęła zielony klawisz, przyłożyła aparat do ucha. Czuła się jak dziecko, które się boi, że spotka je kara, że na zawsze straciła miłość Karla. Spodziewała się najgorszego. Siedziała na łóżku i drżała. W końcu z jej ust rozległ się cichy szept.

– Boże, jak dobrze znowu cię słyszeć.

– Właśnie wyszli.

– Policja?

– Tak, Blum, policja. Wywrócili wszystko do góry nogami.

Naprawdę, nie przesadzam.

– Przepraszam.

– Gdzie jesteś?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Dostałem ten aparat od Ingmara.

– Wiem.

– Jesteś z nim?

– Nie.

– Wszystko w porządku?

– Nie.

– Na litość boską, co się tu dzieje?

– Nie wiem, Karl.

– Twierdzą, że to ty jesteś za wszystko odpowiedzialna. Proszę, powiedz mi, że to nieprawda.

– Nie mogę.

– Zabrali Rezę.

– Proszę, nie.

– Niestety, Blum. Podejrzewają go o zabójstwo. Ciebie również.

– Nie chciałam tego.

– Reza powiedział, że bym się nie martwił, ale do tej pory go nie wypuścili. To nie jest dobry znak.

- Powiedział ci coś?
- Nic mi nie powiedział. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Wiem tylko, że to jakaś grubsza sprawa. Mają ofiarę zabójstwa. Zabójstwa, Blum. W głowie, którą znaleźli, jest dziura.
- Wiem.
- Skąd?
- To ja ją zrobiłam.
- Nie.
- Tak, Karl. Wzięłam pistolet Marka i zastrzeliłam go.
- Dlaczego?
- Bo on zabił twojego syna.
- Nie rozumiem.
- Ten mężczyzna i czterej inni zabili Marka.
- To jakiś absurd.
- Zabili też innych ludzi, bili ich, gwałcili, przez lata trzymali w piwnicy. A Mark musiał umrzeć, bo się o wszystkim dowiedział.
- O czym ty mówisz?
- To prawda, Karl.
- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Rozmawiamy o zabójstwie.
- Rozmawiamy o dzikich, wściekłych bestiach.
- To nie są żarty, Blum.
- Wiem.
- Będą maglować Rezę, aż w końcu coś z niego wyduszą.
- Reza jest niewinny.
- Naprawdę?
- Tak. Uwierz mi, Karl. Mark został zamordowany. A człowiek, którego wykopali, to jeden z jego zabójców.
- Mark zginął w wypadku.
- Nie. Mark został potrącony celowo. Musiał umrzeć, bo odkrył, co się działo w tamtej piwnicy.
- W jakiej znowu piwnicy?
- W piwnicy, w której trzymali chłopaka i dwie dziewczyny.
- Potrzebujesz pomocy, Blum.
- Nie rozumiem.

- Mówisz od rzeczy.
- Mylisz się.
- Do domu wchodzi policja, a ty mówisz o zabójstwie, o jakiejś piwnicy, o mordercach. To wszystko jakiś absurd.
- Nie wierzysz mi?
- Masz jakieś dowody na to, o czym mówisz?
- Nie. Wszyscy nie żyją.
- Zabiłaś człowieka.
- Pięciu.
- Słucham?
- Zabiłam pięciu ludzi, nie jednego.
- Nie jesteś morderczynią.
- Zrobiłam to tylko po to, żeby nikogo więcej już nie skrzywdzili.
- Masz dzieci, Blum.
- Wiem.
- One cię potrzebują.
- Wiem, Karl.
- Rozmawiałem ze znajomymi. DNA ofiary jest właśnie porównywane z bazą danych, niedługo dowiedzą się, kto to był.
- Nazywał się Benjamin Ludwig. Ten zaginiony aktor, na pewno pamiętasz.
- Czyś ty oszalała? Wiesz, co to znaczy? Zorganizują regularną obławę, będą cię szukać tak długo, aż w końcu cię znajdą.
- Wiem.
- Masz mi natychmiast powiedzieć, co się stało. Wszystko, rozumiesz? Wszystko. Chcę znać każdy szczegół.
- Nie, Karl.
- Chcę ci pomóc.
- Pomagasz mi, zajmujesz się dziewczynkami. W tej chwili to najlepsze, co możesz dla mnie zrobić. Proszę, Karl, dbaj o nie.
- Przecież to robię.
- Śpią już?
- Są w swoim pokoju, bawią się.
- Chciałabym je usłyszeć, tak bardzo za nimi tęsknię. Proszę, daj mi je do telefonu.

- Nie.
- Dlaczego?
- Będzie z nimi rozmawiać policja. Wtedy powiedzą, że rozmawiały z mamą przez telefon.
- Proszę, Karl. One myślą, że jestem w górach, chcę tylko zamienić z nimi kilka słów.
- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Zostawiłaś swoją komórkę w domu.
- I co z tego?
- Policja sprawdzi billingi. Zorientują się, że nie dzwoniłaś. Karty, których teraz używamy, oficjalnie nie istnieją. Nie zostawią tego, będą drażnić.
- Chcę tylko usłyszeć ich głosy.
- Trzeba było pomyśleć wcześniej.
- Potępiasz mnie?
- Nie.
- Słyszę to w twoim głosie.
- Mówisz, że zabili mojego syna?
- Tak.
- Więc dobrze. Teraz musimy czekać. Nie możemy popełnić żadnego błędu. Z tymi telefonami to był dobry pomysł.
- To takie trudne.
- Co?
- To, że nie mogę ich przytulić, porozmawiać z nimi, powiedzieć im, żeby się nie bały.
- Musimy poczekać, aż wszystko się uspokoi. Jeszcze nic nie jest przesądzone, na razie cię nie szukają.
- Wiesz, że to kwestia czasu.
- Coś wymyślimy, Blum.
- Proszę, powiedz im, że mama je kocha.
- Powiem, na pewno.
- Muszę kończyć.
- Zadzwonię do ciebie, jak będę wiedział coś więcej.
- Dziękuję, Karl.

Nacisnęła czerwony klawisz. Karl zniknął. Była u kresu sił. Jej skóra płonęła, serce ścisnęło się tak, że nieomal pękło. Musiała coś zrobić, musiała pomóc Rezie, nie mogła pozwolić, by trafił za nią do więzienia. Ta myśl była nie do zniesienia, wszystko było nie do zniesienia. Siedziała sama w tym cudownym pokoju. Sama na poddaszu hotelu Solveig. Ze łzami w oczach. Znowu. Cicho płynęły jej po policzkach.

Przypomina sobie, jak wtedy pędziła. Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, po autostradzie w kierunku Innsbrucku, z tyłu trumna. Bertl Puch krzyczał, chciał wyjść. To był koszmar. Myślała o nagraniach wideo, tych z jego mieszkania. Filmach, na których bił tamte kobiety, na których je gwałcił, z uśmiechem na ustach. Wściekła, dzika bestia zamknięta w skrzyni. Blum wiozła go karawanem do swojego zakładu, do sali przygotowań. Była kompletnie rozstrojona, zdenerwowana, jechała zbyt szybko.

Porwała człowieka, w biały dzień. Była wściekła i gotowa na wszystko. I ta wściekłość zamieniła się w strach, kiedy zatrzymał ją policjant z drogówki. Rutynowa kontrola prawie skończyła się katastrofą. *Prawo jazdy i dokumenty pojazdu*. Znudzony gliniarz zainteresował się karawanem. Blum niemal umarła ze strachu. Wysiadła i próbowała odwrócić jego uwagę, nastawiła głośno muzykę w aucie, żeby niczego nie usłyszał. Na przykład Bertla Pucha walącego w pokrywę trumny, rozpaczliwie wzywającego pomocy. Kucharz krzyczał, walczył o swoje życie, a Blum drżała o swoje. Starła się być milutka, robiła do gliniarza słodkie oczy, aż w końcu pozwolił jej jechać dalej. Z krzyżącym Bertlem Puchem w trumnie.

Blum to pamięta doskonale. Tamtą rozpacz, wściekłość na samą siebie, że się w to wpakowała, że ryzykowała przyszłość swych dzieci. Tak jak teraz. Dwa lata później znów stoi nad przepaścią, w każdej chwili może się spodziewać, że wszystko się skończy, że Uma i Nela stracą mamę. Że zniknie za drzwiami celi. Wróciło to dawne uczucie, mieszanina gniewu, bezsilności i nienawiści. Wtedy wysiadła z wozu i otworzyła tylną klapę, pamięta każdy ruch. Jak otworzyła drzwi bagażnika i wieko trumny, jak uderzała lewarkiem w głowę kucharza. Raz za razem. Byle tylko przestał krzyżeć. Byle tylko zapadła cisza. Bez namysłu, bez wahania. Słyszała tylko głuche łupnięcie i zgrzyt metalu zsuwającego się po kości. Widziała krwawą miazgę. W końcu rozłupała mu czaszkę.

Nagle wszystko stanęło jej przed oczami. Zabójstwo. Zatrzasnęła wieko trumny i pojechała dalej. Jakby nic się nie wydarzyło. Wróciła za kierownicę i ruszyła autostradą, nie czuła żalu, współczucia. To tylko

kolejne ciało, które musi odwieźć do zakładu. Kilka uderzeń i zapadła cisza, z trumny nie dobiegał już żaden odgłos, już nikt nie zagrażał jej życiu, wszystko wróciło na swoje miejsce. Prowadziła karawan, wiozła martwe ciało do sali przygotowań, by tam je poćwiartować i ukryć. Jednego z pięciu złoczyńców. Jego głowę, tułów, ramiona i nogi. Części ciała, które zamierzała ukryć w trumnach innych zmarłych. Części ciała, które kilka godzin później przypadkiem odkrył Reza.

Blum właśnie odcinała nogi Bertla Pucha, kiedy Reza wszedł do sali. Wpadła na genialny pomysł, by pozbyć się ciał na cmentarzu, porozkładać po kawałeczku w cudzych grobach. Cięła go i pakowała w plastik, niczym mięso w supermarkecie. Lecz zapomniała przekręcić klucz w drzwiach. Reza wszystko widział. A mimo to został. W jednej chwili stał się jej pomocnikiem.

Od tamtej pory minęło już tyle czasu. Reza bez słowa stał obok niej i patrzył. Spokojnie, bez emocji, o nic nie pytał, nie osądzał, nic nie powiedział. Stał przez minutę, po czym założył fartuch i rękawiczki i dokończył to, co zaczęła. Nie żądał od Blum żadnych wyjaśnień, po prostu zabrał się do pracy. *Zdaje się, że przyda ci się pomoc. Musimy uważać, żeby nie obciążyć za bardzo trumny. Nie możemy popełnić żadnego błędu.* Jakby był zupełnie wyprany z emocji. Blum urządziła w sali krwawą łaźnię, a on pomógł jej wszystko posprzątać. Wierny giermek, przyjaciel, którego tak bardzo jej brakowało. Tak bardzo pragnęła, by był teraz przy niej, by mogła się obok niego położyć, wtulić w jego ramiona.

Jeszcze kilka dni temu trwał u jej boku, jej przyjaciel, wspólnik, kochanek. Reza i Blum. Tak bardzo za nim tęskniła. Chciała, by przy niej był, żeby wraz z nią biegał po tym hotelu, żeby z nią porozmawiał, powiedział jej, co robić, jak odzyskać dziewczynki. Dokąd ma pójść, co ją czeka. Mogłaby pomyśleć, u jego boku. Leżeć obok niego w milczeniu. Obok Rezy, nie obok Ingmara. Słyszeć jego znajomy głos, zamiast głosu Ingmara. Poczuć jego uścisk i usłyszeć szept. *Wszystko będzie dobrze.* Tak jak zawsze to robił. Tak jak robił to Mark. Choćby było nie wiem jak ciężko. Choćby nie wiem jak krwawiła. *Wszystko będzie dobrze.* Blum tęskniła za jego głosem. Lecz Reza był daleko. Daleko od tego hotelu, na końcu świata. Siedział w areszcie śledczym,

naciskali na niego, robili z niego zbrodniarza, podczas gdy ona leżała pod baldachimem wielkiego łoża i patrzyła za okno, w ciemność.

Miała nadzieję, że nic nie powie. Że jej nie zdradzi. Że będzie kłamał i udawał półgłówka. *Ja nic nie wiem. Nie mam pojęcia, jak te części ciała trafiły do trumny. Nie wiem, może któryś grabarz otworzył trumnę. Po co miałbym robić coś takiego? Szełowa? Niby po co? Ja nic nie wiem, o niczym nie mam pojęcia. Pytajcie, ile chcecie, nic wam nie powiem, bo nic nie wiem.* Blum miała nadzieję, że będzie milczał. Aż nawałnica nie minie. Aż go wypuszczą, pozwolą wrócić do domu, do dziewczynek. Blum miała taką nadzieję, modliła się o to. *Proszę, uważaj na siebie, Rezo.* Leżała z otwartymi oczami i błagalnie szeptała. *Tęsknię za tobą.* Szept stawał się coraz cichszy. *Proszę, przyjeźdź i pomóż mi, Rezo.* Potem zamknęła oczy i pogrążyła się w snach.

Ranek. Za nią długa noc w wielkim łożu, pod baldachimem. Leżała nago w nieskalanie białej pościeli i spoglądała na las. Czas włókł się niemilosiernie. W złotym łazienkowym lustrze zobaczyła kobietę z rozmazanym tuszem do rzęs, zaschłymi łzami na policzkach, telefonem jakby przyspawanym do dłoni.

Wstał nowy dzień. Bezlitośnie. Znowu musiała czekać. Siedzieć beczynn timer, ukrywać się w tym ponurym domu. Nie mogła tego znieść, czas stał w miejscu, tuż przed południem nie wytrzymała i zadzwoniła do Karla. Chciała spytać, czy zdołał się czegoś dowiedzieć. Czy wie coś więcej niż poprzedniego wieczoru. Czy policja wciąż jest w jej domu. Obawiała się, że znów będzie ją dręczył przeciągły sygnał, lecz Karl, o dziwo, odebrał. Był z dziewczynkami w samochodzie, głos miał szorstki, napięty, nie znalazł dla niej ciepłych słów pocieszenia. Powiedział tylko, że powinna się trzymać z dala od domu. Blum słyszała dziewczynki na tylnym siedzeniu, bawiły się. Przed jej oczami stanął znajomy widok: Uma i Nela w drodze do przedszkola, Karl za kierownicą. Szeptał, nie chciał, żeby dziewczynki słyszały, co mówi dziadek. Z kim rozmawia, że rani słowami ich mamę. *Pod żadnym pozorem nie wolno ci wracać. Masz zostać tam, gdzie jesteś. Masz zniknąć, nie ruszaj się z miejsca. Zrozumiałaś?* Jego ton mówił, że to nie żarty, że atmosfera w domu z każdą godziną staje się coraz gęstsza. Karl, zwykle najserdeczniejszy człowiek pod słońcem, zaklinał ją, ostrzegał, nieomal groził. W zasadzie to był rozkaz, nie prośba. *Cokolwiek się stanie, nie wracaj.* Potem się rozłączył, Blum znowu została sama. *Nie mogę teraz rozmawiać,* powiedział. Nic więcej, ani słowa. Blum siedziała samotnie na stołku. Pierwszy od dwudziestu lat gość w hotelowym barze.

W końcu zjawiała się skrzętna ochmistrzyni, chciała sprawdzić, czy wszystko w porządku. Gertrud przywitała ją uśmiechem, nie skomentowała ani słowem tego, że Blum obsłużyła się, otwierając jedną z najdroższych butelek w barze. Gertrud starała się być miłą, niechęć z poprzedniego dnia wprawdzie zniknęła, ale nie było też w niej sympatii. Ani śladu wczorajszych uczuć, wymalowanej na twarzy miłości do Björk, uścisku dłoni. Tylko grzeczność. *Mam nadzieję, że*

dobrze się czujesz. Jeśli chcesz popływać, przygotuję ci świeże ręczniki. Zdawkowe zdania, które zaserwowała Blum w barze razem z kolacją. Ani słowa o sobie, o rodzinie, o przeszłości. Nic.

Gertrud. Odpowiedziała tylko na jedno pytanie. Zbierała się właśnie do wyjścia, gdy Blum spytała, gdzie się podziewa Ingmar, nie chciała być dłużej sama w tym wielkim domu. Nie chciała tylko czekać, karmiąc swój strach, chciała zająć czymś myśli, pić, rozmawiać, zabić czas, skrócić dzień. I noc. Coś zrobić. Wspólnie z Ingmarem. *Jest pewnie tam gdzie zawsze,* odrzekła Gertrud. *W swoim atelier na dziewiątym piętrze. Pokój 937. Jutro śniadanie od ósmej.* Po tych słowach odwróciła się i wyszła z hotelu. Nie szukała już bliskości, nie chciała rozmawiać z Blum. Zmęczona i nieufna wycofała się do swojego królestwa, do domu dla personelu. Niemal bezgłośnie.

Popijając drogie wino, Blum pojechała windą na górę, do Ingmara. Musiała go przeprosić, odtrąciła go, źle go potraktowała, chociaż chciał tylko pomóc. Blum wiedziała, że to konieczne, czuła to, sumienie przez cały dzień szeptało jej to do ucha, gdyby mogła, cofnęłaby czas. Wymazałaby słowa, które do niego wypowiedziała. Chciała mu powiedzieć, że bardzo żałuje. A potem napić się z nim, porozmawiać o jakichś błahostkach, o jego dziełach, o filmach i muzyce. Chciała się zachowywać tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Czuła się tak samotna, że zrobiłaby wszystko dla odrobiny bliskości.

Poszła w głąb korytarza. Pokój 937, świat Ingmara. Za starymi drzwiami pokoju czekała na nią niespodzianka. Tam, gdzie spodziewała się ujrzyć płótna, farby oraz prowizoryczną łazienkę, jej oczom ukazał się przepiękny apartament. Jasny, biały, z kulą światła na suficie, ogromny, niczym wewnętrzny dziedziniec na dziewiątym piętrze. Musiał powstać z połączenia kilku pokoi, Ingmar stworzył sobie raj w raju, miejsce, gdzie Blum natychmiast poczuła się jak w domu. Nie było tu stiuków, barokowego przepychu, tylko proste linie, jasne formy, białe ściany, szkło i kamienna posadzka. Stała i patrzyła. Z otwartymi ustami i butelką wina w dłoni. Ingmar podszedł do niej. Usłyszał pukanie i otworzył jej drzwi. Cierpliwie zaczekał, aż Blum nasyci oczy widokiem i coś powie. *Przepraszam,* szepnęła. *Wejść do środka i zamknij drzwi,*

odrzekł.

– Nie chciałam cię zranić, Ingmarze.

– Nie?

– Bałam się. Że będzie jeszcze gorzej.

– Chciałam ci tylko pomóc.

– Następnym razem nie traktuj poważnie tego, co mówię. Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Za to, że mogę tu być. Że zawiozłeś Karlowi telefon.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak.

– I?

– Nie wygląda to dobrze. Karl jest bardzo zaniepokojony, a to nie oznacza niczego dobrego.

– Wszystko się jakoś ułoży.

– Nieprawda. To koniec, Ingmarze. Nie mogę się stąd ruszyć, niedługo będzie mnie szukać cała austriacka policja.

– Musisz cierpliwie czekać.

– Nie mogę, przez cały dzień nie robię niczego innego, dłużej tak nie chcę, rozumiesz? Nie zniosę tego, nie wytrzymam tej bezczynności. Po prostu nie wytrzymam.

– Rozumiem. Dlatego dobrze, że tutaj jesteś. Możemy porozmawiać, wspólnie na pewno coś wymyślimy.

– Muszę zobaczyć się z dziewczynkami.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Mimo to muszę. I chcę.

– Usiądź, Blum.

– Nie chcę siadać, muszę je przytulić, zabrać je stamtąd, nie mogę ich tak po prostu zostawić.

– Wkrótce się z nimi zobaczysz.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem. Zobaczysz swoje córeczki.

– Powinieneś był się trzymać ode mnie z daleka, Ingmarze.

– Dlaczego?

– Nie przyniosę ci niczego dobrego.

– Niby dlaczego?

– Popatrz na mnie. Posłuchaj tego, co mówię. Pomyśl, dlaczego tu jestem. Zabiłam pięciu ludzi.

– Odkąd cię poznałem, nikogo nie zabiłaś.

– To był błąd, że poszliśmy ze sobą do łóżka.

– Przestań się tym zadrećzać.

– Björk była twoją siostrą.

– Usiądź, proszę. Powiedziałem ci, że znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Jestem pewien.

Wstał, podszedł do szafki, wyjął dwa kieliszki i wrócił na miejsce. Nie widziała już jego kalectwa, jego sztywnej nogi, widziała tylko mężczyznę, który nalewa wino w tym cudownym apartamencie. Ubrany w białe spodnie i białą koszulę wyglądał jak anioł, a ona czuła się niemal jak w niebie.

Gdyby Blum nie wiedziała, że dokoła szaleje pożoga, poddałaby się temu błogiemu uczuciu. Bieli, pięknu tego apartamentu, Ingmarowi, jego dobroduszości. Z czułym uporem obstawał przy tym, że jej pomoże, wbrew wszystkiemu, co o niej wiedział, siedział obok niej na sofie, rozmawiał z nią. Nie wystraszył się wielokrotnej zabójczyni, został. Bez wahania wybaczył jej, że go zraniła. Chociaż zakrawało to na szaleństwo, jego obecność niosła jej ukojenie. Ingmar wypełniał pustkę, był kimś, komu mogła zaufać, człowiekiem, który chciał jej dodać otuchy. Chociaż Blum nie miała przed sobą przyszłości, życia, które mogłaby z nim dzielić, był niczym spokojny potok, który niósł ją ze sobą. Nagle otoczyła ją woda płynąca przez cudowny zimowy krajobraz, równo, niespiesznie, czule. Ingmar. Blum pozwoliła się nieść. Z kieliszkiem wina w dłoni.

Istniał już tylko ten apartament. Jego atelier, zagadka, którą próbowała rozwikłać. Ingmar rozbawiony patrzył, jak Blum szuka wzrokiem jego obrazów, jak wodzi dookoła pytającym spojrzeniem, stara się znaleźć odpowiedź między puszkami farby i pędzlami, patrzy na puste ściany i w końcu odkrywa w kącie śnieżnobiałe króliki. Patrzył spokojnie, jak Blum otwiera klatkę i wyjmuje zwierzątko, jak je głaszcze. *Jaki słodki*, powiedziała i ruszyła z powrotem ku sofie, znów

szukając wzrokiem prac Ingmara i ze zdziwieniem unosząc ramiona. Ani śladu obrazów, dzieł sztuki. Nie było tu niczego, co mogłoby wyjść spod jego ręki. W każdym razie niczego takiego nie widziała. Tylko cztery króliki w klatce. Cztery króliki w raj.

Ingmar się uśmiechnął, widząc, że Blum nawet nie próbuje ukryć zdziwienia. *Myślałam, że jesteś artystką*, powiedziała. *Bo jestem*, odparł, otwierając znieczeka wielką białą szafę. Były w środku. Setki obrazów. To, co zwykle wisi na ścianach, tu leżało zwinięte, skrętnie poukładane, ukryte. Niezliczone płócienne rulony, ułożone od podłogi po sufit, w iście koszarowym porządku, a nie w artystycznym nieładzie. Całość tworzyła skończony system, wszystko leżało w pedantycznym porządku. Jego dzieła, skatalogowane, opatrzone numerami. Z całą pewnością doskonale pamiętał miejsce, gdzie leży każdy z obrazów. Ingmar. Blum z ciekawością patrzyła na niego, głaszcząc królika, który rozkosznie się do niej tulił. Czują, jak wzbiera w niej ciekawość. *Mogę zobaczyć twoje prace? Pokażesz mi je?* Ingmar się uśmiechnął. *Z przyjemnością*, odrzekł i wyciągnął rulon ze środka kolekcji. Blum cofnęła się o krok, podczas gdy on ostrożnie rozpostarł płótno na podłodze. Traktował obraz jak skarb, dumny wstał z kolan i czekał. Na reakcję Blum. Na to, co powie. Co dostrzeże na jej twarzy. Na słowa, że chciałaby zobaczyć więcej.

Rdzawa czerwień i biel. Białe płótno i ceglastoczerwona farba. Wylana, rozmazana, rozprysnięta. Drugi obraz niewiele różnił się od pierwszego. Podobnie trzeci, bliźniaczo podobny do poprzednich. I następny. Blum prosiła go, by rozkładał na podłodze kolejne prace, nie mogła uwierzyć, że każda z nich przedstawia to samo, ceglastoczerwoną plamę na białym tle. Jedyne różnice polegały na sposobie, w jaki nałożono farbę. Blum nie dostrzegła w nich nic szczególnego, nie poruszały jej. Widziane po raz setny nie przyciągały wzroku, nie fascynowały. Nie tego się spodziewała. Całą podłogę zasłały płótna. Tam, gdzie przed chwilą znajdowała się kamienna posadzka, teraz leżały jego prace. Gdy Blum stanęła pod ścianą i spojrzała na apartament, utworzyły dziwny obraz. Gdziekolwiek spojrzała, plamy krwi. Pomieszczenie, które jeszcze przed chwilą było nieskalane, teraz pokryły otwarte rany. Każdy obraz krzyczał. Blum widziała, że Ingmar cierpi, jest rozdarty, rozbity. Morze bólu, każdy kolejny obraz ukazywał jego

wnętrze, wyrażał to, co musiał czuć, kiedy zamykał szafę, kiedy obrazy leżały głęboko ukryte na swoim miejscu.

Pokazał jej około pięćdziesięciu prac. Spośród trzystu. Mały wybór, rzut oka w głąb duszy, którą przed nią odsłonił. Nagą, zranioną. Blum stała i patrzyła. Nie odezwała się ani słowem, przez cały czas jedynie głąskała królika. Ingmar również milczał, widział jej rozczarowanie, czytał w jej twarzy, Blum nie mogła ukryć przed nim swych myśli. Współczuła mu, bardzo, przez chwilę był dla niej zranionym małym chłopcem, który stracił matkę, artystą, który nie zdołał się wybić i bez powodzenia kopiował jakichś akcjonistów. Bogatym rozbrykanym chłopcem dokazującym na swoim luksusowym placu zabaw. Nikim więcej.

- Powiedz to, śmiało.
- Co?
- Że twoim zdaniem to, co robię, jest śmieszne.
- Wcale tak nie uważam.
- Nie jest tak, jak myślisz.
- A co niby myślę?
- Że jestem żalonym dupkiem.
- Nieprawda.
- Owszem, tak właśnie myślisz, Blum.
- Nie znam się na sztuce.
- Ale nie podobają ci się moje obrazy.
- Powtarzam, nie mam pojęcia o sztuce. Nie wiem, co tutaj robisz, jaki jest tego sens. Czy to dobre czy złe prace.
- Uważasz, że jestem szalony.
- Nieprawda, Ingmarze. Prowadzę zakład pogrzebowy, zajmuję się umarłymi, na tym się znam. Nie na obrazach.
- Od dawna pracuję nad tym cyklem.
- Na to wygląda.
- Zapewniam cię, że jest w tym głęboki sens.
- Uwierz mi, Ingmarze. Mógłbyś przede mną rozłożyć płótno Picassa, a pomyślałabym dokładnie to samo co teraz. Czyli nic. Zupełnie nic.
- Jeśli sądzisz, że to ma coś wspólnego z moją matką lub Björk, to

jesteś w błędzie.

– Skoro tak mówisz.

– W akademii Leo i ja intensywnie zajmowaliśmy się tematem śmierci.

– Śmierci?

– Tak.

– Ty i Kuhn?

– Wspólnie napisaliśmy pracę dyplomową. O umieraniu w sztuce.

– Podoba ci się to, co robi twój przyjaciel?

– Sądzę, że to konieczność. On musi to robić, nie ma wyboru. Tak jak ja.

– Kuhn musi wypychać ludzi?

– Tak.

– Przecież to bez sensu.

– Wszystko ma jakiś sens.

– Nieprawda.

– Na przykład to, że tu jesteś.

– To, że tu jestem, to zupełny przypadek.

– Mylisz się.

– Więc jeśli nie przypadek, to co?

– Przeznaczenie. I ma to związek ze śmiercią.

– Bzdura.

– Pomyśl, Blum. Odkryłaś, że miałaś siostrę, która umarła.

A wkrótce potem w grobie zostaje znaleziona głowa. I nogi.

– I?

– Jesteś tutaj, bo ktoś umarł.

– Nonsens, Ingmarze.

– To, że teraz tu stoisz i oglądasz moje obrazy, to przeznaczenie.

A motorem tego wszystkiego była śmierć.

– Zatem wszystko ma sens?

– Tak.

– To, że się muszę ukrywać? Że nie mogę zobaczyć dziewczynek?

Tak uważasz? To, że nigdy nie wrócę do domu? Do dawnego życia? Tak uważasz?

– Nie.

– Więc co myślisz, Ingmarze? Wierz mi, to zwykły przypadek, nic się za tym nie kryje.

– To sztuka, Blum. W ten sposób powstaje coś nowego.

– Nie jestem pewna, czy ta rozmowa do czegokolwiek prowadzi.

– Przez całe życie zajmowałem się śmiercią, Blum.

– Ja też. I dlatego nie rozumiem tego, co robisz. Wyjaśnij mi, proszę, co to wszystko ma znaczyć. Ta sama farba, zrolowane obrazy.

– Próbuję ją namalować.

– Kogo?

– Śmierć.

– Wiedziałaś, że to będzie dla mnie zbyt trudne.

– Nie, Blum. To bardzo proste. Utrwalałam na płótnie moment śmierci, tę krótką chwilę, gdy gaśnie światło. Milisekundę, w której zapada mrok.

– I jak niby to robisz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak, Ingmarze. Skoro pokazałeś mi całe swe dzieło, możemy chyba o tym porozmawiać. Poza tym, jak wiesz, nie mam nic innego do roboty. Mam aż nadto czasu, by cię wysłuchać.

– Jesteś pewna?

– Jestem gotowa na wszystko, byle tylko zająć czymś myśli. Więc zaczynaj.

– Obawiam się, że to cię może zszokować.

– Spokojna głowa, mnie nie tak łatwo zszokować.

– Jak chcesz. W takim razie usiądź, pokażę ci.

Blum opadła na białą sofę. Siłą woli starała się nie myśleć o Karlu, odrzucała każdy załazek myśli, odsuwała je od siebie. Odłożyła telefon. Oprócz królika, który przycupnął jej na kolanach, był tylko Ingmar. I to, co miał jej pokazać, jego sztuka, chwila, gdy powstaje kolejna rana. Blum czuła, że to dowód jego zaufania, wiedziała, że w normalnych okolicznościach nikomu nie pozwoliłby patrzeć, jak maluje. Był podekscytowany, podenerwowany, drżały mu kąciki ust, jakby się bał, że Blum nie spodoba się to, co zobaczy. Jakby przywiązywał ogromną wagę do jej sądu, jakby miało się zaraz wydarzyć coś wielkiego, a on koniecznie chciał, żeby to przyjęła z zachwytem.

Ingmar. Świdruje ją wzrokiem. Z jego ust płyną słowa. *Posłuchaj, Blum, cokolwiek się stanie, zostaniesz na miejscu. Zrozumiałaś? Masz zostać na miejscu, obiecujesz?* Blum nie pojmowała, o co mu chodzi, ale skinęła głową. Była napięta i zaciekawiona, jej wzrok spoczywał na Ingmarze, na jego dłoniach. On zaś pochylił się, starannie zebrał obrazy z podłogi, odłożył je na bok i umocował na ścianie czyste płótno. Blum cieszyła się, że może po prostu siedzieć, że nie musi nic robić, nie miała pojęcia, co się zdarzy, co może być aż takim dziwactwem, że Ingmar uznał, iż musi ją ostrzec. Czuła się niemal błogo, zadowolona, że nie musi podejmować żadnej decyzji, przez moment nie musi myśleć o leżącym obok niej telefonie. Był tylko Ingmar.

Stanął przed nią i jeszcze raz spytał, czy jest gotowa, czy może zacząć. Blum skinęła głową, choć w duchu nią potrząsała, pokpiwała sobie z niego, czekała w napięciu na spektakl, tak jak zwykła to czynić, kiedy Uma i Nela pokazywały jej najnowsze sztuczki. Hotel Solveig zamienił się w szkolny teatrzyk. Mimo to starała się dać Ingmarowi poczucie, że traktuje śmiertelnie poważnie artystę i jego dzieło. Wielkiego artystę, który z uśmiechem podszedł do niej i sięgnął po siedzącego na jej kolanach królika. Pogłaskał go czule. Przez cztery sekundy na jego twarzy malował się błogi uśmiech. A potem z całej siły rzucił królikiem o ścianę.

Przez długą chwilę siedziała z otwartymi ustami. Na jej twarzy malowało się przerażenie. I bezsilność. Bo nie potrafiła pojąć tego, co się stało. Tego, że czerwone plamy na płótnie to krew. Wciąż miała przed oczami lecącego w powietrzu królika. Chwilę, gdy uderzył w ścianę, gdy krew rozprysła się po płótnie. I Ingmara, który raz po raz podnosił martwe zwierzątko i rzucał nim w obraz. Królik już dawno nie żył, lecz Ingmar nie miał dla niego litości. Ciskał nim tak długo, aż białe futerko stało się zupełnie czerwone. Aż skończył swój obraz.

Umysł Blum nie chciał tego pojąć. Ingmar brutalnie zakończył życie małego niewinnego stworzenia. Po to tylko, by stworzyć obraz. Siedziała niczym sparaliżowana i patrzyła. Bo tak mu obiecała, bo nie była w stanie się ruszyć, bo nie wiedziała, jak na to zareagować. Królik zginął, zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje. To, co robił Ingmar, było jak ostatnie ruchy pędzlem, ostatnie poprawki artysty. Rozprowadzał krew wokół pierwotnej plamy, wokół miejsca, gdzie biedny królik umarł. Wokół chwili, w której zgasło światło. Dzieło sztuki. Obraz wiszący na ścianie.

Trzy minuty później martwy królik wylądował w koszu na śmieci. Blum patrzyła, jak Ingmar go wyrzuca. Jak wyciera krew, która spryskała posadzkę. Cisza i czerwień. Patrzyła i nie była w stanie wykrztusić słowa. Nienawidziła go. Za to, że potrafi być tak okrutny, że nie drgnęła mu nawet powieka, że nie był zdolny poczuć litości. Miała ochotę go uderzyć, rzucić się na niego z pięściami, powstrzymać go. Lecz nie zrobiła tego, coś ją powstrzymało. Nie ruszyła się z miejsca, pozwoliła, by to się stało. Blum. Powoli odzyskiwała mowę. Chciałaby mu słowami rozłupać głowę, lecz Ingmar chwycił je i cisnął z powrotem w jej stronę. Siedzieli obok siebie. Patrzyli na obraz.

- Dlaczego to zrobiłeś?
- Na tym polega sztuka, Blum.
- To zwykłe morderstwo.
- To był tylko królik.
- A ty go zabiłeś.
- I?
- Rzuciłeś nim o ścianę.

- A ty poćwiartowałaś pięciu mężczyzn.
- Co to niby ma znaczyć?
- Jesteś chyba ostatnią osobą, która mogłaby mnie potępić, nie sądzisz?
- Tego nie można porównywać.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Ten królik nikogo nie skrzywdził, był zupełnie niewinny. Nie miałaś powodu go zabijać.
- Umarł dokładnie w tej samej chwili, w której uderzył o ścianę. I właśnie to widać na tym obrazie. Dlatego jest niepowtarzalny.
- To chore.
- Co jest bardziej chore, zabijać ludzi czy króliki?
- Te obrazy w szafie. To wszystko krew zabitych zwierząt?
- Tak.
- Proszę, powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że to był pierwszy raz, że nigdy wcześniej tego nie robiłaś.
- Nie, Blum, każdy z tych obrazów to pamiątka po śmierci jednego zwierzęcia.
- Proszę, nie.
- Używałem królików, ptaków, świnek morskich, kociąt.
- Dlaczego mi o tym opowiadasz? Dlaczego mi to pokazałaś?
- Bo właśnie to robię. Tym się zajmuję, Blum. To moja praca, moje życie.
- Nie chcę tego słyszeć, ani słowa więcej.
- Najważniejsze, żeby dobrze wymierzyć. Prędkość nie może być zbyt mała, chodzi o to, żeby umarły w chwili uderzenia. Przecież nie chcę ich dręczyć.
- Przestań.
- Czuję, że zbliża się wielki przełom.
- To zwykłe bestialstwo.
- Tak jak to, co ty zrobiłaś.
- Nie.
- Tak, Blum. A mimo to jestem tutaj, mimo to cię dotykam, mimo to cię lubię. Mimo to nie brzydzę się tobą. Ani się ciebie nie boję.
- Jestem zmęczona, Ingmarze.

- To tylko martwe zwierzęta, Blum.
- Proszę, porozmawiamy o tym rano.

Blum wstała i po prostu wyszła. Opuściła atelier, zamknęła drzwi i poszła korytarzem, przed siebie, gdzie ją oczy poniosą, gdzieś, gdzie nie będzie mógł jej znaleźć. Nie wróciła do swojego pokoju, do łóżka. Nie chciała z nim rozmawiać. Poszła schodami na górę, potem na dół, stopień po stopniu, aż doszła tam, gdzie nie będzie jej szukał. Do rajku dla dzieci. Była sama. Wśród zjeżdżalni i trampolin, książeczek z obrazkami, dziecięcych kuchni i sklepików. Było tu wszystko, o czym tylko mogło zamarzyć małe serduszko, Uma i Nela z pewnością czułyby się w tym miejscu szczęśliwe. Tutaj została, ukryła się, chciała zapomnieć o tym, co zrobiła, co przed chwilą widziała. *To tylko zwierzęta*, powiedział. Zwierzęta, które zabił. Tak jak ona. Zabiła dzikie bestie, zaszlachtowała je, poćwiartowała i pogrzebała, morderców swojego męża, bestie, potwory. Bo musiała, bo nie miała wyboru, to tylko dzikie zwierzęta, które musiała zabić, by one nie zabijały. Rzuciła nimi o ścianę, zabiła i zakopała. Wszędzie było królicze futerko, czerwone jak krew.

Dręczyły ją myśli, których nie umiała i nie chciała zagłuszyć, rzeczywistość, która sprawiała nieznośny ból. Z misiem w ręku skuliła się w kącie pokoju zabaw. Głaskała go czule, tak jak zaledwie godzinę wcześniej głaskała królika. Jej dłoń miarowo, rozpaczliwie przesuwiała się po futerku. Siedziała nieporuszona. Milczała. Żadne słowo nie mogło odwrócić tego, co się stało. Chociaż ze wszystkich sił chciała zaprzeczać, musiała przyznać, że miał rację. Ingmar. *Co jest bardziej chore, zabijać ludzi czy króliki?* W porównaniu z tym, co zrobiła, jego postępek był jak niewinna psota. Jego żalosna sztuka, beznadzieja próba stworzenia czegoś wyjątkowego, wybicia się. Blum nie wierzyła, że mu się uda. Że kiedykolwiek osiągnie choćby namiastkę sukcesu. Fantasta, nieudacznik, straumatyzowany przez to, co przeżył, upokorzony. Rozbity. Tak jak ona.

Przeznaczenie, powiedział. Powinna była zamknąć mu usta. Nienawidziła go za to, że wypowiedział to, o czym sama myślała. Że to nie mógł być zwykły przypadek. To wszystko. Czasopismo na plaży, Björk na grzbiecie zebry, Kuhn w Norymberdze, Alfred, Ingmar i hotel.

Gabinet grozy, tragiczna rodzinna historia, tak straszna, że trudno sobie wyobrazić straszniejszą, opowieść, od której jeżył się włos na głowie, opowieść o utracie, bólu i śmierci. Instalacje Kuhna, obrazy Ingmara, samobójstwo Solveig i Björk, pusty hotel. Horror, i to z gatunku najbardziej krwawych, nagromadzenie potworności. Życie Blum. Już nic nie było normalne. Wzbierało w niej nieodparte pragnienie zniszczenia wszystkiego, co ją otacza. Chciała wyrzucać sprzęty przez okno, tłuc porcelanę, wyrwać łapki pluszowemu misiowi, podpalić go, dać upust swojej wściekłości. Zniszczyć coś, bo jej życie nie było już nic warte. Tak jak wtedy, zanim pojawił się Mark. Wszystko wróciło do punktu wyjścia. Do dzieciństwa, do Hagena i Herty, do rodziców, którzy nie zasługiwali na to miano. Do piekła. Upokorzenia, przemocy, świata bez przytulania, bliskości, miłości. Do świata małej Blum. Wokół tylko umarli. Nie było ręki, która by ją pogłaskała po główce, ust, które dałyby jej buziaka przed snem, wypowiedziały serdeczne słowo, odpędziły nocne koszmary. Tylko pluszowy miś, którego głaskała. W kącie. Bezbrzeżnie samotna.

Blum. Następną noc w potrzasku. Raz po raz sięgała po telefon i wybierała numer Karla. Lecz Karl nie odbierał, nie opowiedział jej, co się dzieje, nie pomógł jej. Nie usłyszała słów pocieszenia, tylko przeciągłe sygnały, które napełniały ją coraz większym lękiem. Lękiem, że ją opuścił, że się od niej odwrócił. Karl, jej jedyny łącznik z tym, co kochała. Od czego została odcięta. Co musiała odzyskać. Za wszelką cenę. Kiedy się rozwidni, będzie musiała coś zrobić, chciała poprosić Ingmara o pieniądze, spytać, czy pożyczy jej auto. Nie mogła dłużej siedzieć beczynnym, nie mogła zostać w tym domu ani dnia dłużej, poprzysięgła sobie, że stąd wyjedzie, nie pozwoli się znowu zawrócić z drogi. Musi się stąd jakoś wydostać, wejść na balustradę i rzucić się w dół. Tak jak Solveig i Björk. Spaść i nigdy już nie wstać. Z pluszowym misiem w ręku.

Patrzy na zdjęcie. Jego twarz, odstręczający uśmiech. Powraca wszystko, co wtedy czuła. Kiedy wdziała go po raz ostatni, kiedy odcinała mu głowę. Benjamin Ludwig wrócił. Spełnił się najczarniejszy scenariusz, jeden z morderców jej męża leżał przed nią na stoliku podczas śniadania. Tytułowa strona brukowca krzyczała na cały świat, zaginiony aktor wrócił na czołówki gazet, wiedzieli już o tym wszyscy mieszkańcy tego kraju, na pewno pokazywali go w telewizji, ze smutnymi minami opowiadali o dramacie ulubieńca telewidzów, pisali, że padł ofiarą niepojętej zbrodni. Benjamin Ludwig, aktor, który dwa lata temu zniknął bez śladu, którego miesiącami szukano na całym świecie, w końcu wrócił na ekrany telewizorów i łamy gazet. Blondwłosy Bawarczyk znów bił rekordy oglądalności. A ją na widok tego obleśnego łgarza wciąż ogarniały mdłości.

Wszystko w niej krzyczało, czuła, jak kurczy się w środku. To było jak wyrok śmierci, wiadomość, która wieściła nieodwołalny koniec. Ta fotografia. Ludwig w koszulce polo, zrelaksowany na polu golfowym. *Ciało Ludwiga poćwiartowane*. Tytuł, który uderzył Blum po oczach, zanim zdążyła usiąść. Nie tknęła przygotowanego przez Gertrud śniadania, wpatrywała się tylko w leżącą na stoliku gazetę. Specjalnie ułożoną tak, żeby nie mogła jej przeoczyć. *Zaginiony gwiazdor serialu, Benjamin Ludwig, padł ofiarą zabójstwa. Nasze źródła w policji twierdzą, że głowa i nogi Ludwiga zostały znalezione na jednym z innsbruckich cmentarzy. Okrutna zbrodnia wyszła na jaw przypadkiem. Benjamin Ludwig nie żyje*. Blum pospiesznie przebiegała oczami po artykule, chłonęła go, słowo po słowie, do końca. *Badanie DNA wykazało, że znalezione części ciała należały do zaginionego aktora, podejrzany o zbrodnię mężczyzna przebywał w areszcie śledczym, druga podejrzana zbiegła i obecnie jest poszukiwana, wystawiono już za nią list gończy. Trwają poszukiwania właścicielki zakładu pogrzebowego zajmującego się pochówkiem mężczyzny, w którego grobie znaleziono części ciała Benjamin Ludwiga*. Blum czuła, jakby spadały na nią kolejne ciosy, w splot słoneczny, w podbrzusze, w twarz. Każde słowo zadawało kolejną ranę. Usiadła i przeczytała artykuł jeszcze raz, od początku. To koniec. Naprawdę koniec.

Siedzi przy hotelowym stoliku, w cudownym zakątku Szwarzwaldu. Idylla, wręcz raj. Gdyby nie przeszłość, która spadła na głowę Blum, byłoby cudownie. Być może dziewczynki właśnie wbiegałyby do ogrodu zimowego, może próbowałyby ją namówić, by w końcu poszła z nimi na basen. *Nie chcemy dłużej czekać, mamusiu. Chcemy na basen. Na tę długą zjeżdżalnię, prosimy, mamusiu.* Białe obrusy, słońce, zapach kawy. Sielanka. Lecz Blum czuła strach. Ktoś chciał jej powiedzieć, że nie ma wyboru, że musi tu zostać. W hotelu Solveig, przy tym stoliku, na zawsze. Że jest zbiegłą zabójczynią, matką, która porzuciła swe dzieci, kobietą szaloną, okrutną i bezlitosną. Nikt nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego zabijała. Będą ją wytykać palcami, pluć na nią, oskarżać. Powiedzą o wszystkim jej dzieciom. Już niedługo. Że ich matka jest potworem. Nikt nie uwierzy, że ci mężczyźni zasłużyli na to, co ich spotkało, że ich życie było warte mniej niż życie królika. Że niewinne zwierzątko ma większe prawo do życia. Blum została sam na sam z tym zdjęciem. Przez godzinę nie mogła oderwać od niego wzroku. A potem rozległ się sygnał komórki. Niczym wybawienie, na które tak długo czekała.

– Chryste, dlaczego nie odbierałeś?

– To zbyt niebezpieczne, Blum, nie mogę długo rozmawiać.

– Ale ja tu powoli odchodzę od zmysłów, muszę wiedzieć, co się dzieje.

– Znaleźli twoje odciski palców na folii, w którą zapakowano zwłoki. Rozesłali też za tobą list gończy, jutro twoje zdjęcie będzie we wszystkich gazetach.

– Na pewno?

– Na pewno, Blum. Znaleźli też odciski Rezy.

– Proszę, nie.

– Mówiłaś, że on nie ma z tym nic wspólnego.

– Reza naprawdę jest niewinny, musisz mu pomóc. Proszę, Karl.

– On już nigdy nie wyjdzie z więzienia.

– Skąd wiesz?

– Nad tą sprawą pracują ludzie z mojego wydziału. To moi przyjaciele, Blum. Rozmawiam z nimi. Jeśli chodzi o Rezę, to jest już pozamiatane, nie wyjdzie z za krat.

– Nie. Nie! Przecież musimy mu jakoś pomóc.
– Nie wygląda to dobrze, Blum.
– Nie.
– Ja też już nie daję rady, to dla mnie za wiele.
– Przepraszam, Karl.
– To jeszcze nie wszystko.
– To znaczy?
– Chcą otworzyć inne groby.
– Po co?
– Szukają tułowia i rąk Ludwiga. Sprawdzą wszystkie pogrzeby z tamtego okresu. Podejrzewają, że ukryłaś części ciała w różnych grobach.
– I mają rację. Znajdą wszystko, czego szukają. A jeśli będą dość sprytni, to nawet więcej.
– O czym ty mówisz?
– W tamtym czasie zniknęło pięciu mężczyzn. Sprawdzą rejestr zaginionych i odtworzą związki między zabitymi. A wtedy znajdą kolejne części ciał.
– Muszę kończyć, Blum.
– Musisz ze mną porozmawiać, proszę. Błagam, nie rozłączaj się. Karl...
– Nie mogę.
– Proszę cię. Musisz powiedzieć dziewczynkom, że nie zrobiłam nic złego. Powiedz im, że nie jestem potworem.
– One to wiedzą.
– Powiedz mi, Karl, co mam zrobić?
– Ktoś dzwoni do drzwi, muszę otworzyć.
– Proszę, nie.
– Niedługo zadzwonię. Uważaj na siebie.
– Proszę, nie odchodź.
Jego głos zniknął. Nie chciał z nią dłużej rozmawiać, nie chciał pomagać morderczyni. Raz po raz rozpaczliwie wybierała numer Karla, lecz w ogrodzie zimowym panowała cisza. Przerywana jedynie jej krzykiem, hukami krzesła, którymi zaczęła wściekle rzucać. Wpadła w szał, chciała wszystko zniszczyć, chciała coś zrobić, byle nie płakać,

byle nie czuć na twarzy przedpołudniowego słońca. Tłuc drogą zastawę, byle nie myśleć o Rezie. O tym, że jest w więzieniu, że ponosi karę za coś, czego nie zrobił. Widziała go w pokoju przesłuchań, patrzyła w jego smutne oczy. Widziała, jak milczy, jak wszystko znosi, jak wszystko się rozpada i znika. To, co ich jeszcze przed tygodniem łączyło, wspólne życie, wspólna praca, wspólne wieczory, w milczeniu, bez słów. Widziała jego usta, gdy go rozśmieszała. Wszystko zniknęło. Zostały tylko skorupy. I widok na park. Przycięte drzewa i Gertrud. Jej martwe ciało wśród traw.

Mija godzina. Blum stoi poruszona w jego gabinecie. Alfred Kaltschmied płacze. Wstrząśnięty próbuje zrozumieć, co się stało. Ociera z twarzy łzy. Gertrud leży w parku, nie rusza się. *Nie żyje*, szepcze raz po raz. Blum tylko kiwa głową. Stoją obok siebie i patrzą, co się dzieje na dole. Mnóstwo ludzi, ambulans, policja. Nad wszystkim czuwa Ingmar, pomaga strażakom, co chwila jednak przystaje i zasłania usta dłonią. On również patrzy przerażonym wzrokiem na martwe ciało. Tak jak Alfred.

Blum zaszyła się w jego mieszkaniu. Zabrała go na górę i została przy nim. Ukryta za zasłoną, obserwuje rozgrywający się w dole spektakl. Alfred stoi obok niej, drżący, złamany człowiek. Próbuje wyprzeć z umysłu myśl, że właśnie stracił kogoś ważnego. Gertrud. Leży bez ruchu. Traktor, który ją przygniół i zmiażdżył, stoi tuż obok. Gertrud nie oddycha. Dobry duch tego domu, zaufana pomocnica Alfreda, przybrana matka jego dzieci, niemal wszystko, co jeszcze mu pozostało. Leży zmiażdżona w ogrodzie.

Alfred bezradnie objął Blum ramieniem. Nic nie powiedział, w milczeniu szukał w niej wsparcia. Blum pozwalała mu na to. Choć najchętniej sama zanurzyłaby się w czyichś objęciach, została przy nim, była dla niego oparciem. Przedpołudnie w domu umarłych. Przypomniała sobie dzieciństwo i tamtą okropną piosenkę. O małym Murzynku, który jechał na wozie i spadł pod koła. Solveig, Björk, Gertrud. Kolejny cios. A Blum patrzyła na to niczym w teatrze, siedziała w pierwszym rzędzie, słyszała krzyk Alfreda. *Pomocy. Gertrud. Błagam, niech mi ktoś pomoże. Co z tobą? Gertrud! Wstawaj!* Jego błaganie, pod wiśnią. Pochylił się nad martwym ciałem. Trzymał je w ramionach. Blum wybiegła z hotelu.

W pierwszym momencie pomyślała, że Gertrud jest tylko ranna. Ile sił w nogach popędziła do parku, chciała pomóc. Lecz było za późno. Do Alfreda powoli zaczęło docierać, że Gertrud nie żyje. Wpadł w rozpacz, nie chciał tego przyjąć do wiadomości, dostrzec krwi, wielkich opon na martwym ciele. Blum i Alfred zdołali ją uwolnić spod traktora, przesunąć ogromną maszynę. Wszystko wskazywało na nieszczęśliwy wypadek. Blum skorzystała z okazji, by zająć czymś myśli, choć na

chwilę zapomnieć o własnych troskach. Śmierć wyrwała hotel i jego mieszkańców z codziennej rutyny. Rozpętało się piekło, Blum próbowała zapanować nad sytuacją, robiła to, co potrafi najlepiej. Spokojnie, z zawodowym opanowaniem zajęła się ciałem. Obróciła Gertrud na bok, żeby ukryć najgorsze obrażenia, zamknęła jej oczy, usta, okryła kurtką zmiażdżone członki i próbowała odciągnąć od niej Alfreda. Przemawiała do niego czule, prosiła, aby z nią poszedł na górę poszukać Ingmara. Nagle odnalazła w sobie siłę, po prostu działała, bez namysłu wykonywała swoją pracę. Wstępne zabezpieczenie ciała, rozmowy z bliskimi zmarłego, towarzyszenie im w żałobie. Otarła Alfredowi pierwsze łzy, objęła go, potem odprowadziła z powrotem do hotelu. Bała się, że ktoś ją zobaczy. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że tutaj jest, nikt nie powinien wypytywać, kim jest ta nieznajoma kobieta. Niedługo jej zdjęcie znajdzie się we wszystkich gazetach, bez trudu zostałaby rozpoznana. Dlatego czym prędzej zniknęła z parku, chciała się skryć w przepastnych wnętrzach hotelu. U boku Alfreda.

Z jakiegoś powodu nie zaskoczyło jej to, co się stało. Przeczynała, że coś się zdarzy. Że to nie koniec. Wypisano to wielkimi neonowymi literami na ścianie hotelowego holu, wyryto na dachu tej wielkiej budowli. Dostrzegłaby to, gdyby tylko nie była aż tak naiwna. *Uciekaj. Uciekaj i nigdy tutaj nie wracaj.* Słyszała to w głębi duszy, ale została. Nie pobiegła w dół wzgórza, do miasta. Chciała wierzyć w baśniowy świat, w siostrę, w raj, o którym zawsze marzyła. Lecz spotkała tylko drżącego Alfreda, który dwadzieścia lat temu opróżnił ten hotel, i Ingmara, którego najważniejszym zajęciem było rzucanie królikami o ścianę.

Miała wrażenie, że ogląda film. Patrzyła, jak jej świat się rozpada, a ona sama pędzi ku przepaści. Widziała, co się stało w parku. W domu. Otepiała powoli pokręciła głową. Była w sytuacji bez wyjścia. Palce Alfreda drżały, jego dłoń rozpaczliwie zaciskała się na jej ramieniu. Stał obok niej i patrzył, jak pracownicy zakładu pogrzebowego układają Gertrud w aluminiowej trumnie i nakładają wieko. Blum czuła w dotyku jego palców, że pęka mu serce, dlatego pozwoliła się na chwilę objąć staremu człowiekowi. Dopóki się nie uspokoi. Wtedy stąd wyjdzie, zbiegnie do garażu. Ucieknie. Byle dalej. Gdzieś, gdzie nikt jej nie zna,

gdzie sąsiedzi nie będą wiedzieć, co zrobiła. Dopóki nie przeczytają o tym w gazecie, dopóki nie zrozumieją, kim jest ta nieznajoma kobieta.

– Nie mogę tu dłużej zostać, Alfredzie.

– Nie zaciągnęła ręcznego.

– Nigdy tutaj nie wrócę.

– Traktor musiał się stoczyć w chwili, kiedy była schylona. Pewnie zbierała jabłka.

– Chciałabym ci podziękować za to, że mogłam tu zostać. Ale naprawdę muszę wyjechać.

– Co ja bez niej zrobię?

– Nie wiem.

– Zawsze powtarzałem, żeby najęła ogrodnika. Wiedziałem, że kiedyś zdarzy się jakieś nieszczęście.

– Kiedy zabiorą Gertrud, ja też pojadę.

– Bez niej nic tu nie działa. Ona trzymała wszystko w garści, bez niej dom już dawno by runął. Wszystko robiła Gertrud. Wszystko.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Nie mogę dłużej zostać.

– Proszę, nie odjeżdżaj.

– Muszę, Alfredzie.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest mój dom.

– Ale może nim być.

– Nie może. Nic mnie z tym miejscem nie wiąże. To nie są moi umarli. To nie jest moja historia.

– Teraz już jest.

– Przykro mi, Alfredzie, ale nie mogę.

– Dokąd pojedziesz?

– Wrócę do domu, do dzieci.

– Myślę, że to nie jest najlepszy pomysł.

– Co masz na myśli?

– Możesz tu zostać, Blum. Nikt nie wie, że tu jesteś, prawda?

– Nie rozumiem.

– Ingmar o wszystkim mi powiedział.

– Niby o czym?

– O wszystkim.

- To znaczy?
- To ja położyłem na stoliku gazetę.
- Dość tego, Alfredzie. Wyjeżdżam.
- Myślę, że nie masz wyboru. Szuka cię policja.
- Dość.
- Tu jesteś bezpieczna.
- Chcesz, żebym została, chociaż wiesz, co zrobiłam?
- Należysz do rodziny, Blum.
- Co z wami? Czy wy jesteście obłąkani? Każdy normalny człowiek uciekłby ode mnie gdzie pieprz rośnie. Nie boisz się, że wyciągnę nóż i potnę cię na kawałki? Wiedziecie, co zrobiłam, i prosicie, żebym została? Dlaczego?
- Jesteś siostrą Björk, zrobimy wszystko, by cię ochronić. Możesz tu zostać, wspólnie zastanowimy się, jak z tego wybrnąć. Znajdziemy sposób, żebyś znów zobaczyła swoje dzieci.
- Nie wiesz, o czym mówisz.
- Owszem, wiem doskonale.
- Jesteście szaleni.
- Bynajmniej. Straciliśmy Björk i nie chcemy stracić również ciebie. Nie teraz. Dopiero co się poznaliśmy, mamy sobie jeszcze tyle do opowiedzenia. Musisz zostać, Blum. Proszę.
- To nie jest bajka, nie możecie mnie do końca życia ukrywać. Tak się nie da.
- Dlaczego? Tu jesteś bezpieczna. Sprowadzimy twoje dzieci, wszystko się jakoś ułoży.
- Jesteś stary, Alfredzie.
- Chcesz powiedzieć, że jestem głupi?
- Nie, chcę powiedzieć, że jeśli zostanę, wszystko stracisz. Policja zamknie ciebie i Ingmara w więzieniu. Nic się nie ułoży.
- A co ja mam do stracenia, Blum?
- Wszystko. Solveig, swoje życie.
- Życie? A cóż ono jest warte, kiedy nie ma nikogo, z kim mógłbym je dzielić?
- Nie masz chyba pojęcia, co zrobiłam. Nie rozmawiamy o wykroczeniu drogowym, zdaje się, że nie całkiem to do ciebie dociera.

– Dociera. I dlatego tu zostaniesz. Nie ruszysz się stąd nawet na krok. Zostań tutaj i zaczekaj, aż wrócę.

– Dokąd idziesz?

– Zaufaj mi.

Zrozpaczony starzec. Prostuje się i patrzy na Blum zdecydowanym wzrokiem. Obiema rękami trzyma ją mocno za ramiona. Jakby napił się wody z cudownego źródła i nagle odzyskał siły. Powiedział, że powinna tu zostać, zdecydował za nią. Jak ojciec, gdy dziecko, nie wie, co począć, gdy stoi przed nim bezradne i bezgłośnie błaga o pomoc. Alfred wziął ster w swoje ręce, otarł łzy, łagodnie pogładził ją po plecach i uśmiechnął się do niej. *Wszystko się ułoży, zobaczysz*, powiedział. Potem wyszedł z pokoju. Poszedł do pozostałych. Do Gertrud. Do Ingmara. Do Kuhna.

To on nagle wypłoszył Alfreda z kryjówki. Leo Kuhn jechał swoim czerwonym ferrari w stronę hotelu. Przyjechał, żeby dodać przyjacielom otuchy w ciężkich chwilach. Prawdopodobnie Ingmar zadzwonił do niego i powiedział mu, że Gertrud nie żyje. Gertrud również dla niego była kimś bliskim, z pewnością przygotowywała dla niego posiłki. Kiedyś, gdy spędzał tu całe tygodnie. Tak mówił Alfred. Kuhn należał prawie do rodziny, a mimo to Alfred wyskoczył jak z katapulty, by go odesłać z powrotem. *Odprawię go*, powiedział. *Nie martw się, Blum. Nikt się nie dowie, że jesteś w hotelu. Tutaj jesteś bezpieczna.* Dlatego została. Ze smutkiem patrzyła, co się dzieje na dole. Widziała, jak Alfred z opuszczonymi ramionami idzie przez ogród na miejsce wypadku. Widziała, jak rozmawia z pozostałymi. Jak znika Gertrud.

Widok martwego ciała odjeżdżającego karawanem był dla Blum czymś najnormalniejszym na świecie. Od lat, odkąd sięgała pamięcią, takie sceny stanowiły część jej życia. Transport zwłok, ich mycie, ubieranie, układanie w trumnie, składanie w grobie. Kres życia, bezradność i ból bliskich. Znowu. Płaczący mężczyźni, którzy przez moment nie muszą być silni, mogą się poddać bólowi, żalobie. Ingmar, Alfred i Kuhn padli sobie w ramiona. Wzruszająca scena, kilka minut bliskości. Stoją obok siebie i rozmawiają. I wtedy Kuhn nagle podnosi głowę, powoli odwraca się i patrzy w górę, w kierunku Blum. Blum przerażona odskakuje od okna. Widziała, że rozmawiali o niej, Alfred

musiał mu coś powiedzieć. Blum czuła, że dzieje się coś złego. Wybiegła z pokoju, z apartamentu Alfreda, nie miała chwili do stracenia. Nagle poczuła na plecach lodowaty dreszcz, biegła ile sił w nogach, pchana nagłym przeczuciem. Przeczuciem, że już nigdy nie wyjdzie z tego budynku.

W gardle czuje ogień. Nieznośny ból. Jej usta są jak pustynia, język jak kawał wysuszonego mięsa, każda próba przełknięcia powoduje udawkę. Nie ma już ani kropli śliny, ani kropelki wody, niczego, co uchroniłoby ją przed tym, co nieuniknione. Straci przytomność, organy wewnętrzne przestaną funkcjonować. Najpierw nerki, potem płuca. Jej ciało obumrze. Nic na to nie może poradzić, nie może się bronić, kopać w drzwi, drapać ścian. Jest gdzieś w tym przeklętym hotelu, w jednym z trzystu pokoi. Nie ma już siły, nie wie nawet, ile minęło nocy, odkąd traktor zmiażdżył Gertrud, odkąd stała obok drżącego Alfreda. Wie tylko, że to nie potrwa długo. Już nie może, nie może się ruszać, nie może mówić, nic. Zbyt długo zwlekała, za późno podjęła decyzję, powinna była zniknąć stąd dużo wcześniej.

Próbuje poruszyć językiem, wszystko w niej krzyczy o kroplę wody. I wtedy sobie przypomina. Widzi to. Jak stanął na jej drodze, jak zablokował drzwi windy. Jechała na dół, a on chciał pojechać na górę, grzecznie się z nią przywitał, chciał porozmawiać o Gertrud. I wtedy zobaczył jej torbę. W mig zrozumiał, że chciała uciec. Nie potrafił ukryć zaskoczenia, smutek na jego twarzy ustąpił miejsca wściekłości. *Dokąd chcesz pójść? Nie możesz przecież tak zwyczajnie odejść.* Owszem, mogła. W jej oczach zobaczył, że rozmowa jest pozbawiona sensu. Że słowami jej nie powstrzyma.

- Musisz tu zostać.
- Nic nie muszę.
- Przeciwnie, Blum, nie wolno ci działać pochopnie.
- Zejdź mi z drogi.
- Dokąd chcesz pójść?
- Zejdź mi z drogi!
- Proszę, porozmawiajmy.
- Nie.
- Masz natychmiast wyjść z windy.
- Nie dotykaj mnie.
- Nikt o niczym nie wie.
- Trzymaj ręce przy sobie.
- Możesz mi zaufać.

– Nie.

Ingmar. Stał przed nią, blokował wyjście. Próbował ją wyciągnąć z windy. A w niej wszystko krzyczało, opierało się. Chciał ją zatrzymać, dlatego go uderzyła. Tak po prostu, kopnęła go, nie miał szansy zareagować. Kopnięcie nastąpiło zbyt szybko, Ingmar osunął się na kolana, Blum pchnęła go. Chciała tylko, żeby dał jej spokój. Nie zamierzała już nigdy dotykać jego skóry, jego ust, jego dłoni, patrzeć na uderzające w ścianę króliki. Nigdy więcej. Ingmar jęknął, a ona panicznie raz po raz naciskała guzik. Wściekła, z furją, niezdolna wykrztusić słowa. Był tylko strach. Chciała jednego: żeby drzwi się znowu zamknęły, żeby przestał ją szarpać, chciała się uwolnić od dłoni, która zacisnęła się na jej stopie. Kopnęła jeszcze raz. I wtedy drzwi windy się w końcu zamknęły.

Ileż to razy w ostatnich dniach wyobrażała sobie ten moment. Chwilę, kiedy pokazał jej swoją prawdziwą twarz. Ingmar. Pożądanie, które na niej ujrzała, sprawiało, że przechodziły ją dreszcze. Ingmar. Pozwała mu się całować, dotykać, oddała mu się. Z walącym sercem biegła przez podziemny garaż, rozpaczliwie szukała właściwego auta, żadne światło nie mignęło, nie rozległo się żadne piknięcie, chociaż bez przerwy naciskała klawisz. Bateria pilota musiała być rozładowana. Niecierpliwie wsuwała kluczyk w kolejne zamki. Aż w końcu znalazła właściwy wóz. Czarne porsche, prawdziwe cacko. Jej bilet do wolności, brama nagle znów stanęła przed nią otworem, już tylko minuta dzieliła ją od tego, by pędzić pełnym gazem przez Szwarzwald. Rzuciła torbę na tylne siedzenie i właśnie chciała wsiąść, kiedy poczuła cios. Na jej plecach wylądował jakiś ciężki kawałek drewna lub metalowa rurka. Uderzenie dosłownie rzuciło ją na posadzkę. Poczowała ból. A potem nastąpiło drugie uderzenie. W głowę. Głuche łupnięcie. Jedyne ten dźwięk na jej potylicy. Lekki trzask, a potem długo, długo nic.

Był tylko ból. I ciemność, z której powoli się budziła. Pieczenie, ból, pulsowanie w czaszce, zawroty głowy. Była sama. Pośrodku pokoju, na dywanie. Zebrała wszystkie siły i szarpnęła za drzwi, szukała okna, drogi wyjścia. Aż w końcu zrozumiała, że stąd nie ma ucieczki. Była w więzieniu, obudziła się w następnym koszmarze, w pięknym hotelowym pokoju, w złotej klatce, gdzieś w tym ogromnym budynku,

ukryta za którymiś z kilkuset drzwi. Bez wody, bez jedzenia, bez odpowiedzi, bez pomocy, spragniona. Sama w tym pokoju. Sam na sam ze swoim krzykiem. Całymi dniami. Wiedziała, że to koniec. Koniec wszystkiego. Że odchody, które zawinęła w prześcieradło, nie przestaną cuchnąć. Nigdy. Był tylko smród, światło, jej piękne ciało na drogim dywanie. Jej otwarte usta. Jej zamknięte oczy. Blum.

Powoli obraca się na plecy. Od kilku godzin leżała na boku. Boli ją biodro, z trudem porusza omdlałą ręką. Najprostsze rzeczy, każdy ruch, oddech, wszystko, co kiedyś nie sprawiało jej żadnych trudności, teraz jest prawie niewykonalne. Jest tylko to wysuszone na wiór ciało, które już nigdy nie wstanie. Nikt nie przybędzie jej na ratunek. Nie jest w stanie zrobić nic więcej, może tylko leżeć i czekać. Po raz ostatni postawić sobie te same pytania. *Jak mogłaś być tak głupia? Powinnaś była zauważyć, że coś z nim jest nie tak. Że jest chorym sukinsynem. To musiało się tak skończyć, chciałaś tego, wszystko zepsułaś.* Wciąż te same wyrzuty, oskarżenia i kara, bez końca. Słyszy swój głos. I inne głosy, głęboko w głowie. Nie panuje nad nimi, nad niczym już nie ma kontroli, zaczyna fantazjować. Wypowiada na głos bezładne myśli, krzyczy, przeklina i szepcze, usprawiedliwia się, upokarza i płacze. Rozmawia sama ze sobą, bo nikogo innego nie ma. Bo jest sama, bo traci rozum, bo wkrótce umrze. Wszystko się gmatwa, słyszy już tylko te dwa głosy w swojej głowie. Resztką sił wie dzie spór. Blum kontra Blum.

– Mała głupia Blum.

– Przestań.

– To już nie potrwa długo. Za godzinę stracisz przytomność, potem twoje organy odmówią posłuszeństwa. Jeden po drugim.

– Proszę.

– Spójrz na siebie.

– Nazywam się Blum. Prowadzę zakład pogrzebowy. Mieszkam w Innsbrucku. Mam dwie córeczki.

– Och, dajże spokój z tymi bzdurami. Nikt cię nie słyszy. Nie ma nikogo, kto mógłby ci pomóc. Nikogo, rozumiesz? Jesteś sama, niedługo umrzesz. Powoli skonasz. Więc przestań się w końcu opierać.

– Chcę stąd wyjść.

– Nic z tego. To koniec, Blum.

- Nie chcę umierać.
- Ale umrzesz.
- A dziewczynki? Muszę wrócić do dziewczynek.
- Zapomnij o nich.
- Nie mogę. Muszę do nich wrócić, muszę się nimi zaopiekować.

Proszę.

- Zamknij się wreszcie.
- Nie chciałam tego wszystkiego.
- Przecież musiałaś sobie zdawać sprawę, że tak się to skończy.

Myślałaś, że się wywiniesz?

- Ja nic nie zrobiłam.
- Zabiłaś pięciu ludzi, Blum.
- Nie.
- Tak. Zamordowałaś ich, poćwiartowałaś i wyrzuciłaś jak śmieci.

Dlatego umrzesz.

- Proszę, nie.
- Zapłacisz za wszystko, Blum. Nadszedł dzień sądu.
- Oni zasłużyli na śmierć.
- Jakie to wzruszające.
- To były bestie.
- Nie ośmieszaj się. Czas umierać, Blum.
- A Uma? Nela?

– Daj spokój. Powinny się cieszyć, że cię nie ma, że w końcu będą mogły normalnie żyć.

– Nie.

– Myślisz, że to dla nich przyjemne? Wychowywać się pośród trupów? Żyć w domu, gdzie mieszka śmierć? Mieć matkę, która nad sobą nie panuje? Która jest morderczynią?

– Zawsze się o nie troszczyłam. Zawsze. Zrobiłabym dla nich wszystko. To moje dziewczynki.

– Łudzisz się, Blum. Wcale nie byłaś lepsza niż Herta i Hagen. Zawiodłaś, tak samo jak oni. Przecież za to ich właśnie nienawidziłaś. Za to, że zostawili cię samej sobie. Mam rację?

– Nie jestem jak Hagen i Herta.

– Jesteś, Blum. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dlatego dla

wszystkich będzie lepiej, jak wreszcie zdechniesz.

– Nazywam się Blum. Mam dwie córki. Mieszkam w Innsbrucku.

– Tracisz rozum, Blum.

– Nie mogę umrzeć. Nie teraz.

– Możesz. Biedny Ingmar się o to postarał.

– Nie.

– Odda cię Kuhnowi, żeby cię wypchał. Tak jak Björk. Może wsadzi cię na tłustą brzydką krowę? Nasz kochany Ingmar na pewno wymyśli dla ciebie coś wspaniałego.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– A dlaczego rzuca zwierzętami o ścianę?

– Co się tu właściwie dzieje?

– Przestań w końcu zadawać głupie pytania.

– A co innego mi pozostało?

– Odpuść sobie.

– Niby jak?

– Po prostu, zamknij oczy.

– I co teraz?

– Umieraj.

Pięć sekund później i Blum niczego już by nie usłyszała. Ani zgrzytu klucza, ani otwierających się drzwi. Klika sekund później jej powieki już by się nie podniosły, już by go nie zobaczyła. Jak wchodzi do pokoju i ostrożnie się do niej zbliża. Trzydzieści sekund temu była gotowa umrzeć, a teraz znów żyje, znów kiełkuje w niej nadzieja, ledwie iskierka, ale ogień znów płonie. Leży bez ruchu, z zamkniętymi oczami, chce, żeby myślał, że umarła. To jej jedyna szansa, musi mu pozwolić podejść jak najbliżej. Cholerny psychopata. Ingmar. Blum słyszy, jak ją ostrożnie okrąża, jak sprawdza, czy się jeszcze porusza, czy jeszcze oddycha, czy jest jeszcze zdolna się bronić. Blum, niemiłosiernie spragniona, głodna, wycieńczona. I Ingmar, syty, zadowolony. Bestia, która ją uwięziła. Chciał, żeby umierała powoli, prawdopodobnie przez cały czas obserwował ją przez dziurkę od klucza. Czekał, aż przestanie się ruszać. Aż jej opadną powieki. Wtedy otworzył drzwi.

Blum wstrzymuje oddech. Stara się nie oddychać, jej klatka piersiowa nie może się poruszać, Ingmar nie może się zorientować. Dopóki jej palce nie zacisną się na długopisie. Znalazła go pod biurkiem, kilka dni temu, jedyny przedmiot w tym pomieszczeniu, który mogłaby przed nim ukryć i użyć go jako broni. Tania hotelowa reklamówka z nadrukiem, pamiątka dla gości hotelu Solveig, kolejne upokorzenie dla Blum. *Witamy w raju*. Białe litery na niebieskim plastiku. Od tyłu godzin kryje go w dłoni, to jej jedyna nadzieja. Tak długo to planowała, tyle razy wyobrażała sobie tę chwilę. Moment, w którym jej nadzieja się ziści. Kiedy podniesie rękę i dźgnie. Oczami wyobraźni widziała to, co teraz nastąpi. Niczym spełniony sen. Jego twarz, znów tak blisko jej twarzy. Patrzy na nią, upewnia się, że umarła.

Ingmar. Niczego nie rozumiała, nie wyczuła, ignorowała wszelkie oznaki, ślepo mu zaufała. Nie chciała zauważyć tego, że coś się tutaj nie zgadza. Jego historia, jego życie, jego sztuka. Powinna była się zorientować. Młody mężczyzna, który mieszka z ojcem w pustym hotelu. Bez pracy, bez przyjaciół. Jest tylko Kuhn, kolega ze studiów, równie szalony jak Ingmar. Stary dobry Ingmar, Blum zaufała mu, a on teraz klęczy obok niej, pochyla się nad nią, dokładnie tak, jak sobie to umyśliła. Nieomal czule gładzi jej włosy, delikatnie całuje w czoło,

podczas gdy ona nadal wstrzymuje oddech. Blum. Nie może dłużej czekać, musi zaczerpnąć powietrza, musi podnieść rękę, dźgnąć go, bo nie zniesie dłużej dotyku jego warg. Bo nienawidzi go za to, co jej zrobił. Zabije go. Jej palce kurczowo zaciskają się na długopisie. Z westchnieniem chwytą powietrze, podnosi rękę, zadaje cios.

W jednej sekundzie wszystko się zmienia. Ingmar krzyczy z bólu, osuwa się na bok, zalega bez ruchu. Obok niej. Blum nie wie, gdzie go trafiła, jak ciężko jest ranny. Czy żyje, czy udało jej się trafić w tętnicę szyjną, jak mocno krwawi. Wie tylko, że czubek długopisu dosięgnął celu. Dopiero teraz otwiera oczy, mimo bólu obraca się na bok i patrzy. A on leży z długopisem w uchu. Groteskowy widok. Mężczyzna, który chciał, żeby umarła, leży na dywanie z długopisem w lewym uchu. Trafiła go, obezwładniła. Leży obok niej nieprzytomny, bezbronny. Lecz tylko przez chwilę. Blum wie, że Ingmar wkrótce odzyska przytomność, że musi się doczołgać do sofy, przyciągnąć poduszkę i przycisnąć ją do jego twarzy. W żadnym wypadku nie może mu pozwolić, by się obudził. Nigdy więcej.

Blum pełźnie. To, co kilka dni temu zajęłoby jej ułamek sekundy, teraz trwa całą wieczność. Zaledwie kilka metrów, lecz droga jest zbyt daleka, Ingmar obudzi się i ją zabije, zanim jej dłoń zdoła sięgnąć po poduszkę. Nie da rady. Jest zbyt wolna, sofa stoi za daleko. Ingmar leży obok niej, jego klatka piersiowa unosi się i opada, krew płynie mu z ucha, to tylko kwestia czasu, kiedy otworzy oczy, kiedy wyciągnie długopis z ucha, kiedy Blum umrze. Wie, że tak będzie, jeśli nie zdoła się dźwignąć, jeśli nie uniesie swojego ciała i nie ułoży na jego twarzy. Tylko tyle może jeszcze uczynić, na nic innego nie ma już sił. Położy się na nim, na jego twarzy, odetnie mu dopływ powietrza. Bo na to zasłużył. Musi to zrobić, jak najszybciej, bo jego usta już się poruszają, wydają cichy jęk. Blum musi go zdusić. Jeśli chce żyć.

To niemal niemożliwe, a jednak daje radę. Mimo bólu obraca się, spręży, jednym rzutem układa na jego twarzy, jej kręgosłup okrywa mu usta i nos. Ingmar nie może oddychać. Blum leży na nim. Dwie sekundy. Siedem. Dziesięć. Wtedy jego ciało zaczyna drgać, rzuca się. Powoli odzyskuje przytomność, chce oddychać. Lecz Blum przyciska go całym ciężarem. Ingmar zaczyna dygotać. Potem nieruchomieje.

Miała nadzieję, że już nigdy do tego nie dojdzie. A jednak robi to bez wahania. Jest absolutnie pewna, że postąpiła słusznie, nie ma żadnych skrupułów, wyrzutów sumienia, nawet przez chwilę. Po prostu, tak było trzeba. Przez moment ma wrażenie, że wygrała, czuje, jakby fortuna znów jej sprzyjała, przez chwilę widzi przed sobą przyszłość. W chwili gdy Ingmar przestaje się ruszać, a jej ciało zsuwa się z niego, w jej sercu wzbiera nadzieja. Ingmar nie rusza się, przez jakiś czas Blum jest zwycięzcą. Wyczerpana leży obok niego, musi zebrać siły, wyczołgać się z tego pokoju, wydostać się na korytarz, znaleźć kran, napić się wody. Chce jeszcze przez chwilę odpocząć, poleżeć, obok niego, na dywanie.

Zbyt późno spostrzega, że Ingmar jeszcze się rusza, że wciąż żyje. Gdy słyszy, że z jego ust dobywa się głos, dociera do niej, że jej nieporadna próba uduszenia go zakończyła się fiaskiem. Bo Ingmar odzyskuje przytomność, zrywa się na równe nogi, wśród przekleństw wyciąga sobie długopis z ucha i krzyczy. Blum zamyka oczy. Nie chce widzieć, jak znów ją krzywdzi, słyszy tylko jego niekończący się krzyk. I kroki, kiedy odchodzi, opuszcza pokój. Drzwi zostają otwarte.

Od pięciu minut jest sama. Drzwi wciąż są otwarte, nie ma nikogo, kto by mógł ją zatrzymać. Nikogo, kto mógłby jej przeszkodzić wyczołgać się z pokoju. Gdyby mogła. Ale nie może. Leży, nie rusza się, patrzy w sufit. Otacza ją cisza, krzyki Ingmara umilkły, wszystko jest tak, jak było. Blum na podłodze, jej twarz na dywanie, uszły z niej wszystkie siły. Szklanka jest ostatecznie pusta.

Nie może zrobić nic innego, jak tylko czekać na jego powrót. Poddała się, może tylko mieć nadzieję, że wszystko pójdzie szybko. Nie chce już nic czuć, mówić, zamyka oczy. Bo słyszy kroki na korytarzu. Bo on wchodzi do pokoju i zbliża się do niej. Ingmar. Kieruje się wprost ku niej, powoli klęka i siada obok na podłodze. Blum liczy się z tym, że w każdej chwili może pograżyć się w ciemności. Że zada jej cios. Już się nie broni. Myśli o jachcie, na którym kiedyś była szczęśliwa, widzi morze. Słońce migoce na wodzie.

Potem słyszy jego głos. *Proszę, Blum, otwórz oczy.* Ingmar przemawia do niej, jego głos jest bardzo blisko. Blum w pierwszej chwili nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. W to, co Ingmar mówi, co robi. *Nie odchodź.* Delikatnie ujmuje jej głowę i kładzie sobie na udzie. *No już, otwórz usta.* Palce Ingmara dotykają jej warg, lekkim naciskiem rozwiera jej szczęki. Potem przychodzi błogosławiony deszcz, po miesiącach suszy. Następuje cud, o którym marzyła. Woda. Ten psychopata delikatnie nawilża jej wargi. Blum widzi to, kiedy otwiera oczy – widzi gąbkę w jego dłoni, żółte niebo, z którego spływa zbawienie. Zimna woda w jej ustach. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego. Nie tego, że jej pomoże. Ingmar. Z twarzą wciąż wykrzywioną bólem, tuż nad nią, raz po raz przyciska swą dłoń do ucha. Potem znowu zanurza gąbkę w misie i wyciska wodę na jej wargi. Blum chciwie wysuwa ku niej swe usta. Przyjmuje wszystko, co jej daje, kroplę po kropli. Ingmar powoli sprowadza ją z powrotem. Do świata żywych.

Blum milczy. Nic nie rozumie. Mężczyzna, który chciał ją zabić, teraz się o nią troszczy. *Nie spiesz się, Blum. Zaraz poczujesz się lepiej.* Blum jest jak roślina, która znowu rozwija liście, czuje, jak z powrotem wlewa się w nią życie. Nieważne, jakie są jego zamiary, nieważne, co się stanie, Blum pije. Wciąż nie dostrzega żadnych oznak agresji, niczego,

co kazałoby sądzić, że chce ją skrzywdzić. Przeciwnie, w chwilach gdy jego dłoń nie dotyka zranionego ucha, delikatnie gładzi jej włosy. Ingmar głaszcze rannego królika, zabawkę, którą rzucił o ścianę. Blum. Pieści ją, ratuje. Bo nie ma odwagi jej zabić, bo nie umie tego zrobić, bo nie potrafi jej uderzyć. *Ty pieprzony, tchórzliwy sukinsynu*, mówią jej oczy. A on nie jest w stanie zasłonić jej ust, udusić jej. Dlatego ją zamknął, zaryglował drzwi, nie skrzywdził jej, nie zranił. Tylko zostawił bez wody. Blum w raju. Blum w rękach Ingmara.

Krew wciąż kapie mu z ucha. Zostają tak przez godzinę. Aż woda nasączy każde włókno jej ciała, aż znów może mówić, aż pozwoli jej na to jej śluzówka, język, wargi. Słowa powoli dobywają się z jej ust. Pytania i odpowiedzi. Wciąż nie ma siły, by uciec, dlatego zostaje. Ma tylko słowa i gniew. Jej głowa wciąż spoczywa na jego kolanach, a on wciąż ją głaszcze. Bo on tak chce, a ona nie może, nie ma siły się temu oprzeć.

- Przestań.
- Tak się cieszę, Blum.
- Nie dotykaj mnie.
- Wszystko, czego tylko sobie życzysz, Blum. Tak się cieszę, że żyjesz. Już myślałem, że jest za późno.
- Myślisz, że nie wiem? Widzę to. W twoich oczach.
- Co takiego?
- Że nie wyjdę stąd żywa.
- O czym ty mówisz?
- Twoja w tym głowa.
- Jesteś w szoku.
- Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz?
- Jestem tu, by ci pomóc, Blum. Tylko to się liczy. Nie możemy się teraz spieszyć. Powinnaś powoli pić, nie jeść za dużo. Twój żołądek musi się najpierw przyzwyczaić do pokarmu, nie możemy popełnić błędu. Twój organizm wiele przeszedł.
- Dlaczego nie zamkniesz po prostu drzwi i mnie tu nie zostawisz?
- Wiesz, ile dla mnie znaczysz.
- Przestań.
- Martwiłem się, bardzo. Mogłaś być wszędzie. Nagle zniknęłaś,

zupełnie jakbyś się zapadła pod ziemię. Potem znalazłem w lesie porsche i zacząłem cię szukać.

– Przestań kłamać.

– Nie kłamię.

– Zamknąłeś mnie tutaj.

– Nieprawda, nie zrobiłem tego.

– Pobiegłeś za mną do garażu, ogłuszyłeś mnie, a potem przyniosłeś do tego pokoju. Nie chciałeś sobie brudzić rąk, mam rację?

– Wcale nie było tak, jak mówisz.

– Więc jak?

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, przysięgam. Kiedy wyszłaś, wróciłem do atelier. Musisz mi uwierzyć, Blum. Powtarzam ci jeszcze raz, jestem tu, żeby ci pomóc.

– Więc pozwól mi odejść.

– To nie byłem ja, uwierz mi, proszę.

– Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, zabierz mnie stąd.

– Nie.

– Co z ciebie za psychopata. Po prostu mnie zabij. Przestań odgrywać teatryk, dość tego, Ingmarze. Ty wygrałeś, ja przegrałam. Co prawda nie mam pojęcia, dlaczego wszystko tak się potoczyło, ale trudno, stało się. A teraz z tym skończmy.

– To Alfred cię uwięził.

– Alfred?

– Tak.

– Ty pieprzony kłamco!

– Chryste, dlaczego miałbym cię okłamywać?

– Bo chcesz ratować swój tyłek.

– Niby po co miałbym cię więzić?

– Z pewnością masz jakiś powód.

– Wiesz, że nie mógłbym tego robić.

– Nie, nie wiem.

– Spałaś ze mną, Blum.

– To nic nie znaczy.

– Dla mnie znaczy.

– Popełniłam w swoim życiu mnóstwo błędów.

– Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam. To sprawka mojego ojca, nie moja. Gdybym cię nie znalazł, umarłabyś. Na szczęście w porę cię odszukałem.

– Na szczęście?

– Tak.

– I to twój ojciec jest tym złym?

– Tak.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Chciał, żebyś została, na zawsze.

– Nie.

– W ostatnich latach bardzo się zmienił.

– Nie wierzę ci.

– Decyzja należy do ciebie, Blum.

– Chcę stąd wyjść.

– W porządku.

– W porządku?

– Tak, możesz iść, dokąd tylko zechcesz.

Kilka godzin później jej żołądek napełnia się pokarmem. Zupą, którą Ingmar ugotował specjalnie dla niej. Powoli, łyżka po łyżce wraca do życia. Pomógł jej wstać, wziął na ręce i zaniósł do jej pokoju. Pozwoliła mu na to, chociaż mu nie ufa, chociaż go nienawidzi. Nie ma wyboru. Jest tylko on. Tylko on może jej pomóc, pielęgnować ją, nakarmić, tylko on może ją z powrotem postawić na nogi, zadbać o to, by wróciła jej jasność myśli, by odzyskała kontrolę. Jej dręczyciel, jej wybawca, Blum o nic więcej nie pyta, nie zastanawia się, przyjmuje to, co jej daje, bo cóż może zrobić. Gdyby chciał ją zabić, dawno już by to zrobił. Wciąż jest zbyt słaba, by się bronić. Wszystko jest takie niewyraźne. Pokój, las za oknem, Ingmar, który siedzi obok niej na brzegu łóżka. Jego twarz.

Blum jest zawieszona między jasnością a mrokiem. Raz po raz odpływa, cierpliwie znosi jego obecność, to, że jej pomaga w łazience, że patrzy, jak się myje. Podtrzymuje ją, gdy się osuwa. Blum go potrzebuje. Jeszcze. Bez niego się stąd nie wydostanie, dlatego milczy i znosi jego spojrzenia. Musi na chwilę wstrzymać oddech, odzyskać siły, musi przeżyć kolejny dzień, aż znów będzie mogła chodzić. Uciec od tego szaleńca, który bez przerwy powtarza, że się nią zaopiekuje. *Zawiozę cię w bezpieczne miejsce, Blum. Musisz mi zaufać.* Lecz ona mu nie wierzy. Nawet przez sekundę. Blum czuje, że to wszystko kłamstwa. Niemożliwe, żeby to Alfred ją uderzył i zamknął w pokoju. Że ten smutny stary człowiek chciał, aby umarła. Blum w to nie wierzy. Jest pewna, że to był Ingmar, nie Alfred.

Troszczy się o nią z wyjątkową czułością. Okrywa ją, uśmiecha się do niej. *Zamknij oczy, Blum. Nikt cię nie skrzywdzi. Zostanę przy tobie.* Nie pyta jej, czy sobie tego życzy, siedzi na brzegu łóżka. Za blisko. Ingmar Kaltschmied. Całowała go, nie zauważyła niczego podejrzanego, czuła tylko litość dla osieroconego chłopca, dziedzica tego miejsca, dla doświadczonego przez los dziecka. Niczego nie przeczuwała, nawet przez moment nie pomyślała, że mógłby ją skrzywdzić. Odkąd go poznała, był zawsze gotów jej pomóc, tak jak teraz. Przyjął ją pod swój dach, milczał, nie zdradził jej, dał jej schronienie, zaoferował kryjówkę. I wciąż jej pomaga.

Ingmar. Mówi, że powinna się przespać. Mówi, że kiedy Blum odzyska siły, pokaże jej, że nie ma z tym nic wspólnego, da jej dowód swej niewinności. *Kiedy się obudzisz*, mówi. Lecz Blum nie chce spać. Boi się, że znowu ocknie się w pokoju bez okien, za wszelką cenę musi pozostać przytomna, musi z nim rozmawiać, musi się jak najwięcej dowiedzieć. Dlaczego jest tak opiekuńczy, czego jeszcze od niej chce, dlaczego nie pozwolił jej umrzeć. Blum chce poznać prawdę, zanim zada mu ból.

- Sen dobrze ci zrobi.
- Nie chcę spać.
- Zaufaj mi, potem poczujesz się lepiej.
- Powiedziałam „nie”.
- Przecież widzę, że kleją ci się powieki.
- Chcę wiedzieć, co to za pokój.
- Nie rozumiem.
- Dlaczego nie ma w nim okien, łazienki? Dlaczego?
- Nie wiedziałem, że ma do niego klucz.
- Kto?
- Alfred. W życiu bym się nie domyślił, że cię tam zamknął.
- Chcę wiedzieć, co to za pokój.
- To stare dzieje. Do tego pokoju od lat nikt nie wchodził.

Szukałem cię wszędzie, tylko nie tam.

– Masz mi natychmiast powiedzieć, co to za miejsce. Dlaczego zamurowano drzwi do łazienki i okna? Po co?

- To naprawdę głupstwo, wierz mi.
- Mam ci wierzyć?
- Tak.
- Więc mów.

– Leo i ja zamieniliśmy go w pracownię, ten eksperyment był ważną częścią naszej pracy dyplomowej. Potem już nikt tam nie wchodził.

- Eksperyment?
- Na przemian zamykaliśmy się w nim i obserwowaliśmy. Bez jedzenia i picia.
- Słucham?

– Chcieliśmy dotknąć śmierci, poczuć, jak to jest, kiedy człowiek umiera.

– Wy naprawdę nie jesteście normalni.

– Wiem, przez co przeszłaś, Blum. Sam to przeżyłem, dlatego tym bardziej mi przykro, że ci to zrobił.

– Zamykaliście się w tamtym pokoju? Nawzajem?

– Każde studium dokładnie dokumentowaliśmy, wszystko rejestrowały kamery, co godzinę komentowaliśmy nasz stan. Celem było dojście do granicy, chcieliśmy wiedzieć, jak tam jest. Nie w teorii, ale naprawdę. Nasz projekt miał wywołać wielkie poruszenie w świecie sztuki.

– Sztuki?

– Tak.

– Z własnej woli niemal się pozabijaliście?

– Nie to było celem.

– Więc co?

– Chcieliśmy pokazać, że śmierć jest częścią życia, że wszystko jest częścią wielkiej całości, od której nie można uciec. Chcieliśmy wykazać, że śmierć nie jest punktowym wydarzeniem, tylko integralnym, stałym elementem życia, procesem. Życie jako przedsiomek śmierci, rozumiesz?

– Nie.

– Chciałem to świadomie poczuć, chciałem wiedzieć, co człowiek czuje, kiedy umiera.

– I co? Co się wtedy czuje? Fajne wrażenie? Na pewno mieliście mnóstwo frajdy, przeprowadzając ten zabawny eksperyment.

– To było straszne, Blum. Umierać z pragnienia i wiedzieć, że nikt nie przyjdzie. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy czujesz, że zaraz wyzioniesz ducha. Podpisaliśmy z Kuhnem umowę. Mogliśmy otworzyć pokój dopiero wtedy, gdy ten drugi tracił przytomność.

– Chcę wyjść.

– To było piekło, Blum. Dlatego wiem, że teraz powinnaś leżeć i odpoczywać. Jutro o wszystkim porozmawiamy, wszystko ci pokażę, udowodnię ci, że to był Alfred, nie ja. Zawiozę cię, dokąd tylko zechcesz. Nie będę cię zatrzymywał. Obiecuję.

– Jesteś chory.
– Nasza praca została opublikowana na całym świecie, eksperyment okazał się wielkim sukcesem, zaproponowano mi nawet asystenturę.

– Wystarczy, Ingmarze.
– Po wszystkim zamknęliśmy pokój, od lat tam nie zachodziłem. Alfred chciał mieć pewność, że tam zostaniesz na zawsze.

– Przestań wreszcie kłamać.
– Uważasz, że kłamię? W takim razie co chcesz ode mnie usłyszeć?

– Prawdę.
– Mogę powtarzać w nieskończoność, że strasznie mi przykro. Powinienem był wcześniej wpaść na to, że właśnie tam cię zamknął. Nie musiałybyś tyle wycierpieć. Ale to jedyne, co mam sobie do zarzucenia. Zrobiłem wszystko, by cię odnaleźć. Wszystko.

– Muszę zadzwonić.
– Teraz?
– Tak, teraz. Gdzie jest mój telefon?
– Nie mam pojęcia.
– Miałam go w torbie. Gdzie moja torba? Była w samochodzie, rzuciłam ją na tylne siedzenie. Gdzie ona jest? Daj mi telefon, muszę zadzwonić do Karla.

– Samochód był pusty. Mówiłem ci, znalazłem go w lesie, stał na poboczu drogi, drzwi były otwarte, kluczyk tkwił w stacyjce. Tak strasznie się o ciebie bałem.

– Nie chcę tego dłużej słuchać. Chcę odzyskać telefon, Ingmarze. Chcę wiedzieć, co z dziewczynkami, od kilku dni nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje.

– Znajdę go.
– Chcę z nimi porozmawiać, natychmiast. Oddaj mi ten cholerny telefon. Natychmiast!

Blum krzyczy na niego. Siada na łóżku i wrzeszczy. Jest w szale, kompletnie nad sobą nie panuje. Bo wszystko wróciło. Wszystko, co tak skutecznie wypierała z umysłu, odkąd wróciła do życia. Że jest matką, że zostawiła dzieci samym sobie, że zniszczyła wszystko, co było ważne

w jej życiu. Chce usłyszeć ich głosy, chce im powiedzieć, że to nieprawda, co piszą w gazetach, że to zwyczajne kłamstwo, żeby nie słuchały tego, co mówią o niej inne dzieci. *Muszę zadzwonić do Karla, krzyczy. Oddaj mi mój telefon! Powiedz mi, gdzie on jest, ty pieprzony psychopato!* Blum wrzeszczy na niego, wstaje z łóżka. Prawie upada. Wściekle odpycha go od siebie. Musi znaleźć ten telefon, musi wstać i on jej w tym nie przeszkodzi.

– Zejdź mi z drogi.

– Naprawdę nie wiem, co Alfred zrobił z twoją torbą. Zostań tu, Blum.

– Do cholery, muszę wiedzieć, co się dzieje.

– Do tego nie potrzebujesz telefonu, o wszystkim piszą w gazetach, mówią w wiadomościach. Wszyscy dosłownie prześcigają się w sensacyjnych doniesieniach, jesteś idealnym materiałem na sezon ogórkowy.

– Co się stało?

– Szuka cię cały świat. Twoje zdjęcie jest w każdej gazecie, ekipy telewizyjne otoczyły waszą willę.

– Nie.

– Niestety, Blum. Nie masz dokąd pójść. A już na pewno nie możesz wrócić do domu.

– Włącz telewizor.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Włącz go.

Ingmar robi, co mu kazała. A Blum siada z powrotem na łóżku. Kręci jej się w głowie, prawie osuwa się na podłogę. Świadomość, że tłum reporterów czatuje pod jej domem, wyprowadza ją z równowagi, wyobraża sobie najgorsze. Tymczasem Ingmar włącza telewizor. Nie musi długo szukać, na trzech kanałach można zobaczyć relację z trwającego polowania na czarownicę. Wywiady z sąsiadami, informacje, fotografie, za które redakcje płacą bająnskie sumy. Wykorzystują każdy drobiazg, gończe psy rzucają się na jej życie. Na życie Rezy, Karla i dziewczynek. Na ekranie migają obrazki z piekła. Widać jej dom. Wszystko jest na swoim miejscu. Ulica, dom, ogród. Życie, które kiedyś było jej życiem.

I znów mija noc, i znów nastaje ranek. Blum wciąż jest w hotelu, wciąż nie udało jej się stąd uciec. Stawia stopy na podłodze i robi pierwsze kilka kroków. Nie chce dłużej czekać, ignoruje rady Ingmara, nie chce dłużej odpoczywać, chce stąd po prostu wyjść. Z tego pokoju, z tego domu, jak najdalej. Choć kosztuje ją to mnóstwo sił, może chodzić. Powoli, ale jednak, dlatego wstanie, przeciwstawi mu się, jeśli spróbuje ją zatrzymać, znajdzie jakąś broń, obezwładni go. Tym razem nie długopisem, tym razem nożem, czymś, co go na zawsze powali na ziemię, zamknie mu usta. *Nie powstrzymasz mnie*, mówi Blum. *Nie*, odpowiada Ingmar.

Ingmar. Jest taki jak wtedy, gdy go poznała. Dzień po urodzinach Alfreda, podczas śniadania w domu dla personelu. Jest uprzejmy, robi wszystko, by się jej przypodobać. Całą noc przesiedział przy jej łóżku, przyniósł śniadanie, spełnił jej każde życzenie. Na pozór nie ma powodu, by się go bać, by uznać go za jakiegoś potwora. Ingmar nie powstrzymuje jej, nie chce przekonać do pozostania. *Mówiłem ci, możesz iść, dokąd tylko zechcesz*. Grzecznie prosi ją tylko, żeby na chwilę z nim poszła, chce jej pokazać dowód, coś, co ją przekona, że to nie on ją zamknął. Chce ją uspokoić, uprzejmie, ale nieustępliwie domaga się, by z nim poszła. *To zajmie chwilę*, mówi. *Chodź, proszę*. Powoli rusza przodem, Blum idzie za nim.

Zjeżdżają windą do mieszkania Alfreda, tam, gdzie Blum stała niespełna tydzień temu, a Alfred dotykał jej drżącą dłonią. Gdzie gładził ją po plecach i prosił, żeby została. Ingmar spokojnie pokazuje jej, co naprawdę się wydarzyło. Niemal beznamiętnie przekonuje ją, że jest niewinny. Że popełniła błąd, wbijając mu długopis w ucho. Krok po kroku wraca z Ingmarem do tamtej chwili. Znajduje wyjaśnienie tego, co się zdarzyło. Świat znów zaczyna wirować jej przed oczami, nic nie pozostaje na swoim miejscu.

Zaczyna rozumieć, gdy widzi Alfreda. W pokoju potwornie cuchnie. Blum czuje ten znajomy kłująco-rybny zapach. Otwór wylotowy po kuli jest ledwie widoczny. Nie ma zbyt wielkiego bałaganu, tylko trochę krwi, żadnych rozbryzgów mózgu na ścianie, tylko mała dziurka w głowie, ukryta pod sklejonymi krwią włosami.

Wszędzie muchy i larwy. Jaja w ustach i oczodołach, w ranie, wypełzają z nosa, pokrywają całą twarz. Mimo to sceneria nie jest tak potworna jak w przypadku tych samobójców, których Blum dotąd widziała. Niemal sielankowy obrazek, starszy mężczyzna siedzący w fotelu. W pierwszej chwili można by pomyśleć, że śpi. Tylko robactwo świadczy o tym, że jest inaczej. Że nie żyje. Blum ostrożnie obchodzi fotel dookoła, wszystko dokładnie ogląda. Wyobraża sobie, jak to się stało. Jak Alfred upija się dla kurażu. Jak zapisuje całą kartkę i w końcu naciska spust. Lufa pistoletu w jego ustach, palec na spuście, strzał. Śmierć Alfreda Kaltschmieda. Spokojna i cicha, w ukryciu.

List mógłby leżeć jeszcze przez tydzień na biurku Alfreda, gdyby Ingmar nie wyłamał gaśnicą drzwi. Bywało, że nie widywali się całymi dniami. Nie rozmawiali ze sobą. *Gdybym go nie znalazł, byłabyś teraz martwa. Kiedy go zobaczyłem, natychmiast wybiegłem, bałem się, że jest już za późno. Tak strasznie się ucieszyłem, że jeszcze się ruszasz. Chociaż bolało jak diabli.* Uśmiecha się do niej, dotyka swojego ucha. Ingmar. Stoi w drzwiach, nie podchodzi. Blum widzi, że mdli go od smrodu. Ingmar wyrzuca z siebie zdanie po zdaniu, podczas gdy ona ogląda ciało. *Cholerny drań, słyszy za swoimi plecami. Jak mógł ci to zrobić.*

Blum gromadzi informacje, układa je w całość. Na podstawie tego, co widzi, może stwierdzić, że Alfred nie żyje co najmniej od trzech dni, stężenie pośmiertne już ustąpiło, bez trudu może podnieść jego rękę. Trzy dni, co najmniej. Alfred w swoim chesterfieldzkim fotelu, tuż obok. Jego twarz, otwarte usta, butelka whisky na stoliku i list. Napisany przez zgorzkniałego starca tuż przed śmiercią. Wszystko można wyczytać z tej leżącej na biurku kartki. Klasyczne wyznanie winy, ostatnia wiadomość dla Ingmara, krótka i zwięzła, spowiedź. *Przykro mi z powodu Gertrud, ale to było konieczne, bo chciała wszystko zniszczyć. I z powodu Björk. Nie powinienem był tego robić. Tak bardzo chciałbym być dla Was lepszym ojcem. Proszę, wybacz mi. Blum znajdziesz w pokoju 407.*

Czyta te słowa kilka razy. Jedno zdanie na małym skrawku papieru, rzucone mimochodem. *Blum znajdziesz w pokoju 407.* Zdanie, które wszystko zmienia. To, co dotąd było czarne, teraz znów staje się białe. Kiedy kilka minut temu weszła do tego pokoju, chciała sięgnąć po broń i wycelować ją w Ingmara. Zmusić go, żeby pozwolił jej odejść,

była gotowa go zabić. Ale teraz rozumie. Wszystko, co widzi w tym pokoju, potwierdza jego słowa. To nie Ingmar ją skrzywdził, myliła się. Nie chciała w to wierzyć, a jednak to prawda. To Alfred przekręcił klucz. Nie Ingmar.

Niczego nie dotykałem. Wszystko jest tak, jak było, gdy go znalazłem. Broń, krzesło, Alfred. Nie dotykałem go. Nie wziąłem do ręki nawet tego brudnego świstka. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym szaleńcem. Ingmar próbuje się uśmiechnąć, lecz jego oczy pozostają smutne. Spadkobierca wielkiego majątku został opuszczony przez wszystkich. Solveig, Björk, Alfred, Gertrud, wszyscy nie żyją, wszyscy zniknęli, został tylko on. Mały chłopiec w ogromnym domu, chłopiec, który znalazł w lobby martwą siostrę, chłopiec, który został niemal zmiażdżony przez własną matkę. Chłopiec, który odkrył, że jego ojciec był inny, niż sądził. Chciał porozmawiać z Alfredem, spytać, dlaczego porsche stało w lesie, kto siedział za kierownicą. Czy nie wie przypadkiem, gdzie jest Blum. Przeczucie mówiło mu, że Alfred wie coś więcej. *Chciałem, żeby się wytłumaczył. Chciałem go spytać o Gertrud. Ona nigdy nie zapomniaby zaciągnąć hamulca, mogłaby jeździć tym traktorem z zamkniętymi oczami. Wiedziałem, że Alfred maczał w tym palce. I chciałem to z niego wycisnąć. Ale przyszedłem za późno.*

Musi być wściekły na ojca. I zawiedziony. A zarazem wydaje się przeszczęśliwy, że Blum jest tutaj, że zaczyna mu wierzyć. Zastanawia się głośno, w jaki sposób Alfred mógł to zrobić. Zabić Gertrud. *Może po prostu zwolnił hamulec, gdy stała tyłem do traktora, rozmawiając z nią, przesunął dźwignię. W idealnym momencie. A kiedy się schyliła, traktor ją zmiażdżył. Dziecinnie proste.*

Gertrud. Nie mogła już nic nikomu powiedzieć, zadawać pytań, zrobić niczego, co zagroziłoby Blum. Taki musiał być jego motyw. Ingmar nie ma co do tego wątpliwości. Alfred wiedział, że Gertrud nie będzie milczeć, że zadzwoni na policję, jak tylko zobaczy w mediach zdjęcie Blum. Kiedy dowie się, że kobieta, która wślizgnęła się do Solveig, jest morderczynią. *Gertrud nigdy by tego nie zaakceptowała, mówi. Zrobiłaby wszystko, żeby uchronić Alfreda przed wplątaniem się w tę sprawę. Zawsze pragnęła dla niego tylko dobra, dbała o niego. O niego, o Björk i o mnie. Zrobiłaby dla nas wszystko. Była jak pies*

stróżujący. Anioł z ostrymi zębami. Pewnie nie chciał, żeby cię pokąsała.

Ingmar trafia w samo sedno. Odpowiada na wszystkie jej niewypowiedziane pytania. Co się stało? Dlaczego? Alfred chciał, żeby Blum została. Na zawsze. W hotelu Solveig, ukryta przed światem. Blum wciąż słyszy słowa, które wypowiedział, kiedy stali przy oknie. *Możesz tu zostać, wspólnie zastanowimy się, jak z tego wybrnąć. Znajdziemy sposób, żebyś znów zobaczyła swoje dzieci.* Przekonywał ją. Próbował stworzyć dla niej nowy świat. *Straciliśmy Björk i nie chcemy stracić również ciebie. Nie teraz. Dopiero co się poznaliśmy, mamy sobie jeszcze tyle do opowiedzenia. Musisz zostać, Blum. Proszę.* Blum słyszy go, chociaż on siedzi przed nią martwy. Jej oczy omiatają pokój, wędrują po przedmiotach, które do niego należały, po książkach, segregatorach, starym rowerze treningowym, wytartej sofie, biurku i broni w jego dłoni. Wszystko się zgadza. Zły odszedł.

- Przepraszam, Ingmarze.
- Nie ma sprawy.
- Myślałam, że to byłeś ty.
- Daj spokój, już w porządku.
- Co z twoim uchem?
- Nie najgorzej.
- Napisał, że przykro mu z powodu Björk. Co miał na myśli?
- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zawsze byli sobie bardzo

bliscy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Björk nie mogła tu dłużej wytrzymać. Dlatego wyjechała do

Afryki.

- Co to znaczy, że byli sobie bliscy?
- Zbyt bliscy.
- To znaczy?
- Daj spokój. Alfred nie żyje. Björk też. Reszta nie ma znaczenia.
- Możesz mi o tym powiedzieć.
- Nie, Blum. Już po wszystkim.
- Naprawdę?
- Tak.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego chciał, żebym umarła. Skoro

byłam dla niego taka ważna... Dlaczego?

– Może chciał cię zakonserwować, na zawsze. Tak jak Björk. Może chciał cię posadzić na grzbiecie zebry.

– O czym ty mówisz?

– To on chciał, żeby Leo ją spreparował.

– Dlaczego?

– Nie chciał, żeby na zawsze zniknęła. Tak jak ty.

– Wystarczy. Mam dość, muszę stąd wyjść, inaczej nie ręcę za siebie.

– Jeśli chcesz, odwiozę cię na dół.

– A co z nim?

– Nic.

– Co się teraz z nim stanie?

– Nic. Zamkniemy za sobą drzwi, zadzwonię do zakładu pogrzebowego, ktoś go zabierze i pochowa.

– Nie możemy jeszcze iść, Ingmarze.

– Dlaczego?

– Muszę odzyskać telefon.

Im szybciej opuści ten dom, tym lepiej. Zaczyna szukać. Ostrożnie. Nie może zostawić żadnych śladów, chce tylko odzyskać swoją torbę, telefon. Musi gdzieś tutaj być, musiał ją gdzieś tu ukryć, pod ręką, żeby nikt jej nie znalazł. Żeby nikt nie odkrył jego tajemnicy. Blum znajdzie ją, musi, chce wreszcie porozmawiać z Karlem, powiedzieć mu, że u niej wszystko w porządku, żeby się o nią nie martwił. Chce porozmawiać o reporterach koczujących przed domem, o tym, co widziała w telewizorze, o kłamstwach, które rozgłaszają na cały świat. Blum chce wreszcie porozmawiać z Umą, z Nelą. Otwiera każdą szufladę, każdą skrzynkę, zagląda za każde drzwi. Będzie szukać tak długo, aż znajdzie ten cholerny telefon.

Szuka niezmordowanie, wyciąga książki z półek, podnosi poduszki, wściekle przekopuje mieszkanie martwego starca, na chwilę zanurza się w świat Alfreda. Wszędzie panuje bałagan, łazienka aż lepi się od brudu. Ingmar mówi, że nikt nie wchodził do tego mieszkania, nawet Gertrud. To było królestwo Alfreda, nikogo tu nie wpuszczał. Na regale filmy pornograficzne, jakieś stare dzienniki, na podłodze

śmierzące skarpety. Sto miejsc, w których mógł schować telefon. Blum szuka go już od pół godziny. Ingmar jej pomaga. Zatyka nos, z trudem powstrzymuje odruch wymiotny. *Nie martw się, Blum, znajdziemy go.* Znow jest jedynym człowiekiem, który chce jej pomóc, na którym może polegać. Dopóki nie znajdzie telefonu, nie ma nikogo innego. Żadnego kontaktu ze światem. Jest tylko Ingmar. I ona. Ingmar i Blum.

Blum szarpie, ciągnie, chce wysunąć tę przeklętą szufladę. To ostatnie miejsce, w którym jeszcze nie szukała. Musi odsunąć na bok ciężkie ciało Alfreda. Musi, lecz nie jest w stanie. Samo krzesło waży sto kilo. A Ingmar nie chce jej pomóc. Mówi, że nie może, że nie chce go dotykać, nie chce się nawet do niego zbliżyć. Choćby nie wiem jak go prosiła, nic nie robi, stoi tylko i patrzy, jak Blum szarpie zwłoki. Jest zdeterminowana, jedyne, na czym jej zależy, to odzyskać telefon. Ingmar jej nie powstrzymuje, obojętnie patrzy, jak ciężkie ciało upada na podłogę. Blum chwyciła martwego starca za obie ręce i ściągnęła z fotela. To tylko zwłoki, widuje takie codziennie. Podnosi je, przesuwa. Jeszcze jedno przeklęte martwe ciało w jej życiu, martwa kupa gówna. Alfred Kaltschmied. Chciał ją zabić, zamknął ją, zostawił na śmierć, chciał, żeby umarła z pragnienia. Blum pomaga sobie stopą i odsuwa go w końcu na bok. Jak wór kartofli. Potem krzesło. Wreszcie otwiera szufladę.

Musi ją wyłamać, bo Alfred zamknął ją na klucz, a Blum nigdzie nie może go znaleźć. Ani w kieszeni jego marynarki, ani w spodniach. Tylko kilka monet stacza się na podłogę. Żadnych kluczy. Dlatego bierze lampę i roztrzaskuje ją o podłogę. Rozlega się brzęk, Blum rzuca lampą drugi raz, trzeci, aż w jej rękach zostaje kawałek jasnego metalu, którym wyłamuje szufladę. Szybko i beznamiętnie, jakby przez całe życie nie robiła niczego innego. Po chwili szuflada jest otwarta. Sięga do środka i chwyta to, czego szukała. Alfred faktycznie schował telefon. Torbę wyrzucił, ale telefon ukrył. Blum nie ma pojęcia, po co to zrobił, pewnie chciał trzymać rękę na pulsie, zobaczyć, czy ktoś do niej dzwoni. Blum nie zastanawia się nad tym, naciska zielony klawisz, chce wreszcie usłyszeć głos Karla.

– Na litość boską, Blum, co się stało? Dlaczego się nie odzywałaś? Dzwoniłem tysiąc razy. Dlaczego nie odbierałaś?

- Cieszę się, że cię słyszę, Karl.
- Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?
- Nie, Karl, nic nie jest w porządku.
- Co z tobą?
- Żyję.

– Nie rozumiem.
– Wciąż tu jestem, Karl. Żyję.
– Dobrze się czujesz?
– Nie.
– Jesteś u Ingmara, prawda?
– Jestem w drodze do domu.
– Oszalałaś?
– Bynajmniej.
– Masz zostać tam, gdzie jesteś. Nie ruszaj się nawet na krok, zrozumiałaś?
– Zaraz wsiadam do samochodu i wracam do domu.
– Ty już nie masz domu, Blum.
– Muszę zobaczyć dziewczynki.
– To niemożliwe.
– Muszę.
– Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Jeśli wrócisz, wszystko do reszty zniszczysz, rozumiesz? Nie mogę dłużej chronić dziewczynek. Wszystko się wali.
– Chcę z nimi porozmawiać. Przytulić je, być przy nich. Jestem ich matką, zaopiekuję się nimi.
– Pod żadnym pozorem nie wracaj do domu.
– Mów, co chcesz, jutro je zabieram. Proszę, zapakuj im najpotrzebniejsze rzeczy.
– Powoli, Blum.
– Potrzebuję też pieniędzy. Dużo pieniędzy.
– Nie.
– Dom jest mój. Potrzebuję gotówki, tyle, ile zdołasz zdobyć, cała reszta należy teraz do ciebie.
– Oni cię szukają.
– Wiem.
– Rodzina aktora zaoferowała nagrodę. Sto tysięcy euro dla tego, kto pomoże cię schwytać. W tej chwili ściga cię już nie tylko policja, węszy za tobą cała armia prywatnych detektywów. Naprzykrajają się dziewczynkom, mnie, sąsiadom, chcą zdobyć nagrodę. Rozumiesz, Blum? Rodzina chce schwytać zabójcę.

– Ale ja chcę zobaczyć dziewczynki.
– To nie zabawa, Blum. Jeśli przyjedziesz, będzie po wszystkim. Skończysz jak Reza. Chcesz spędzić resztę życia za kratami? Chcesz, żeby dziewczynki odwiedzały cię w więzieniu? Odpowiedz, chcesz tego?

– Jestem ich matką. One mnie potrzebują.
– Wiem o tym, Blum. Ale to niemożliwe, nie możesz tu tak po prostu przyjechać, zabrać dzieci i spokojnie odjechać.
– Właśnie że mogę.
– Nie możesz im tego zrobić.
– Przecież ich nie skrzywdzę.
– Posłuchaj, Blum. Najpierw wysyłasz po nie tego szalonego starca, a teraz chcesz się tu sama zjawić i wyrwać je z domu?
– Co takiego?
– Trzymaj się z dala od domu.
– Jakiego starca?
– Powiedziałaś mu, że ma zabrać dziewczynki.
– Nikogo do ciebie nie wysyłałam.
– Był uparty jak osioł, musiałem zagrozić, że wezwę policję, dopiero wtedy zrezygnował.
– O kim ty mówisz, Karl? Kto to był?
– Twierdził, że jest ojcem Ingmara.
– Kiedy to było?
– Pięć dni temu. Powiedział, że to ty go przysłałaś, że zgubiłaś telefon i że ma nie wracać bez dzieci.
– Bzdura.
– Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie odebrałaś. Chciałem się upewnić, czy mówi prawdę. Nie dał się spławić, czekał na nas pod przedszkolem. Był bardzo miły, ale wiedziałem, że coś tu nie gra.
– Pieprzony sukinsyn.
– O niczym nie wiedziałaś?
– Nie.
– Co się dzieje, Blum?
– Chciał mnie zabić.
– Ojciec Ingmara?

- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, chcę ci pomóc, Blum. Chcę, żebyś mi powiedziała, co ci zrobił. Skrzywdził cię?
- On nie żyje.
- Słucham?
- Leży przede mną na podłodze. Strzelił sobie w głowę.
- Zabił się?
- Tak, Karl. A teraz, proszę, spakuj torbę dla dziewczynek.
- Daj spokój, Blum.
- Zadzwoń do ciebie.
- Proszę, nie pogarszaj sprawy.
- Gorzej już być nie może.
- Proszę, zostań tam, gdzie jesteś.
- Nie.

Blum naciska klawisz. Nie chce go przekonywać, niczego wyjaśniać, usprawiedliwiać się. Nie ma czasu do stracenia. Kiedy skończy z Alfredem, odjedzie stąd. Pojechał do Innsbrucku, chciał zabrać jej dzieci, zamknął ją w pokoju, chciał skrzywdzić Umę i Nełę. Omal nie umarła. Ona i jej dzieci. Dlatego ukarze go, wyładuje na nim swój gniew. Nieważne, że jest martwy. Zaczyna go bić. Rozpaczliwie, bliska łez, z całej siły. Kopie go w brzuch, raz, drugi, trzeci, po prostu kopie. Raz za razem, na oczach jego syna. Ingmar stoi nieporuszony i patrzy, omdlały, z otwartymi ustami. Patrzy na to, co Blum robi jego ojcu. Bo boli ją cała dusza. Ingmar pozwala jej na to, milczy, nie powstrzymuje jej, nie krzyczy. Nie wypowiada ani słowa, dopóki Blum nie skończy, dopóki głowa Alfreda nie osunie się na bok. Milcząco wyraził swą aprobatę. Blum czuła, że robi to również w jego imieniu. Bez łez, bez współczucia. Wymierza karę.

Martwe ciało. Zwykle, nadpsute zwłoki. Alfred. Nienawidzi go za każdą minutę, którą musiała spędzić w tym pokoju. Za to, co zrobiła z jego ciałem. Do czego okazała się zdolna. Bo na to zasłużył. Mimo to Blum odwraca się, chce wreszcie stąd wyjść, byle dalej od niego, od tego biurka, chce wyjść z gabinetu, z hotelu, zjechać ze wzgórza na

autostradę. Szybko. Jeszcze ostatni kopniak. Za to, że przez niego omal nie została morderczynią, że mało brakowało, a zabiłaby Ingmara. Gdyby trafiła długopisem w tętnicę szyjną, wzięłaby na siebie kolejną winę, musiałaby z nią żyć. Jeszcze jeden kopniak w żołądek Alfreda. Potem wreszcie się od niego odwraca. Chce w końcu znów samodzielnie zdecydować. Idzie w kierunku drzwi. Chce wyjść. Lecz Ingmar ją powstrzymuje.

Czule bierze ją za rękę i prosi, by jeszcze chwilę zaczekała. *Tylko momencik*, mówi. Bo musi jeszcze coś zrobić. Podchodzi do biurka, wyjmując z szuflady klucz, potem bierze Blum za rękę i prowadzi do sypialni Alfreda. Otwiera szafę z ubraniami, odsuwa na bok stary zimowy płaszcz, schyla się i wsuwa klucz w białe drzwi sejfu. Blum czeka. Patrzy. Zamek ustępuje. Ingmar wie, czego szuka. Znajduje to, wyjmując i wsuwa w dłoń Blum. *Przyda ci się. Myślę, że jest ci to winien*. Potem się uśmiecha. Do kobiety, która właśnie kopała jego martwego ojca, która zbezczeszczyła jego zwłoki. Sprawia wrażenie wolnego człowieka. Bo stary nie żyje. Bo Blum znowu mu ufa, bo stoi u jego boku i nie ucieka. Bo pochyla się i całuje go w czoło. *Dziękuję*, mówi. Potem odwraca się i wychodzi.

Ponad dwieście tysięcy euro. Gruby plik banknotów. Pięćsetki ściągnięte opaską. Blum nie oponowała, wzięła pieniądze, kiwnęła głową, dając do zrozumienia, że się z nim zgadza. Że Alfred powinien zapłacić za to, co jej zrobił. Potrzebuje pieniędzy, by zacząć nowe życie. Gdzieś pod jabłonią, z dziewczynkami na piknikowym kocu, gdzieś, gdzie nikt jej nie zna, gdzie nikt nie wie, co zrobiła. Tylko jabłka na drzewie i dziewczynki, które się na nie wspinają. Śmieją się. Bez troski.

Ingmar odprowadza ją do garażu. Pozwala jej wybrać auto. Otworzył bramę, odsłaniając ogromną kolekcję Alfreda. Oldtimery, wozy sportowe, motocykle. *Możesz wybrać, co tylko chcesz. Nawet nie zauważę, że czegoś brakuje.* Ingmar uśmiecha się i opowiada, że to była jedyna pasja jego ojca. Kolekcjonowanie pojazdów, którymi w ogóle nie jeździł. Kupował je tylko, ustawiał w garażu i od czasu do czasu oglądał, nic więcej. Alfred spełniał swoje marzenia, co roku kilka kolejnych egzemplarzy. Wydawał pieniądze na auta, bo nie wiedział, co z nimi robić. Bogactwo, nieszczęście, samotność. I szczypta szaleństwa, które kultywował, żyjąc latami w tym domu, bez Solveig, bez Björk. Blum chciałaby się dowiedzieć jeszcze tylu rzeczy, tyle chciałaby zrozumieć, pojąć, jak do tego wszystkiego doszło. Lecz postanawia inaczej. Koniec z grzebaniem się w przeszłości, musi stąd jak najszybciej wyjechać. Historia, która się tutaj zdarzyła, to nie jej sprawa. Nie ma z nią nic wspólnego. Nic a nic. Wsiądzie na zielone kawasaki i zniknie. Tylko tego pragnie. Nie będzie się oglądać za siebie.

Nowiutki ścigacz. Prawdopodobnie nikt na nim nigdy nie jeździł, Alfred kupił go pewnie po to, by poczuć się młodo. Kiedyś, dawno temu. Ale to już nieważne, nie powinna o tym myśleć, stawiać pytań, tylko wsiąść na motocykl, raz jeszcze uścisnąć Ingmara i dodać gazu. A jednak się waha. Za długo trwa ten ostatni uścisk, jej ręce spoczywają na jego plecach zbyt delikatnie. Jest jej zbyt bliski. A ona jemu. Ingmar i Blum. W garażu hotelu Solveig. Dwie skołatane dusze, pożegnanie, które przepełnia smutkiem. Blum nie rozumie tego, nie potrafi wyjaśnić, dlaczego nie jest w stanie się od niego odwrócić, porzucić jedyne go sojusznika. *On ci pomógł, Blum,* szepcze głos w jej głowie. *Zrobiłby dla ciebie wszystko. Spytaj go. Nie powie „nie”, zostanie z tobą. Przez*

chwilę jeszcze się waha, potem to mówi, szeptem. Wciąż wtulona w jego ramiona, nie patrząc na niego. Przepęlnia ją tylko pragnienie bliskości i bezpieczeństwa, strach, który wciąż ją dręczy, i cicha wątpliwość, zduszona w zarodku. Blum i Ingmar, tak sobie bliscy. Za chwilę wspólnie wyjadą z Solveig.

– Gdybym cię zapytała, czy ze mną pojedziesz...

– Powiedziałbym „tak”.

– Wiesz, że nie musisz tego robić.

– Wiem.

– Muszę pojechać po dziewczynki.

– Dlatego nie powiem „nie”.

– To wszystko może się źle skończyć.

– To bez znaczenia.

– Jeśli ze mną pojedziesz, możesz mieć duże nieprzyjemności. Do tej pory nikt nie wie, że mi pomagasz. Może tak powinno zostać.

– Obiecałem, że ci pomogę.

– Już dość mi pomogłeś.

– Chcę być przy tobie, Blum.

– Jeśli mnie złapią, zamkną również ciebie.

– Nie złapią nas.

– Nie?

– Nie.

– A co z dziewczynkami?

– Wkrótce znów je zobaczysz.

– A potem?

– Będziecie dalej żyć. Po prostu, zaczniesz wszystko od nowa. Od początku.

– Wierzysz w to?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo jesteś wszystkim, co mi zostało. I nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Tym razem nie pozwolę cię zamknąć.

– Dziękuję, Ingmarze.

– To ja dziękuję tobie, Blum.

– Za co?

– Że mnie przytuliłaś.

– Przepraszam, Ingmarze.

– Nie ma za co.

– Myślałam, że chcesz mnie zabić. Naprawdę tak sądziłam. Byłam pewna, że to ty.

– Zapomnijmy o tym. Wsiądziemy teraz do jednego z tych aut i wyjedziemy. Wszystko będzie dobrze, Blum.

– Nie jedźmy jeszcze.

– Dlaczego?

– Chcę, żebyś mnie jeszcze przytulił.

Chce tylko stać i milczeć. O niczym nie decydować. Czuć jedynie tę kojącą bliskość, jeszcze przez chwilę. Zanim znów wsiądzie na swojego rumaka i ruszy w bój. Jest tylko jego szyja, jego skóra, jego zapach w jej nozdrzach, jego głos w jej uszach. Uspokaja ją. Tak jak Mark. Choćby było nie wiem jak ciężko, jak beznadziejnie, jego głos zawsze ją koił. Trzy słowa, które zawsze przywracały w niej wiarę, że jutro też będzie dzień. Tak jak teraz. *Wszystko będzie dobrze*. Znów w niej kiełkuje nadzieja. Tam, gdzie była nienawiść, rozlewa się ciepło. Stoi tak blisko niego, wtula się w jego pierś. Jak dziecko, które szuka schronienia w ramionach matki. Spadkobierca tego hotelu jest gotów postawić dla niej wszystko na jedną kartę, ze wszystkiego dla niej zrezygnować, z hotelu, ze wszystkiego, co mógłby odziedziczyć jako ostatni z rodu. Oprócz niego nie ma nikogo, jego rodzina już nie istnieje. Solveig, Björk, Alfred, wszyscy nie żyją, został już tylko on. Jedyne spadkobierca, milioner, który nic nie ma. Ani miłości, ani bliskości, nikogo, kto by był przy nim. Są do siebie tak bardzo podobni. Dwie samotne dusze. Ingmar i Blum.

Powoli uwalniają się ze swoich objęć i robią kolejny krok. Mijają motocykl i idą do wielkiego nowoczesnego białego kampera. *Pojedziemy tym*, mówi Ingmar i wciąga ją do środka wielkiego wozu. Raj na kółkach, jest w nim wszystko czego dusza zapagnie. Czysty luksus. Jeszcze jedna zabawka z kolekcji Alfreda. Monstrualny pojazd, niemal ciężarówka, salon połączony z nowoczesną kuchnią, podwójne łóżce, łóżka dla dzieci, idealna kryjówka dla ściganej morderczyni i jej córeczek. Blum wprowadza się do nowego domu. Ingmar siada za

kierownicą i rusza. Opuszczają to miejsce. Hotel Solveig znika za ich plecami.

O czym marzy, wyglądając przez okno? Zbliżając się do nich? O czym myśli, ukryta w tym domu na kółkach? Czekając, aż Ingmar zatankuje i wyjedzie z powrotem na autostradę? Co czuje, leżąc w tym łóżku, naciągając koc na głowę, żeby nikt nie zobaczył jej twarzy? Twarzy zabójczyni, bestii, którą ścigają, którą chcą schwytać i zamknąć w klatce jak dzikie zwierzę. Gdyby się pokazała, gdyby wyszła na parking, wystarczyłoby kilka minut, żeby ktoś ją rozpoznał i zadzwonił na policję, żeby patrol rzucił ją na ziemię, obezwładnił. Ludzie pluliby na nią, patrzyli z pogardą, zmieszali z błotem. Okropnie się czuje pod tym kocem. Kiedy myśli, jak by się to mogło skończyć, czuje się zupełnie bezradna, bezsilna. Nic nie może zrobić, nie może usiąść za kierownicą kampera i odjechać, nie wolno jej ryzykować, że natrafi na policyjną kontrolę, że coś ją powstrzyma, że już nigdy ich nie zobaczy. Umy i Neli. Blum robi wszystko jak należy, będzie się zachowywać cicho, nie będzie się pokazywać, zaczeka na powrót Ingmara. Aż ruszą dalej. Autostradą, wśród gór.

Siedzi obok, patrzy na niego. Na mężczyznę, którego prawie zabiła. Cieszy się, że jest przy niej, nie chce już myśleć o tym, co by było, gdyby go trafiła w tętnicę. Jego słowa koją, gdy Blum znów popada w zwątpienie, jego głos dodaje jej otuchy, gdy przystawia plastikową butelkę do ust i chciwie pije. Tak jakby to był jej ostatni łyk. Myśli o śmierci, której cudem uniknęła, o ostatecznym upadku. Dosłownie opycha się chlebem. Bo cieszy się, że wciąż żyje. Że może jeść, pić, oddychać, rozmawiać z nim. Nieważne, że jej szukają, nieważne, że otacza ją mrok. Żyje. Jej ciało może się znowu poruszać, jej ręce, nogi. Może porwać Umę i Nelę w ramiona. Powiedzieć im, że je kocha. Że zostanie z nimi. Na zawsze. Że już nigdy ich nie zostawi. Nigdy.

Czuje już przedsmak szczęścia, gdy Ingmar zjeżdża z autostrady, jedzie ulicami, zbliża się do jej domu. Innsbruck, willa, koszmarne dzieciństwo, młodość, jedno pasmo cierpienia. Przez całe życie. Bez przerwy. Do dnia, kiedy Hagen i Herta umarli, po prostu się utopili, w morzu. Tragiczny wypadek, który dla Blum był wybawieniem. Wtedy zaczęło się szczęście. W dniu, gdy zniknęli w morzu, gdy Mark wszedł

na pokład jej jachtu i wziął ją w ramiona. Mark. Jej mąż, jej miłość. Pierwszy dzień nowego życia.

Osiem lat szczęścia. Za mało na całe życie. O wiele za mało. Przypomina sobie każdą chwilę. Widzi starą ławkę, na której tak często siadywali z Markiem. Z kieliszkiem wina w dłoni, w promieniach zachodzącego słońca. Dziewczynki bawiły się w piaskownicy, było cudownie. Tyle dni, w końcu szczęście stało się czymś naturalnym, jej dłoń w jego dłoni, jego usta, życie we dwoje. Miłość w ogrodzie, miłość na tej ławce, która wciąż stoi na swoim miejscu i czeka, aż znowu na niej usiądą, by pławić się w szczęściu. Mark i Blum.

Cudowne wspomnienia, które rozdzierają jej serce. Tutaj się wszystko zaczęło, tutaj urodziły się jej dzieci, tutaj się zakochała. Raz po raz wraca myślami do tych cudownych chwil, wspomnienia przesywają jej duszę. Patrzy przez okno na ogród, na dom, ukryta za zasłonką, schowana w kamperze, pośród gapiów i reporterów. W jaskini lwa. Dokoła policjanci pilnujący porządku, policyjne taśmy, dziennikarze, kamery, mikrobusy, wozy transmisyjne. Ich kamper niczym się nie wyróżnia, jest jednym z wielu podobnych aut. Jeszcze jedna ekipa koczująca przed domem, żadna nowin na temat Blum.

Ingmar tak długo jeździł w kółko, aż w końcu znalazł wolne miejsce w pobliżu domu. Zaparkował spokojnie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Wysiadł, rozejrzał się, zamienił kilka słów z dziennikarzami, perfekcyjnie grał swoją rolę. Reporter z długopisem i notatnikiem, sympatyczny kolega po fachu, który dopiero teraz natrafił na tę nieprawdopodobną historię, jeszcze jeden sęp krążący w powietrzu z nadzieją, że może niedługo coś się wydarzy. Że teść zabójcy wyjdzie z domu, że wypuści dziewczynki do ogrodu. Że policja znajdzie na jednym z miejskich cmentarzy dowód na jeszcze jedno zabójstwo, jeszcze jedno poćwiartowane ciało w cudzym grobie, jeszcze jedną ofiarę tej psychopatki, coś, o czym będą mogli mówić do swoich mikrofonów, pokazując jakieś obrazy, brud, syf.

To, co widzi, jest dla niej prawdziwą torturą. To, co się tu dzieje, o czym opowiada jej Ingmar, który z powrotem wsiadł do kampera. Że zabarykadowali się w domu, że od dwóch dni nikt ich nie widział, że policja przywozi Karlowi zakupy. Stan wyjątkowy, oblężenie, świat chce

wiedzieć, chce zobaczyć miejsce, w którym Brünhilde Blum poćwiartowała aktora. Chcą drążyć temat, poznać szczegóły, jaka szkoda, że nie mogli tego zobaczyć na własne oczy, zajrzeć jej przez ramię, sfilmować, jak go kroїła. Krwawe obrazy. Sala przygotowań, zbliżenie na narzędzia, których użyła do ćwiartowania, chłodnia, trumny. Historia jest tak nieprawdopodobna, kryje się w niej tyle zagadek, że przez długie tygodnie będzie zapełniać łamy gazet, śledczy będą odnajdywać kolejne ciała. Już niedługo, bo już zaczynają kopać, zaczęli otwierać groby, w których w tamtym okresie Blum grzebała umarłych. Karl miał rację, policjanci czują, że za tą sprawą kryje się coś więcej. Bo nie znają motywu, bo Blum nie znała Benjaminu Ludwiga, bo to zabójstwo nie ma żadnego sensu. Chyba że chciała po prostu zabić. Ot tak, kogokolwiek, bez motywu, obcego człowieka, z którym kompletnie nic jej nie łączyło. Podejrzewają, że mogło być więcej ofiar. Dlatego zamknęli cmentarze, dlatego kopią. I będą kopać, dopóki nie znajdą kucharza. I fotografa.

To tylko kwestia czasu. Wkrótce będą pisać o kolejnej ofierze. Dziewczynki wyjdą z domu, a oni rzucą się na nie, zasypią pytaniami, przestraszą. To tylko kwestia czasu. W końcu zobaczą Blum za szybą kampera, rozpoznają jej twarz. Już wkrótce. Dlatego musi działać, nie ma czasu do stracenia, musi się dostać do domu. Zaczeka, aż się ściemni, zaparkują w bocznej uliczce, potem przecisną się przez dziurę w płocie. Jest tam od trzydziestu lat, Blum już w dzieciństwie przechodziła tamtędy, kiedy Hagen szukał jej, by ją ukarać. Wtedy to była tajemna droga ucieczki, dziś to jedyna możliwość, by się dostać do domu. Z powrotem. Przejdzie przez ciemny ogród, stłucze szybę w piwnicznym okienku, pójdzie schodami na górę. Policja kontroluje jedynie bramę, nikt nie pilnuje ogrodu. Taką ma przynajmniej nadzieję. O to się modli, wysiadając z kampera i szukając przejścia przez gęsty żywopłot.

Gałęzie drapią jej skórę, przeciska się przez dziurę w płocie. Nie wie, co jest po drugiej stronie, czy przypadkiem ktoś na nią nie czeka, czy nie ma psów, które zaalarmują sąsiadów, gdy tylko postawi nogę w ogrodzie. Nie wie, a mimo to idzie. Nieważne, że to szaleństwo, że rozsądniej byłoby jeszcze poczekać, spędzić kilka tygodni w Solveig i dopiero wtedy wrócić po dzieci. Przeciska się przez dziurę w płocie,

chce zobaczyć się z dziewczynkami. Nie chce już czekać, chce wrócić do domu, wejść schodami na piętro, do pokoju dziewczynek, położyć się obok nich. Dotknąć ich małych rączek, poczuć ich bliskość, ciepło ich skóry, za którym tak strasznie tęskniła, ich zapach. Usłyszeć ich równy oddech. Blum chce je zobaczyć, usłyszeć. Już.

Weszła bezgłośnie na górę. Wzięła je w ramiona, swoje śpiące aniołki, a one się w nią wtuliły. Uma i Nela. I szept Blum. Chciała je uspokoić. *Mamusia wróciła. Mamusia się wami zaopiekuje. Mamusia was kocha.* Było cudownie. Blum była szczęśliwa. Przez ponad trzy godziny leżała przy nich z otwartymi oczami, walczyła z sennością, chciała czuć ich obecność, nacieszyć się każdą sekundą. Małą Umą, Nela. Dać im wszystko, co w sobie ma, aż po ostatnią kropelkę miłości, wszystko, co jeszcze w niej pozostało, co pomoże im zapomnieć. O tym, co widziały przed domem. O tym, co ludzie na ulicy mówili o ich mamusi. Chce wymazać z ich główek obrazy, każde złe słowo, każdą myśl, każdą wątpliwość. Strach, który musiał się czaić w dziecięcych ciałkach. Strach, że stracą również mamusię. Że ona też zniknie. Tak jak tatuś.

Trzy godziny. W pokoju dziewczynek, w księżycowej poświacie. A potem zjawił się Karl. Stał niespodziewanie w drzwiach, przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, zamachał rękami, chwycił ją za stopy i ściągnął z łóżka. Był kompletnie wyprowadzony z równowagi, spanikowany. Chciał, żeby Blum zniknęła, żeby okazała się jedynie złudzeniem. Po cichu wypchnął ją z pokoju i zaciągnął do kuchni.

– Czyś ty kompletnie oszalała?

– Bynajmniej.

– Co ty tutaj robisz?

– Mówiłam ci, zabieram dziewczynki.

– Nie rozumiesz, co się tu dzieje? Nie widziałaś policjantów pod drzwiami? Chcesz nas wszystkich wpędzić za kratki?

– Nie.

– Więc odejdz. Proszę. Na litość boską, odejdz.

– Chcesz, żebym sobie poszła?

– Tak.

– To mój dom.

– Nie rozumiesz, że tylko pogarszasz sprawę? Nie pozwolę na to. Spotkamy się jutro rano gdzieś na mieście, nie mogą cię tutaj znaleźć.

– Nie znajdą.

– Co się stało z twoimi włosami?

– Ściąłam je.
– To za mało, Blum. Nie wystarczy ściąć i ufarbować włosy.
– To dopiero początek.
– Posłuchaj, Blum. Będą cię szukać tak długo, aż w końcu cię znajdą. Jesteś na samym szczycie listy. Sprawą zajmuje się cała armia ludzi. Policja z Wiednia, z Monachium. Wszyscy chcą twojej głowy.
– Ale jej nie dostaną.
– Tak się nie da, Blum.
– Więc powiedz mi, co mam robić. No co? Mam się ukrywać? Zaszyć się na zawsze w jakiejś dziurze? Mam zostawić dziewczynki? Tego chcesz?
– Nie.
– Przecież one mnie potrzebują.
– Dokąd chcesz z nimi jechać?
– Jeszcze nie wiem.
– One niczego nie rozumieją. Tego, co się tu stało, o co cię oskarżają. Próbuję je chronić, ale to trudne. Nie możemy wychodzić z domu, na każdym kroku nas śledzą. To dla nich za dużo, Blum.
– Dlatego muszę je zabrać.
– Nie uda wam się nawet wyjechać z miasta.
– To się okaże.
– Pomogę ci, jak tylko potrafię. Ale to nie skończy się dobrze. Zbyt wiele się wydarzyło.
– Nie musisz mi pomagać.
– Usiądź.
– Spakuję kilka rzeczy dla dziewczynek, potem wyjedziemy. Możesz powiedzieć, że spałeś, że niczego nie zauważyłeś.
– Usiądź, Blum.
– Tobie uwierzą. Powiesz, że nie masz z tym nic wspólnego.
– Chcesz się czegoś napić?
– Nie chcę ci narobić kłopotów.
– Wiem. A teraz mi powiedz, czego się napijesz.
– Żałuję, że tak się to wszystko potoczyło, naprawdę.
– Napijemy się czegoś mocniejszego, potem porozmawiamy. Siedzi z nim po ciemku przy kuchennym stole. Światło jest

wyłączone. Nikt nie może się dowiedzieć, że tutaj jest. Że od godziny siedzą naprzeciw siebie. Karl i Blum. Znajomy głos starszego mężczyzny, kuchenna posadzka, zasłony, dziecięce rysunki na lodówce. Dom.

Zapach. Wszystko w tym pomieszczeniu napełnia ją poczuciem bezpieczeństwa. Przypomina sobie, jak Mark stał przy kuchni, smarując bułki masłem. Jak dziewczynki rwały się do tego, żeby mu pomóc. Jak Mark podnosił je i sadzał na kuchennym blacie, jak im pokazywał, jak się robi kanapkę. Minęło tyle czasu. Tak dawno nie słyszała jego głosu. A mimo to wciąż go słyszy. Widzi go, chociaż jest ciemno. Chociaż obok niej siedzi tylko Karl. Jego ojciec. Człowiek, któremu teraz o wszystkim opowiada. O wszystkim, co się zdarzyło. O tym, co zrobił jej Alfred Kaltschmied. Człowiek, który chciał porwać jej dzieci.

– Wczoraj o mało nie umarłam.

– Ale czujesz się już lepiej?

– Tak. Przytuliłam dziewczynki.

– Chcesz coś zjeść? Musisz się napić wody, twoje serce na pewno jeszcze nie jest gotowe na taki wysiłek. Koniec z alkoholem, w twoim stanie na pewno ci nie posłuży.

– Nie, Karl, nalej mi. Tylko jednego.

– Na litość boską, co ten sukinsyn ci zrobił?

– Chciał, żebym z nim została. Na zawsze.

– Powiedz mi, że nie masz nic wspólnego z jego śmiercią.

– Dlaczego?

– Bo nie możesz biegać po świecie i tak po prostu mordować ludzi.

– On chciał mnie zabić, Karl! Poza tym powiedziałam ci przecież, że popełnił samobójstwo. Ten psychopata strzelił sobie w łeb, kiedy ja leżałam w pokoju bez drzwi, bez okien, bez jedzenia, bez wody.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie mam pojęcia. Ale to ma jakiś związek z tym hotelem.

I z Björk, i z jego żoną. Ten dom jest przeklęty. Umarło tam zbyt wielu ludzi.

– To wszystko brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Najpierw z dnia na dzień dowiadujesz się, że miałaś siostrę, potem jej ojciec okazuje się mordercą.

- Teraz to już nie ma znaczenia.
- Przeciwnie, Blum. To ma znaczenie, i to ogromne. Musimy porozmawiać o wszystkim, co się stało. O każdym szczególe. Nie możemy popełnić żadnego błędu, musimy się zastanowić co dalej.
- Teraz liczą się tylko dziewczynki.
- A co z ojcem Ingmara? Znalezione już ciało?
- Leży pod swoim biurkiem i gnije. Nikt go nie szuka, nie ma przyjaciół. Nie ma nikogo, kto by za nim tęsknił. Żył jak odludek.
- A Ingmar?
- Czeka na dole.
- Jest tutaj?
- Tak.
- Możesz mu ufać?
- To on mnie tu przywiózł. Gdyby nie on, prawdopodobnie już bym nie żyła. Albo siedziałabym w więzieniu. To on mnie znalazł, wyniósł z tamtego pokoju, ryzykuje dla mnie wszystko. Ingmar jest po mojej stronie.
- Jesteś pewna?
- Dwa dni temu odpowiedziałabym „nie”.
- Tamta rodzina jest jeszcze bardziej pokręcona niż nasza.
- Ufam mu, Karl. Nie mam wyboru. Obiecał, że mnie zawiezie w bezpieczne miejsce.

Potem pakuje torby. Rzeczy dziewczynek, ubrania, zabawki, kilka pamiątek z domu. Torbę ubrań dla siebie, osobiste drobiazgi, których nie chce zostawić, zdjęcia, listy, wspomnienia z ostatnich dziesięciu lat. Echo dawnego szczęścia. Karl patrzy na nią, słucha, gdy jeszcze raz go zapewnia, że to było konieczne. Wszystko, co się zdarzyło, co zrobiła. Szepczą. Karl jeszcze raz powtarza swój plan. Blum słucha. I płacze. Bo nie może inaczej, bo tak bardzo chciałaby zostać w tym starym życiu, położyć się obok dziewczynek. Obudzić się razem z nimi, zjeść z całą rodziną śniadanie, powiedzieć Rezie, że jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała. Śmiać się z nim i wspólnie prowadzić zakład. Po prostu pracować, zapomnieć o całej reszcie. O tym, że na dole czeka na nią Ingmar, że się martwi, że gdzieś w Szwarzwaldzie w gabinecie leżą zwłoki starego człowieka. Marzy, że łzami w oczach.

Zrobi wszystko, co ustalili, będzie ostrożna, nie będzie ryzykować. Plan Karla jest bardzo dobry.

Teraz weźmie jedynie bagaż, tylko torby, dziewczynki zostaną. Zobaczy je dopiero po południu, przy kąpielisku na północnych obrzeżach miasta. Tam będzie na nie czekać, również tam zna sekretne przejście. W lecie, kiedy przy wejściu ciągnęła się długa kolejka, przechodziła z dziewczynkami przez niski kamienny murek. Dla nich to była frajda, robiły z mamusią coś zakazanego, potajemnie, ze śmiechem. Niedługo znów przejdą przez ten murek i wsiądą do kampera. Blum je przytuli, a Karl powie, że stracił je z oczu. Że nagle po prostu zniknęły, że nie mógł ich znaleźć w tłumie. Uma i Nela zwyczajnie znikną. Ludzie będą mówić, że ktoś je porwał, pojawią się plotki, że Blum jest w mieście i że to ona zabrała dziewczynki. Jeszcze więcej ludzi będzie jej szukać, wszyscy będą żałować dzieci, martwić się o nie, obawiać najgorszego.

Będzie dobrze. Pomysł, by wszystko odbyło się na oczach tłumu, jest wręcz genialny. Dziennikarze, którzy pojedą za Karlem i dziewczynkami na basen, zaświadczą, że Karl nie ma z tym nic wspólnego. Karl zostanie po prostu na ręczniku, a dziewczynki będą biegać po łące. Fotoreporterzy i kamerzyści zdobędą upragniony materiał i przestaną na nie zwracać uwagę, a wtedy małe księżniczki niepostrzeżenie przejdą przez murek, zamkną się za nimi drzwi kampera i na zawsze znikną z miasta.

Jeszcze raz go przytula. Długo i czule. Blum i Karl. Tyle dla niej zrobił, był dla niej jak ojciec, nie zdradził jej, nie potępił, zawsze stawiał przyjaźń na pierwszym miejscu. Nie groził jej palcem, nie robił wyrzutów. Zawsze pomagał. Najbardziej kochał jej małe córeczki. Jest jak skała, której Blum jeszcze przez chwilę się przytrzymuje, zanim spróbuje przepłynąć na drugi brzeg. Zamierza przepłynąć się przez wzburzone morze, z dwójką małych dzieci przepłynąć ocean. Nieważne, czy natrafi na sztorm. Będzie płynąć. Karl to wie. Zna ją lepiej niż ktokolwiek na świecie, przyciska ją do piersi i szepcze. *Nie wiem, dokąd się wybierasz, ale odezwij się, kiedy dotrzesz na miejsce. Kocham cię, Blum.* Potem powala jej odejść, uwalnia ze swoich objęć i życzy szczęścia.

W tym momencie Karl traci wszystko, co ma. Dziewczynki, Blum, wszystko. A mimo to pomaga jej znieść torby. Walczy ze sobą, stara się nie zadawać już żadnych pytań, pozwoli jej odejść. A jednak podejmuje ostatnią próbę, w chwili gdy Blum kładzie rękę na kłamce. *Zaczekaj, szepcze. Co powiesz dziewczynkom? Gdzie będą mieszkać? Przecież tu jest ich dom. Co się stanie z willą?* Jego głos drży. Blum chciałaby jeszcze raz wziąć go w ramiona, ale nie może, musi już iść, musi zostawić Karla i Rezę. Musi. Chociaż jej serce krwawi.

Ze ściśniętym gardłem odchodzi. Nie ma wyboru, nie ma innej drogi. Tylko ta. Ogrodowymi drzwiami, przez dziurę w płocie, do Ingmara. Już. Całuje Karla po raz ostatni i w końcu otwiera drzwi. I po cichu zamyka. Karl zostaje w pustym domu. Blum zanurza się w mrokach nocy. Zatrzymuje się smutna. Stoi w swoim ogrodzie, na zawsze zatrzasnęła za sobą drzwi. Łzy wciąż płyną jej po policzkach. Wie, że nigdy tutaj nie wróci. Do domu, w którym się wychowała, do ogrodu, gdzie zna każdy kamień, każde źdźbło trawy. Odejdzie stąd, na zawsze. Po cichu rusza w kierunku płotu. I wtedy ktoś zachodzi ją od tyłu.

Przecież nie mogło być inaczej, byłoby zbyt pięknie, zbyt łatwo. Przecież nie da się oszukać przeznaczenia. Szczęście omija Blum szerokim łukiem, bo kto raz postawi nogę w trzęsawisku, nie może się z niego wydostać. Podała rękę złu, bawiła się w Boga i za to teraz spotka ją kara, los znowu uderza bez ostrzeżenia. W jednej chwili znów wszystko traci. Nowe życie rozpoczęte pożegnalnym pocałunkiem złożonym na policzku Karla. Wszystkiemu kładzie kres ostrze noża. Ostrze, które dotyka jej skóry, które mówi jej, że ma się zatrzymać. Milczeć. Słuchać. Bez słowa wykonywać wszystkie polecenia.

Blum wie od razu, co się stało. Znowu ktoś stanął na jej drodze do szczęścia. Śmierdzący, zasapany, podstarzały facet, mała chciwa gnida, która zwąchała większą kasę, stary znajomy, który nagle wyrasta za jej plecami. Jeden z tych, którzy od wielu dni wężą pod jej domem. Blum poznaje ten głos, od razu przypomina sobie ten obleśny ton. Schrettl. Prywatny detektyw, który dwa lata temu próbował ją szantażować, zbić majątek na jej cierpieniu. Schrettl, wstrętna glista, drobny cwaniaczek, który przypadkiem odkrył, co zrobiła. Wtedy, dwa lata temu, zagroziła mu, że go zabije, jeśli nie zostawi jej rodziny w spokoju. Była przekonująca. Nie pozostawiła cienia wątpliwości, nastraszyła go i przegnała jak parszywego psa. A teraz wrócił. Zadowolony z siebie, arogancki, za jej plecami. Schrettl. Nie stróż prawa, lecz łajdak gotowy na wszystko, byle zarobić. Łowca głów, który chce zdobyć nagrodę wyznaczoną przez rodzinę aktora. Pieniądze za głowę bestii. Bestii, która tkwi wreszcie w potrzasku, z nożem przystawionym do gardła. Nożem, który mówi, że to już koniec. Blum słyszy głos Schrettla. *No i znowu się widzimy. Teraz pójdziemy powoli do głównej bramy, zrozumiałaś? Niech wszyscy zobaczą, kto cię złapał. I niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy się bronić, gliny nie będą płakać, jeśli przy okazji cię lekko pochlastam.* Scena jak z jakiegoś kiepskiego filmu. Napastnik wyłania się nagle z ciemności i zaczyna jej grozić. Idiota, który sądzi, że zdoła ją zatrzymać. Zmusić, żeby poszła z nim przez ogród, do głównej bramy, gdzie czekają policjanci i telewizyjne kamery. W milczeniu, na szafot.

Blum. Stoi w miejscu. Czując nóż, puszcza torby. Nagle wszystko staje jej przed oczami. Wszystko, przez co przeszła, co musiała znieść.

Przypomina sobie pokój, zdrewniały język w ustach, wszystko, co wycierpiała od chwili, gdy zginął Mark. Blum to czuje. Dotyk noża i pragnienie ucieczki. Bezsilność, zdanie na cudzą łaskę. Schrettl decyduje za nią, jej los spoczywa w jego rękach. Mówi jej, co się za chwilę stanie. Kiedy skręca za róg domu, kiedy policjanci skują jej ręce. Znow ktoś ją zamknie w pokoju bez okien, bez drzwi, bez wody. Słyszy tylko szept Schrettla, czuje jego butę, jego oddech. Jest środek nocy, Innsbruck, ani śladu morza, jachtu, na którym mogłaby odpłynąć w dal. Tylko ona i Schrettl, na tyłach domu. Nikt jej nie widzi, nikt nie słyszy, musi działać szybko, nie może dłużej czekać, zastanawiać się, musi go zaskoczyć, musi walczyć. Decyzja należy do niej, nie do Schrettla. Tylko do niej, do Blum.

Ostrze zagłębia się w jej ciało. Blum czuje ból powyżej łopatki. Pieczenie. Ciepła krew płynie po jej skórze. Mimo to nie wydaje żadnego dźwięku, tylko jej łokieć trafia go w głowę. Zaskakuje go, ogłusza. Wszystko w kompletnej ciszy, oboje wciąż milczą. Nóż wypada mu z ręki. Schrettl próbuje dobrać się do siebie, przez dwie sekundy jest zamroczone, w szoku patrzy na Blum, na to, jak bierze nóż, zadaje cios. Jest za szybka, a on zbyt ociężały. Chciwy grubas. Nim zdąży wezwać na pomoc inne psy, lewa dłoń Blum zasłania mu usta, a ostrze zanurza się w jego ciele. Ponawia pchnięcie. Chce tylko, żeby zamilkł, żeby przestał się mieszać w jej życie. Chce, żeby pozwolił jej odejść, żeby nie mógł jej już w żaden sposób zaszkodzić. Dlatego dźga po raz trzeci. Aż Schrettl osuwa się na jej czach na ziemię.

Schrettl. I nóż w jej dłoni. Blum stoi i patrzy. Schrettl osuwa się, drży i zaczyna jęczeć. W końcu słyszy głos Ingmara, jego dłoń spoczywa na jej ramieniu. Wyjmuje jej z dłoni nóż, ujmując w dłoń jej twarz i przyciąga do swojej piersi. *Chodźmy. Musimy stąd zniknąć.* Powstrzymuje ją, powściąga jej nienawiść, chęć odreagowania na Schrettlu tego wszystkiego, co się stało. Chciałaby go dźgać, aż jego usta wydadzą ostatnie tchnienie, aż zamilknie, aż nie będzie w stanie jej zdradzić. Wyobraża to sobie. Gdyby Ingmar nie przeszedł przez dziurę w płocie, Schrettl już by nie żył.

Ingmar. Delikatnie przykładając chusteczkę do niewielkiej rany na jej karku. Bierze ją w objęcia, spokojnie, jakby już byli w bezpiecznym

miejscu, w jego głosie nie słycać niepokoju, napięcia. *Musimy go stąd zabrać. Policja nie może go znaleźć, inaczej rozpęta się piekło. Zapakujemy go do wozu i zawieziemy do lekarza. Nie możemy pozwolić, żeby umarł*, mówi. A jej wszystko wydaje się takie odległe, takie nieważne. W tej chwili marzy tylko o tym, żeby wrócić na plażę, położyć się na leżaku. Znowu, który to już raz w ciągu ostatnich lat chciałaby cofnąć czas, zamknąć oczy. Słyszeć tylko szum morza, fale. Zagłuszyć głos Ingmara. Nie myśleć o tym, że muszą ratować Schrettla, opatrzyć go, że trzy minuty temu zatopiła ostrze noża w jego brzuchu. Nie chce o tym pamiętać, lecz Ingmar nie ustępuje, przejmuje ster, decyduje za nią.

Blum. Mechanicznie wykonuje polecenia Ingmara. Kiedy on odnosi torby do kampera, ona próbuje zatamować krwotok. Oszołomiona przyciska dłoń do brzucha Schrettla. Wszystko jest jedną wielką raną, ta noc, całe jej życie. Otwartą, broczącą krwią raną. Raną, którą Ingmar prowizorycznie opatruje. Wraca z taśmą przyklepną, bez wahania zakleja usta Schrettla, krępuje mu ręce i nogi. Wspólnie owijają taśmą ciało Schrettla, przygotowują je do transportu. Niemal bezgłośnie, jakby robili to wiele razy, jakby tworzyli zgrany zespół, krok po kroku. *Powoli*, mówi Ingmar. *Nie możemy popełnić żadnego błędu. Schowaj nóż.* Ingmar popędza ją, wspólnie ciągną ciało po trawie. Wszystko toczy się bardzo szybko, Blum wykonuje wszystkie polecenia. Dużo łatwiej byłoby zostawić go tutaj, ale Ingmar ma rację. Znajdą go, kiedy się tylko przejaśni, nie spuszczą dziewczynkę z oka, prawdopodobnie umieszczą je w jakimś nieznanym miejscu. Blum straci jedyną szansę, by zapakować je do kampera i uciec. Jeśli Schrettl tutaj zostanie, będzie po wszystkim. Dlatego przepychają ciało przez dziurę w płocie. Na ulicę.

Nikt ich nie widzi, nikt nie słyszy, kryją się w ciemności, tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa. Ciało Schrettla znika z ogrodu, połyka je kamper. Zanim się przejaśni, zniknie bez śladu. Słyszeć tylko cichy szum. Ingmar zmywa z trawnika krew. Jeszcze przez chwilę trzyma w rękach wąż ogrodowy, potem wsiada do wozu i odjeżdżają.

– On nie oddycha.
– Wiem.
– Co się stało?
– Zasnęłaś.
– Co się stało?
– Jesteś taka piękna, gdy śpisz. Siedziałem i na ciebie patrzyłem. Mógłbym tak spędzić cały dzień i całą noc. Patrząc na twoje usta, na twoją twarz. Nic innego nie ma wtedy znaczenia.
– Proszę, Ingmarze. Chcę wiedzieć, co się stało. Dlaczego on nie żyje? Dlaczego mnie nie obudziłeś?
– Musiałaś uszkodzić mu jakiś ważny organ, nie odzyskał przytomności.
– To niemożliwe, trafiłam go w brzuch, rany nie były groźne, nie zagrażały życiu.
– Najwyraźniej było inaczej.
– Dlaczego mnie, do cholery, nie obudziłeś?
– Po co? Co by to dało, Blum? I tak byś mu nie pomogła.
Najważniejsze, że odpoczęłaś, że się w końcu wyspałaś. Mówiłam ci, nie możemy popełnić żadnego błędu.
– Nie chciałam go zabić.
– Ale się stało. I teraz musimy jakoś rozwiązać ten problem.
– Może dałabym radę jakoś mu pomóc.
– Postanowiliśmy, że nie możemy jechać do szpitala, pamiętasz?
– Nie sądziłam, że jest z nim tak źle. Stracił niewiele krwi, byłam przekonana, że przeżyje.
– W tej chwili już nic na to nie poradzimy.
– Nie chciałam tego, Ingmarze. Nie chciałam go zabić. Zaatakował mnie, przystawił mi nóż do gardła, chciałam tylko odzyskać dziewczynki. Nie chciałam go zabić, musisz mi uwierzyć.
– Wierzę ci, Blum.
– Zbyt wielu ludzi zginęło, Ingmarze. To musi się wreszcie skończyć. Już nie mogę, nie chcę. Chcę żyć w spokoju. Mam dosyć śmierci, rozumiesz? Chcę mieć normalne życie.
– Rozumiem, Blum, dlatego musimy się zastanowić, co z nim

zrobimy. Musimy się go pozbyć, za trzy godziny dziewczynki pojedą na basen, do tej pory on musi zniknąć, wóz musi być czysty.

– Masz rację. Zajmę się tym.

– Razem się tym zajmiemy.

– Nie, Ingmarze. Nie powinieneś się w to mieszać, lepiej wysiądź i wróc do domu. Trzymaj się jak najdalej ode mnie. Nie znasz mnie, nigdy mnie nie widziałeś, wrócisz do hotelu i zapomnisz o wszystkim. Uwierz mi, tak będzie dla ciebie najlepiej.

– Co to ma znaczyć?

– Nie chcę, żebyś trafił za kratki. Możesz się jeszcze wycofać, Ingmarze.

– Ale nie chcę.

– Nie mogę ci niczego obiecać.

– To bez znaczenia.

– Nie jestem w tym zbyt dobra.

– W czym?

– W związkach, w miłości. Nie potrafię, nie chcę. Muszę się zająć dziewczynkami. Nie chcę być za ciebie odpowiedzialna, nie chcę się czuć winna, rozumiesz? Kiedy nas znajdą, kiedy cię zamkną. Wszystko stracisz.

– Jestem tu z własnej woli, Blum.

– Nie słuchasz mnie, Ingmarze. Nie chcę żadnych związków. Nie chcę być ani z tobą, ani z nikim innym. Moje życie jest już wystarczająco skomplikowane. Wszystko się zawaliło, a ja nie mam już siły, by z tobą być. Nie mogę, naprawdę. Przepraszam.

– Nie musisz mnie za nic przepraszać, Blum. I nie musisz się czuć do niczego zobowiązana.

– Nie?

– Nie.

– W taki razie zabierajmy się do sprzątania.

– A co z ciałem? Jest prawie południe. Środek dnia. Jeśli je wyniesiemy z wozu, każdy może nas zobaczyć, nie możemy go tak po prostu wyrzucić.

– Nie mamy wyboru.

Blum. Odzyskała już jasność myśli. Znow może myśleć,

analizować to, co się stało, przyjąć od losu kolejny cios. Widzieć wszystko jako dar, radzić sobie z tym, co się zdarzyło, improwizować, nie tracić czasu. Musi coś wymyślić, znaleźć w tym mieście jakieś miejsce, gdzie będzie mogła niepostrzeżenie zostawić Schrettla. Musi się spieszyć, musi usunąć wszystkie ślady, wszystko, czego mogłyby się przestraszyć. Uma i Nela, kiedy wsiądą do kampera, kiedy się rozejrzą, próbując zrozumieć, dlaczego mamusia czeka na nich w tym domu na kółkach. Dwie małe dziewczynki w kostiumach kąpielowych, które zaczęłyby zadawać pytania, gdyby na podłodze ujrzały krew. Na szafkach kuchennych, na wyściełanych meblach. Krew Schrettla. Blum zmyje ją, wszystko wyczyści, będzie tak długo szorować, aż nie zostanie po niej najmniejszy ślad.

Schrettl. To była samoobrona. Leży w przejściu luksusowego kampera. To tylko kolejne zwłoki, którymi musi się zająć, bez emocji, bez żalu, bez wyrzutów sumienia, bez samooskarżania, ze szmatą w ręku. Szoruje, usuwa wszystkie ślady. Pomaga jej Ingmar. Jest obok, nie zostawia jej samej, cierpliwie klęczy obok niej i starannie usuwa krew z wykładziny. Pomaga jej pozbyć się Schrettla. Blum wierzy, że jakoś uda im się to zrobić. Jakoś, gdzieś. Są w samym centrum Innsbrucku, jest środek dnia, każdy może ją zobaczyć. Bestię w domu na kółkach. Gdziekolwiek się zjawia, będą się na nich gapić, kiedy tylko się ruszą, skierują się na nich wszystkie spojrzenia. Przechodniów, starszej pani wyglądającej przez okno, kierowcy na światłach. Dokądkolwiek pojedą. Wóz jest zbyt duży, przykuwa uwagę. Tylko kiedy stoją, nikt ich nie widzi. Tylko kiedy parkują, nikt ich nie zauważa.

Jeszcze dwie godziny i dziewczynki przejdą przez murek. Mają jeszcze czas. W środku jest czysto, Schrettl leży na podłodze, związany. Zwykła paczka, którą wyrzucą z auta. Bezdomny, który leży pijany na łące, na skraju drogi, pod drzewem, przykryty kocem. Widać będzie jedynie głowę, nikt się nim specjalnie nie przejmie, upłynie sporo czasu, nim ktoś się nad nim pochyli, zechce sobie pobrudzić ręce. Bo miłość bliźniego wymaga wysiłku. Kiedy spostrzegą, że pod kocem leży martwe ciało, Blum będzie już daleko. Blum i dziewczynki. Gdy jakiś rowerzysta zatrzyma się i uniesie koc albo spacerowicz z psem ostrożnie szturchnie nogą bezwładne ciało. Będą daleko.

Blum i Ingmar. Czas płynie. Siedzą obok siebie, czekają. Nie rozmawiają wiele. Blum chce w końcu jechać na basen i zabrać dziewczynki, nie chce mówić o tym, co może się stać, że za kilka godzin może być po wszystkim. Nie wspomina o tym, tylko wyobraża sobie, jak je chwyci na ręce, jak wyjadą na autostradę, znikną. Stara się wyprzeć złe myśli, jakby nic się nie wydarzyło.

Centrum Innsbrucku, skraj drogi. Teraz. Ostatni rzut oka w lusterko. Nikogo nie widać, żadnych spacerowiczów, biegaczy, tylko mały park, który rozpościera się przed ich oczami, zielona łączka, na której go układają. Schrettl. Ciągną go, opuszczają, Ingmar przykrywa go kocem. Wsiadają do wozu i odjeżdżają. Schrettl jest już przeszłością. Śpiącym włóczęgą, który zostaje za ich plecami.

Znów są na autostradzie. Widok za oknem, dziewczynki w jej objęciach. Uma po lewej, Nela po prawej. Przytuliły się do niej i po prostu zasnęły. Dwa bezbronne maleństwa, które szukają schronienia, znów są blisko niej, czują jej dotyk, słyszą jej głos, całują ją, długo ściskają za szyję. *Musisz nas uściskać, mamusiu, Myślałyśmy, że już nas nie kochasz.* Dziecięce lęki i to cudowne uczucie, że wróciła, że odzyskała wszystko, co się liczy w jej życiu. Są razem, ich głosiki szepczą wprost do jej ucha, wszystko, czego się bały, co kochają, czym są. Blum chce je chwycić w ramiona i nigdy z nich nie wypuścić. Wygląda przez okno i czuje je, słyszy to, co powiedział Mark. Któregoś ranka, w łóżku. Przypomina sobie, jak ze sobą szeptali. Mark i Blum.

- Zrobię dla was wszystko.
- To znaczy?
- Będę was chronił.
- Przed kim?
- Przed lwem, dzikim zwierzem, przed złem.
- Ach, ty romantyku.
- Poważnie, Blum, zrobię wszystko. Wszystko.
- Na przykład?
- Gdyby dziewczynkom coś się stało, gdyby ktoś je skrzywdził.

Albo ciebie.

- Kto miałby nas skrzywdzić?
- Nikt.
- To po co o tym mówisz?
- Czasem sobie wyobrażam, jak by to było, gdybym was stracił.
- Nie stracisz nas.
- Gdyby cię zabrakło, to byłoby coś najgorszego. Życie bez ciebie nie miałoby sensu.
- Przestań. Ja żyję.
- Należymy do siebie, Blum.
- Tak, to prawda.
- Będę cię chronił. Obiecuję.

Obiecanki cacanki. Już jej nie chroni, nie opiekuje się nią, nie bierze jej w ramiona. Ani jej, ani dziewczynek. Została im tylko Blum,

jej ramiona, jej miłość. Jego już nie ma. Jest tylko Blum. I Ingmar. Poza nimi nie ma nikogo. Mark zostawił ją na lodzie, zostawił ją w środku koszmaru, z którego wciąż się nie obudziła. Katastrofa goni katastrofę. I wciąż ten strach. Że to jeszcze nie koniec, że będzie gorzej, że znów coś się zdarzy. Że ktoś znów jej odbierze to, co teraz ściska w ramionach. Strach, bo czuje się tak błogo, bo pragnie, żeby ta chwila trwała na wieki. Patrzy na dziewczynki, które jej podarował. Patrzy na Nelę i widzi jego nos, jego usta. Gęste włosy Umy. Mark jest przy niej. Bardzo blisko.

Blum. Patrzy na krajobraz za oknem auta. Jest bezpieczna, nikt jej nie skontroluje, nic nie zatrzyma. Żaden policjant, żaden wypadek. Spokojnie pojeżdżą autostradą w kierunku Monachium i dalej na północ. Daleko stąd. Blum nie wie jeszcze dokąd. Nie ma pojęcia. Ingmar powiedział, żeby się nie martwiła, że ma się zajmować wyłącznie dziewczynkami. Żeby się nie zastanawiała, gdzie będzie mieszkać, jak daleko musi uciec, w jakiej dziurze zniknąć, żeby mieć spokój. Siedzi tylko i wygląda przez okno. Ściska mocno dziewczynki, głaszcze je po włosach, czule szepcze. *Mamusia się wami zaopiekuje. Mamusia już nigdy was nie zostawi.* Odkąd wsiadły do wozu, Blum nie wypuszcza ich z rąk.

To prawdziwy cud. Wszystko potoczyło się zgodnie z obmyślonym przez Karla planem. Jej obawy okazały się nieuzasadnione, to, o czym myślała, zanim pojechali na basen. Czy wszystko pójdzie jak powinno? Czy ktoś znajdzie Schrettla, zanim ona chwyci dziewczynki w ramiona? Tysiąc myśli przelatowało jej przez głowę. *Czy Karl przekona dziewczynki, żeby przeszły przez murek? Czy jakiś dziennikarz nie będzie ich śledził? Czy nie robi im zdjęcia, jak wsiadają do kampera? Czy nie zanotuje numeru rejestracyjnego i nie zadzwoni na policję?* Blum zamartwiała się, a Ingmar ją uspokajał. Teraz siedzi za kierownicą. Nadal tu jest, ten szalony mężczyzna, który od początku jej pomagał. Naprawdę z nimi został. Nie porzucił jej na pastwę losu, chociaż powiedziała mu, że między nimi niczego nie będzie. Kiedy na nią patrzył, czuła to jego pragnienie czułości, nadzieję na wspólną przyszłość. Ingmar i Blum. Nie mogła, nie chciała, a on mimo to pojechał z nią do Innsbrucku. Pożegnała się, zrozumiała, że już nigdy

tam nie wróci. Już nigdy nie przejdzie po Museumstrasse, wzdłuż Viaduktbögen, nigdy. Po raz ostatni widzi to wszystko, willa w Saggen jest już tylko wspomnieniem. W drodze na basen wszystko się rozmyło.

Tivoli. Odkryte kąpielisko obok Olympiahalle, Ingmar zaparkował w bocznej uliczce, w pobliżu tylnego wejścia. Punktualnie o trzeciej jej małe aniołki powinny przejść przez murek. W kostiumach kąpielowych, podekscytowane, bo dziadek powiedział, że za murkiem czeka na nie mamusia. Powiedział, że to taka zabawa. Gra. A potem ich rozpromienione oczy, kiedy ją zobaczyły, dziecięce ramionka, które oplotły jej szyję. Uma i Nela. W mgnieniu oka zniknęły wewnątrz kampera. Drzwi się zamknęły i Ingmar ruszył w kierunku autostrady.

Roześmiane buzie i lzy. Blum nie może uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło, że Uma siedzi jej na kolanach, że Nela ściska ją z całej siły i nie przestaje mówić. *Gdzie byłaś, mamusiu? Tęskniłyśmy za tobą, mamusiu. Już nigdy nie wyjeżdżaj. Dokąd jedziemy, mamusiu? Cieszę się, że nie umarłaś, mamusiu.* Dziecięce usta wypowiadają również jej myśli. Radość, że wciąż żyje. Że się nie zabiła. Nie poddała. Bo to by było najprostsze. Jest tak bardzo wdzięczna losowi. Bez przerwy głaszcze główki dziewczynek. Ingmar zatrzymuje się na stacji benzynowej. *Musimy zatankować*, mówi. Blum milczy. Nic nie mówi, nie odzywa się ani słowem, tylko patrzy. *Musimy zdecydować, dokąd jedziemy*, mówi Ingmar. Blum wciąż nie odpowiada. Ignoruje go, zdaje się na niego, bo dla niej nie ma znaczenia, dokąd pojedą. Kiedy człowiek nie ma się gdzie zatrzymać, cel podróży jest bez znaczenia. Kiedy nie ma się domu, można pojechać wszędzie. Kiedy nie ma się przyjaciół, miasta, domu, przystani. Tylko dom na kółkach, z którego nie można wyjść, bo inaczej od razu zostanie się rozpoznany i trafi za kraty. Małe więzienie na kółkach. A mimo to czuje się szczęśliwa, ma wszystko, czego pragnie. Zanurzona w objęciach, które pozwalają zapomnieć o całej reszcie.

Blum zorientowała się dopiero przy wjeździe na parking. Przez ponad dwie godziny nie odezwała się do niego ani słowem, powierzyła swój los w jego ręce, zaufała mu. Rozmawiała z dziewczynkami, kiedy się obudziły. Śmiała się z nimi, bawiła. Nie spodziewała się, że zatrzymają się w Norymberdze. Myślała, że pojedą dalej, na północ, może do Hamburga. Nie zauważyła, że zjechał z autostrady, opowiadała dziewczynkom historyjki, obiecywała cudowne życie, rozpraszała ich obawy i lęk. *Wszystko będzie dobrze*, powtarzała co chwila. A Ingmar jechał dalej. Nürnberg Ost. Już kiedyś tędy jechała. Dopiero kilka minut temu zrozumiała, dokąd je wiezie. Co zamierza. Krzyczy, zmusza go, by się zatrzymał przed wjazdem. Nieważne, co pomyślą dziewczynki, musi mu przeszkodzić.

- Powiedziałaś, że masz się zatrzymać.
- To najlepsze, co możemy zrobić, Blum.
- Nie. Masz się zatrzymać. Masz zawrócić i odjechać.

Natychmiast. Zrozumiałeś?

- Proszę, nie krzycz na mnie.
- Jedź, do cholery.
- Już dobrze, uspokój się. Zrobię wszystko, co każesz.
- Zawróć i jedź.
- Proszę, Blum, porozmawiajmy.
- Co ci strzeliło do głowy? Jeśli mamy iść do Kuhna, to równie dobrze możesz mnie zawieźć na najbliższy posterunek policji.
- Tu będziemy bezpieczni.
- O czym ty mówisz? Kuhn zadzwoni na policję, przyjadą tu, zanim zdążymy się wypakować.
- Nie, Leo tego nie robi. Nigdzie nie zadzwoni.
- Niby dlaczego?
- Bo go o to poprosiłem.
- Co?
- Zadzwoniłem do niego. Wie, że przyjedziemy.
- Brawo, Ingmarze, wspaniale.
- Kuhn nikomu nic nie powiedział.
- Wszyscy robią to, o co ich poprosi kochany Ingmar, tak? Leo

Kuhn nie zadzwoni na policję, nic nikomu nie powie. Tak jak Alfred. Jego też o to poprosiłeś, mam rację?

– To nie fair.

– Mam gdzieś, co jest fair, a co nie. Po prostu nie chcę tam iść.

– Dziewczynki, Blum.

– Co dziewczynki? Myślisz, że jestem złą matką, bo przy nich krzyczę? Tak myślisz? No powiedz, uważasz, że jestem złą matką?

– Nie, Blum.

– Więc co? Czego tu szukasz? Dlaczego to robisz?

– Bo uważam, że to w tej chwili najrozsądniejsze wyjście.

Zatrzymamy się tutaj. Zastanowimy się w spokoju co dalej, ty i dziewczynki będziecie mieć dla siebie trochę czasu. Odpocznimy w bezpiecznym miejscu, rozumiesz?

– Nie, niczego nie rozumiem. To nie jest bezpieczne miejsce. My nigdzie nie jesteśmy bezpieczne.

– Leo to mój przyjaciel, możemy mu zaufać.

– Dlaczego miałyby zrobić dla ciebie coś takiego? I dla mnie?

Ściąga na siebie niebezpieczeństwo, jeśli nas przyjmie, może trafić za kratki.

– Leo zawsze płynął pod prąd. Powiedział, że to będzie dla niego wydarzenie roku. Liczy, że wpadniemy. W tej chwili to jedyne, co możemy zrobić. Leo albo Solveig, innej możliwości nie ma. Musimy wszystko zaplanować. Wolisz jechać bez celu przez całe Niemcy, ryzykując, że ktoś cię zobaczy? To zbyt niebezpieczne, Blum.

– On zadzwoni na policję.

– Zapewniam cię, że tego nie zrobi.

– Więc robi to ktoś inny. To się nie może udać, Ingmarze.

– Jest weekend. Nikogo nie ma, instytut jest pusty. Nie ma ani pracowników, ani gości, Leo jest sam. Zostaniemy na górze, w jego mieszkaniu, miejsca jest dosyć, możemy w spokoju pomyśleć co dalej.

– To się nie może udać.

– Zaufaj mi, Blum.

Blum nie ma wyboru. Nie może nic zrobić. Nie może mu się przeciwstawić. Nie przychodzi jej do głowy inne rozwiązanie, nie może podać innego celu, miejsca, gdzie chciałaby się zatrzymać, w którym ona

i dziewczynki mogłyby bezpiecznie przenocować. Bez obaw, że ktoś je znajdzie, obudzi w środku nocy, że zobaczy je jakiś prawy obywatel, który widział w gazecie jej zdjęcie. Blum musi uwierzyć, że to słuszna decyzja, musi zaufać Ingmarowi, wierzyć, że nie zrobiłby niczego, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo, że Leo Kuhn nie zakończy tego, co się ledwie zaczęło.

Alternatywą jest hotel Solveig, dlatego kiwa głową na znak, że się zgadza. Mówi Ingmarowi, by jechał, by zaparkował za ceglany budynek. Potem wysiada i wyjaśnia dziewczynkom, że odwiedzą starego przyjaciela mamusi. Muszą szybko zniknąć z ulicy, więc zabiera dziewczynki i wchodzi na górę. Ingmar zna to miejsce jak własną kieszeń, wstukuje szyfr zamka, szybko otwiera i zamyka drzwi. Nikt ich nie widział. Mijają wejście do sal ekspozycyjnych i do laboratorium, Ingmar prowadzi je schodami na górę, naciska dzwonek. Wielkie czarne stalowe drzwi, wejście do prywatnego królestwa Kuhna, do jego samotni. To, co z zewnątrz wygląda niepozornie, w środku okazuje się luksusowym penthouse'em, na dachu dawnej fabryki mydła Leo Kuhn urządził sobie mieszkanie marzeń. Wyszukane meble, niemal muzeum, wszędzie dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, barwne dywany, kolorowe ściany. Kuhn wita ją serdecznie, obejmuje, jakby naprawdę była starą przyjaciółką, która odwiedza go z dziećmi. *Dobrze wyglądasz, mówi. Do twarzy ci w nowej fryzurze.* Potem zaprasza wszystkich do środka.

Leo Kuhn. Jego naturalność wprawia Blum w osłupienie. Gospodarz żartuje z dziewczynkami, pokazuje im mieszkanie, bawi się z nimi, zdobywa ich sympatię. Mijają cztery minuty i chodzą z nim za rączkę od pokoju do pokoju. Nie spodziewała się, że okaże się tak sympatyczny, że kocha dzieci, że zatroszczy się o nie bardziej niż o siebie i swoje dzieła sztuki. Blum siada. Ingmar zajmuje miejsce obok niej. Blum wielkimi oczami patrzy na mieszkanie, nie tylko dziewczynki są zafascynowane cudownymi przedmiotami, które wypełniają pokoje, wiszą na ścianach. Prawdziwy gabinet osobliwości. Wypchane zwierzęta, dziwaczne obrazy, lalki Barbie w gablotach, różowy laserunek drewnianej podłogi, żyrandole na suficie, wszędzie kryształ i błyskotki. Plac zabaw szaleńca, każdy szczegół starannie wyczelowany, tysiące drobiazgów do obejrzenia. Blum nie ma czasu na

rozmyślania, czy podjęła właściwą decyzję, co zaraz nastąpi, co powie, co zrobi, a czego nie. Kuhn. Zwykły, sympatyczny człowiek, wita ich z otwartymi ramionami. *Czujcie się jak u siebie, woła. W lodówce jest białe wino, musimy wypić za ponowne spotkanie. Zaraz wracam, kochani. Później zrobimy coś do jedzenia.* Jego głos jest niczym balsam, środek uspokajający, który rozprasza lęki. Sceptycyzm ustępuje miejsca innemu uczuciu. Zadomowieniu. Wreszcie chwila wytchnienia.

Blum znów ma wrażenie, że to scena z jakiegoś filmu. Spotkanie przyjaciół, wspólna kolacja, rozbrykane dzieci, wino i śmiech. Leo Kuhn, człowiek, który zamienia ludzkie ciała w dzieła sztuki, krzyżuje ludzi ze zwierzętami. Prowokator przekraczający wszelkie granice etyczne. Gotuje dla nich, opowiada rozmaite historie, rozśmiesza. Nie pada ani słowo o tym, co się zdarzyło, o tym, czego dowiedział się z telewizji. O poćwiartowanych ciałach w cudzych grobach, o śmierci Alfreda Kaltschmieda, o śmierci bezdomnego, którego niedawno znaleziono w Innsbrucku. Nie mówi ani słowa. Przyjmuje ich, jakby to było coś najbardziej naturalnego pod słońcem. *Od czego są przyjaciele,* mówi tylko. *Kiedy Ingmar mnie o coś prosi, rzadko potrafię odmówić. Poza tym zawsze się cieszę z odwiedzin tak zacnego towarzystwa.* Wybuchą śmiechem, nalewa wino do kieliszków. Pałają się świece, dziewczynki zajadają się ciastem.

Blum. Przez cały wieczór pławi się w błogiej atmosferze. Dwóch mężczyzn, którzy serdecznie troszczą się o dziewczynki. Najpierw Leo, potem Ingmar. On również korzysta z okazji, bawi się z Umą i Nelą, rozwesela je, znika z nimi w gabinecie Kuhna, gdzie pokazuje im ciekawostki. Blum zostaje, może wreszcie odsapnąć, napić się wina, patrzeć na szczęśliwe dziewczynki. Na chwilę znikają pytania, strach, nieszczęście, które ją przytłacza i stale zagraża, że ją rozszarpie na strzępy i pożre. Są tylko Ingmar i Leo. Dwaj przyjaciele, którzy z własnej woli wplątali się w tę szaloną historię. Dwaj mężczyźni, dla których zwyczajne życie to stanowczo za mało. Chcą więcej, dużo więcej. Nie wystarczy im zwykła lampa na suficie, musi być ogromny żyrandol. Skaczą na główkę do pustego basenu, bez mrugnięcia spacerują na krawędzi przepaści. Blum nie wie, dlaczego to robią, ale delectuje się chwilą. Chociaż to dziwne, czuje się tutaj bezpiecznie. Nie

może jej się przydarzyć nic złego. Leo siedzi naprzeciw niej, uśmiecha się. *Za nowe życie*, mówi. Blum unosi kieliszek.

– Tutaj nikt was nie będzie szukał. Możecie zostać do poniedziałku, w domu nie ma nikogo prócz nas. Nikogo żywego.

– Nie rozumiem.

– Na dole leży około stu ciał.

– Uważasz, że to zabawne?

– Owszem.

– Ciebie wszystko bawi, prawda? Cały świat jest dla ciebie wielkim placem zabaw, mam rację?

– Lubię się bawić, owszem. Czy to coś złego?

– Nie wiem.

– Nie wyrządzam nikomu krzywdy.

– Nie wszyscy pochwalają to, co robisz z ciałami zmarłych.

Gorszysz wielu ludzi, dręczysz ich.

– Nie ja, tylko zmarli, którzy leżą na dole. To oni prosili, żebym się nimi zajął. Chcieli tego, rozumiesz? Chcieli zostać nieśmiertelni, stać na podeście, piękni i dumni.

– Upokorzeni i oszpeчени.

– Daj spokój. Gdybym tego nie robił, zrobiłby to ktoś inny. Ludzie tego pragną. Tłumy dosłownie szturmują moje wystawy.

– Możesz spełniać swoje fantazje.

– I właśnie to robię.

– Nie boisz się?

– Czego?

– Mnie.

– Nie, dlaczego?

– Jestem morderczynią.

– Chcesz mnie zabić?

– Nie.

– Więc dlaczego miałbym się ciebie bać?

– Dlaczego mi pomagasz?

– Szuka cię cały świat, każdy policjant w tym kraju zna twoją twarz, media organizują nagonkę, jakiej nie pamiętam od lat. A ty siedzisz tu i pijesz ze mną wino. Podoba mi się to. To lepsze niż seks.

- Czego ode mnie chcesz?
- Ja? Niczego. W przeciwieństwie do Ingmara.
- Powiedziałam mu, że to niemożliwe. Nie możemy być razem.
- Ale on nie dał się spławić, mam rację?
- Tak.
- Zdaje się, że zawróciłaś biedakowi w głowie.
- Przecież nic nie zrobiłam.
- Przypominasz mu Björk. Myślę, że nie zniósłby, gdyby ją znowu stracił.
- Nie chcę tego.
- Jemu to powiedz, nie mnie.
- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ani z Björk, ani z Alfredem, ani z tym przeklętym hotelem.
- Słyszałem, że Alfred nie żyje.
- Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę tylko spokoju. Napić się wina. Mieć pewność, że moje dzieci są bezpieczne. I odjechać, jak najdalej. Gdzieś, gdzie jest spokój. Tylko ja i dziewczynki.

Milkną. Blum słyszy w tle dziecięce głosy. Widzi spojrzenie Kuhna, jego zamyślony uśmiech. Dociera do niej, że gospodarz w stu procentach kontroluje sytuację. Że wie o wszystkim, zna każdy szczegół. Że Ingmar o wszystkim mu powiedział. A on delectuje się tą wszechwiedzą. Wielki Leo Kuhn gra swoją grę, bawi się, szuka rozrywki. Blum czuje się jak w Koloseum, tańczy dla niego. A lew krąży dokoła niej. Aż w końcu się na nią rzuci.

Czuje niesmak. Chce zniknąć, wsiąść do wozu i po prostu odjechać. Bez Ingmara, tylko Blum i dziewczynki. Tylko one. Odciać się od przeszłości, cudzej historii, która ciągnie ją na dno. Nie potrzebuje dodatkowych ciężarów, dodatkowych problemów, nieodwzajemnionej miłości, która tylko przysparza jej zmartwień. Nagle to czuje, niczym nadciągający wicher. Już wie, że dalej pojedzie sama, bez niego.

Dziewczynki zasnęły. Blum przez jakiś czas siedzi z dwoma mężczyznami przy stole. We troje. Piją, rozmawiają, rzeczywistość rozmywa się coraz bardziej. Nie wspominają o tym, co ją czeka w najbliższych dniach i miesiącach. O tym, dokąd powinna się udać, gdzie może się ukryć. Nie myśli o celu podróży. Chce siedzieć, nie chce jeszcze iść spać. Wie, że kiedy się obudzi, będzie musiała podjąć decyzję. Chce siedzieć i pić. Odwlec tę rozmowę, chwilę, kiedy mu powie. Chce porozmawiać z nim tak, by go nie zranić, nie odtrącić. Chce tego uniknąć, marzy o tym, żeby ktoś ją wyręczył. Wziął go na stronę, powiedział mu, że dalej pojedzie sama. Kiedy się rozjaśni, wsiądzie do kampera i ruszy na północ, bez niego, tylko ona i dziewczynki. Nowa fryzura, okulary przeciwsłoneczne, może chustka na głowę. Nikt jej nie pozna, jakoś uda im się dotrzeć do Hamburga i wsiąść na pokład statku. Za pieniądze Alfreda kupi sobie bilet do nowego życia. Musi się tylko dostać na statek, reszta się jakoś ułoży. Wyjedzie do dalekiego kraju, znajdzie mieszkanie, załatwi paszporty, ubezpieczenie. Uda jej się pozostać z dziewczynkami w ukryciu. Nikt nie zwróci na nią uwagi, nikt jej nie pozna. Będzie wolna. Ale najpierw musi się pozbyć Ingmara, uwolnić się od niego, przekonać go, że będzie lepiej, jeśli pojedzie sama. Już podjęła decyzję, odwleka tylko to, co nieuniknione.

Nagle to czuje. Nie mówi ani słowa, ale coś wisi w powietrzu. Atmosfera z minuty na minutę robi się gęstsza. Blum coraz bardziej zamyka się w sobie, mniej mówi, już na niego nie patrzy. Unika jego spojrzenia, ignoruje jego dłoń, która raz po raz przelotnie ją muska. Blum nie chce już jego czułości, jego troski, tego uczucia, które on chyba uważa za miłość. Ma dość, nagle czuje się przytłoczona, ograniczona, zniewolona. To wrażenie pojawia się zupełnie zniemacka. Kuhn to powiedział. Ingmar musiał z nim na ten temat rozmawiać. Blum

dopija wino i chce się pożegnać, iść do dziewczynek, położyć się obok nich, zamknąć oczy, odwlec do jutra nieuniknione. Lecz Kuhn ją ubiega. *Ja się już chyba położę, na pewno macie mnóstwo do omówienia.* Wstaje, poklepuje Ingmara po ramieniu, wychodzi. *Zobaczmy się rano,* mówi, po czym znika w sypialni.

Sytuacja robi się coraz bardziej niezręczna. Blum żałuje, że nie poszła do łóżka wcześniej, że nie leży w tej chwili obok Umy i Neli. Ma ochotę zerwać się z miejsca i uciec, nie chce już nic mówić, ani słowa, chce, żeby ten dzień się skończył, chce się zapaść pod ziemię. Być jak najdalej od niego, tak daleko, żeby nie słyszeć jego głosu. Nie widzieć jego smutnej twarzy, kiedy mu powie. Nie słuchać jego sprzeciwów, nie patrzeć w rozczarowane oczy, nie czuć się za niego odpowiedzialną. Blum siedzi tylko i czeka, ma nadzieję, że coś się stanie. Że może Ingmar się wycofa, że sam zaproponuje, by dalej pojechała bez niego. Że wróci do Solveig i zajmie się ojcem, pogrzebem, hotelem. Własnym życiem. Blum czeka z nadzieją. Lecz Ingmar nie spełnia jej oczekiwań. Rozpaczliwie próbuje złowić jakieś jej zyczliwsze spojrzenie, jakieś cieplejsze słowo. Próbuje jej dodać otuchy, potrząsnąć nią, przewyciężyć ten osobliwy nastrój. *Mamy kamper, możemy pojechać, dokąd tylko zechcesz, nawet na koniec świata,* mówi. *Zawiozę was w bezpieczne miejsce.* Powtarza to po wielokroć, barwnie maluje przed nią wizję cudownej przyszłości. Próbuje poprawić jej humor, ratować to, co jeszcze jest do uratowania. Bo wie, co za chwilę nastąpi, czuje to, widzi w jej oczach. *Nie musisz się o nic martwić. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.*

Nie. Nic nie będzie dobrze. Blum nie może już słuchać jego kojących słów, mierzi ją ten niezachwiany optymizm. Nie może patrzeć, jak ciągle próbuje ją uspokoić, przekonać, że wszystko jest w najlepszym porządku, że każdy problem da się rozwiązać, że nie ma zwłok, które wykopano na innsbruckim cmentarzu, że nie ściga jej austriacka i niemiecka policja. *Wszystko będzie dobrze,* mówi z uśmiechem. Marzyciel. Blum patrzy na niego i potrząsa głową. *Nie,* odpowiada. *Dalej muszę pojechać sama.* Jej głos lekko drży, pobrzmiwa w nim nieprzyjemne wzruszenie. Blum lubi go, nie chce go ranić, lecz robi to każdym wypowiedzianym słowem. Chłoscze go, dręczy, dźga prosto

w serce. Patrzy na niego i wie, że w jego duszy rozpada się domek z kart, który z takim mozołem wznosił. Siedzi przed nią w milczeniu i słucha, chociaż w środku aż kipi. Nic nie mówi, tylko słucha. *Do końca życia będę ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Nigdy cię nie zapomnę. Tego, że uratowałeś mi życie. Bez ciebie nie byłoby mnie wśród żywych. Proszę, wybacz mi, ale nie mogę inaczej. Nie chcę cię w to jeszcze bardziej wplątywać. Chcę, żebyś żył własnym życiem. Żebyś był szczęśliwy. Beze mnie. Nie chciałam, żeby to się tak potoczyło. Przepraszam.*

Blum już na niego nie patrzy. Nie chce widzieć tych przerażonych oczu. Tego, co w nim zburzyła. Romantycznego marzenia o życiu z nią, o tym, że ucieknie z nią i jej dziećmi i wspólnie zainicjują gdzieś nowe życie. Musiała to powiedzieć, nie miała wyboru, wszystko jej mówi, że postąpiła słusznie. Kiedy się rozjaśni, odjedzie stąd, zostawi Ingmara i wszystko, co się wydarzyło w ostatnich tygodniach. Björk, Alfreda, Solveig, Ingmara. Powiedziała to, zawiodła jego nadzieje. Chociaż było jej ciężko, zrobiła to. Potem wstaje, obejmuje go. Robi to, chociaż wewnętrznie się wzdraga. Chce się rozstać w przyjaźni, wyświadczyć mu ostatnią przysługę, podarować mu na zakończenie coś miłego. Trzydzieści sekund. Podnosi go, zarzuca mu ręce na szyję. *Dziękuję*, powtarza. Potem idzie do pokoju dziewczynek. Ingmar zostaje.

Nie chce już na nikim polegać. Chce zostać sama, z dziewczynkami, jak prawdziwa rodzina. Leży obok nich z otwartymi oczami i marzy o przyszłości. O życiu gdzieś w lesie, na plaży, w jaskini, z dala od świata. Chce zrzucić z siebie to, co było. Jak ubranie, które zdjęła i zostawiła w salonie. Chce leżeć z dziewczynkami w łóżku, czuć ciepło ich ciałek. Chce być szczęśliwa. Jeszcze długo leży z otwartymi oczami i wyobraża sobie cudowne życie. Potem zasypia. I wszystko zaczyna się od początku. Wszystko wraca. Koszmar, ciągle ten sam. Jej życie.

Od początku. Adopcja, straszliwe dzieciństwo, oschli rodzice, przemoc psychiczna, ojciec, który zamykał ją w trumnie, gdy była krnąbrna. Matka, która nigdy jej nie przytuliła, nie okazała czułości. I zwłoki, odkąd sięga pamięcią. Śmierć Marka. I to, co nastąpiło potem. Choćby nie wiem jak się starała odzyskać nadzieję, że wszystko znów się ułoży, nie udawało jej się. Staczała się coraz niżej. Björk, Alfred, zamknięty pokój, pragnienie, suchość w ustach, ekshumacja, odnalezienie ciała, policyjna obława. Za dużo tego wszystkiego. Nie ma szans na normalne życie, które kończy się każdego wieczoru i zaczyna rankiem następnego dnia. Nie. Nawet teraz w jej głowie przesuwają się obrazy z przeszłości, mieszają się z czymś jeszcze, wyrywają ją z niespokojnego snu.

Siedzi wyprostowana w łóżku, próbuje się otrząsnąć z koszmaru, uporządkować obrazy i myśli. Ogląda swoje życie w przyspieszonym tempie, całą historię, aż do kolacji przy stole Kuhna. Przypomina sobie, jak zostawiła Ingmara i położyła się obok dziewczynek. Jak zasnęła i już się nie obudziła. Jakieś ręce przycisnęły ją do łóżka. Broniła się. *To tylko sen*, myśli. A mimo to ma wrażenie, że to się dzieje naprawdę. Wściekle bije rękami. Czuje na sobie jego ciężar. Kolanami przygniótł jej ramiona, unieruchomił ją. Blum próbuje kopać, lecz trafia w pustkę, nie ma szans, walka szybko się kończy. Traci przytomność.

To tylko sen. Przypomina sobie, że było ciemno. Nie ma pojęcia, ile minęło czasu. Gdzie są dziewczynki, co z nimi zrobił, dokąd jej zabrał. Czy jeszcze żyją. Jest tylko jego twarz i to wyłożone białymi kafelkami pomieszczenie. Laboratorium Kuhna, jego warsztat, miejsce,

gdzie setki zwłok zamienił w dzieła sztuki, gdzie je ciął, ćwiartował, obdzierał ze skóry. Miejsce, w którym wyjmował organy, odsłaniał nerwy i naczynia krwionośne. Tutaj deformował ludzi, krzyżował ich ciała z ciałami zwierząt, usuwał z nich płyny i zastępował je acetonem, szprycował konserwantami, zamieniał w rzeźby. Obudziła się tam, gdzie Kuhn przechowuje zwłoki. Przywiązana do stołu. To tylko sen, a mimo to czuje, jak ogarnia ją panika. Znow zaufała niewłaściwemu człowiekowi. Naiwnie wierzyła w dobro. Była taka głupia, tak mało nauczyła się ze swojej przeszłości. Tak bardzo chciała wierzyć w to, że ktoś chce jej dobra, że chce się nią opiekować. Dwa razy ten sam błąd. Znow jest bezbronna. Nie może nic zrobić, patrzy, jak wszystko jej odbierają. Jeszcze raz. Nigdy więcej.

Budzi się. Przykrywa dziewczynki, ubiera się. Jest środek nocy, w domu panuje cisza. Kuhn śpi. Ingmar również. Blum musi coś zrobić, musi, nie może pozwolić, żeby koszmar się ziścił. Z jakiegoś powodu jest pewna, że to było coś więcej niż sen. Raczej ostrzeżenie, ostatnia szansa, by chwycić los w swoje ręce, ubiec go. Schodzi bezgłośnie na parking, bierze z kampera taśmę klejącą, potem wchodzi do laboratorium Kuhna. Wszystko starannie przygotowuje, wybiera deskę. Drewnianą płytę, do której może go przywiązać, by go łatwiej przetransportować. Patrzy, gdzie go umieścić, szuka miejsca, gdzie nikt go nie usłyszy, kiedy odzyska przytomność. Pokój bez okien, z drzwiami zamykanymi na klucz.

Chce być z nim sama. Porozmawiać z nim. Chce się dowiedzieć, czy ma rację, chce to skończyć, w końcu odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Nie zamierza czekać na atak, chce go uprzedzić. Zadać właściwe pytania, wycisnąć z niego odpowiedzi, zmusić go, żeby powiedział prawdę. Blum wszystko dokładnie planuje, już nie chce być bierna, przyjmować, co niesie los. Chce być silna. Chce słuchać swojego instynktu, przeczucia, które nigdy jej nie zawiodło, woli przeżycia, która znow odezwała się z całą mocą. Blum znajduje wszystko, czego potrzebuje, potem wraca na górę. Bezgłośnie zakrada się do jego pokoju. Nie zastanawia się już, czy postępuje słusznie. Czy nie posuwa się za daleko. Po prostu uderza. Chromowana rzeźba w jej dłoni, jedno z dzieł Kuhna. Uderza w czaszkę Ingmara. Głuche łupnięcie, bezwładne ciało.

Tylko jedno drgnięcie, widać, jak przekręca się włącznik, jak uchodzi napięcie, ciało mięknie. Leży przed nią w ciszy na łóżku. Ingmar.

To tylko ciało. Stacza je na podłogę, układa na desce, którą znalazła na dole. Tak jak w jej śnie. Tylko że to ona krępuje jego, nie on ją. Obkleja jego ciało taśmą. Usta, ręce, nogi. Kiedy się obudzi, nie będzie mógł się poruszyć. Wygląda jak kokon. Obkleja go, tak po prostu. Robi to, co podpowiada jej instynkt. Tylko dlatego, że miała sen. Szaleństwo. Nie wolno jej o tym myśleć, musi go tylko znieść po schodach, szybko, nie może nikogo zbudzić. Dziewczynki. Blum zagląda do nich, daje im szybko buziaka, upewnia się, że głęboko śpią, potem ciągnie powoli deskę po marmurowej posadzce, bez pośpiechu, spokojnie zsuwa ją po kolejnych stopniach. Niemal bez wysiłku przesuwa ją przez wielką halę laboratorium, mija wypełnione formaliną kapsuły, zanurzonych w niej martwych ludzi, zwłoki wiszące na hakach, dzieła tuż przed zakończeniem procesu twórczego, zwierzęta, pociętych ludzi. Ciągnie deskę do ostatniego pomieszczenia. Otwiera drzwi, zamyka je, układa go na stole sekcyjnym. Śpi jak aniołek. Blum chce mieć pewność, pozbyć się wątpliwości, strachu.

Cierpliwie siedzi na krześle i czeka, aż Ingmar się obudzi, aż będzie mogła mu zerwać z ust taśmę. Aż poruszy wargami, powie jej wszystko, co wie. Rozwieje jej wątpliwości. Chociaż podejrzenia Blum wydają się kompletnym absurdem, jej instynkt głośno wykrzykuje w niej jego imię. Ingmar. Patrzy na jego twarz, jego uśmiech, jego spokój. Ingmar. Po co ją tutaj przywiózł? Dlaczego z nią został? Dlaczego tak się jej uczepił, dlaczego nie odejdzie, skoro go odprawiła? Dlaczego jej się przyśnił? Coś się tutaj nie zgadza, coś jej mówi, że jest w nim coś więcej niż tylko troska, więcej niż bezinteresowna sympatia, pragnienie bliskości, wspomnienie Björk. Dużo więcej. Blum próbuje odgadnąć co. Setki myśli przelatują jej przez głowę. Czeka. *Dlaczego, Ingmarze? Co z tobą nie tak? Powiedz.*

To nie potrwa już długo. Wkrótce odzyska przytomność. I będzie mówił. Biedny Ingmar. Jej wybawiciel, dobroczyńca, dzięki któremu znowu mogła zobaczyć dziewczynki. Wyciągnął ją z tego przeklętego pokoju. Dał jej pieniądze i zabrał w bezpieczne miejsce. Zmusi go, żeby powiedział prawdę. Co zrobił. I czego nie zrobił. A mimo to wciąż jakaś

częstka jej duszy się w niej buntuje, raz po raz nawiedza ją myśl, że się pomyliła. Bo to właściwie niemożliwe, bo wszystko przemawia przeciwko jej podejzleniom. Wszystko, co dla niej zrobił. Ingmar. Może umrzeć, może się już nie obudzić, niewykluczone, że uderzyła go za mocno, że krwawienie do mózgu położy wszystkimu kres, zanim zdąży otworzyć usta. Tak, to możliwe. Że się myliła. Że jest naprawdę niewinny. Mimo to Blum nie wraca na górę, do dziewczynek. Zostaje. Po raz pierwszy od dawna trzyma ster w swoich rękach. Nieważne, czy ma rację czy nie. Nieważne, czy Ingmar umrze. Blum zostaje.

Pojedzie na wschód. Wsiądzie z dziewczynkami do jakiegoś auta i zniknie. Da komuś pieniądze, żeby je wywiózł jak najdalej stąd. Wyjedzie z dziewczynkami z kraju, zacznie wszystko od nowa, nikt jej nie przeszkodzi. Uma i Nela dorosną w normalnych warunkach, jak inne dzieci. Nikt nie będzie wiedział, co było przedtem, co zrobiła, dziewczynki nigdy się tego nie dowiedzą. Blum zadba o to, żeby były szczęśliwe, już nigdy nie ściągnie na nie niebezpieczeństwa, nawet na chwilę, będzie ich strzec. Zrobi wszystko, żeby ten plan się ziścił. Nie podda się, doprowadzi wszystko do końca, nie zostawi żadnych śladów.

Do czego zdolny jest człowiek, kiedy już nic nie jest na swoim miejscu, kiedy wali się świat? Blum to wie. Czekaając na chwilę, gdy Ingmar odzyska przytomność, przypomina sobie, co zrobiła z tamtymi mężczyznami. Nie zawahała się, nie zwątpiła, zaufała swoim przecuciom, po prostu to zrobiła. Nie może pozwolić mu odejść, musi się dowiedzieć, co ukrywa, dlaczego tak łatwo przyszło jej uderzyć go metalowym posążkiem w głowę. Chce to wyjaśnić, mieć pewność, dlatego zaraz wstanie, obudzi go, porozmawia z nim. Podchodzi do niego i wypowiada jego imię. Najpierw cicho, potem głośniej. Nikt jej nie usłyszy, nawet gdyby zaczęła krzyczeć. Są sami, nikt ich nie niepokoi. Blum i Ingmar. Zostanie z nim, aż wszystkiego się dowie, wtedy wróci na górę, do dziewczynek, położy się obok nich i zaśnie. Kiedy dowie się wszystkiego, co chce wiedzieć. Ingmar. Zaufany przyjaciel, przed którym w głębi duszy drży ze strachu. Intuicja podpowiada jej, że nie powinna mu wierzyć, w zasadzie nigdy mu nie ufała, złożyła swój los w jego ręce tylko dlatego, że nie było nikogo innego. Wierzyła mu, bo tak chciała, przyjmowała jedynie jego czułość, tę odrobinę miłości, za którą tak bardzo tęskniła. Oślepił ją głód bliskości, dotyku, pragnienie bycia kochaną.

Ingmar kłamie. Blum to wie. Teraz ma już pewność. Dlatego potrząsa nim, krzyczy. Aż w końcu unosi powieki i na nią patrzy. W jego oczach kryje się przerażenie, bo jeszcze nie pojmuje, co się stało, co mu zrobiła. Czego od niego chce. Blum pochyla się nad nim, przysuwa twarz do jego twarzy, obserwuje go, słucha rozpaczliwych krzyków dobiegających spod taśmy klejącej. Jęków. Bo związała go

i zakneblowała, bo tylko stoi i patrzy. Nic nie mówi, czeka, patrzy na jego rozbiegane oczy, na jego twarz, czy czegoś przypadkiem nie zdradzi. Deska na metalowym stole, nad nim lampa. Pomieszczenie jest jasno rozświetlone. Nie ma okien. Nie ma nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą. Kuhn śpi. Nikt tu nie wejdzie i nie powstrzyma Blum. Nikt.

Powoli zrywa taśmę z jego ust. Powiedziała mu, że ma być cicho. Jeśli zacznie krzyczeć, znowu walnie go w głowę czymś ciężkim. Tym razem mocniej. Tak że już nigdy się nie obudzi, a jego oczy na zawsze pozostaną zamknięte. Po prostu uderzy go, rozwiąże i ukryje w jednym z kontenerów. *Masz być cicho. Słuchaj i odpowiadaj na moje pytania. Zrozumiałeś?* Ingmar kiwa głową. Przestaje jęczeć, choć wciąż świdruje ją wzrokiem. Na jego twarzy maluje się przerażenie, niezrozumienie. *Co ty wyprawiasz, Blum?*, pyta szeptem. Potem milczy i czeka. Boi się, wie, czego Blum od niego chce, co zamierza. Ingmar. Jego głos brzmi tak czule, opiekuńczo. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że może mieć złe intencje, że nie jest tym, kogo udaje. Nikt nie wie, że rzuca królikami o ścianę.

Przeszywa ją wzrokiem. Lecz ona nie unika jego spojrzenia, stawia mu czoło. Milczą. Mówią tylko ich oczy. Spojrzenia wędrują w tę i z powrotem. Mówią więcej niż słowa. *Rozwiąż mnie, Blum. Masz natychmiast przestać. Co ty, na litość boską, wyprawisz? Proszę cię, Blum.* Lecz Blum jest niewzruszona. Patrzy tylko na niego, mówi, że to koniec, że nie ma sensu jej dłużej okłamywać. Że już wie. Mówi to bez słów, oczami. Pomieszczenie wypełnia głos Ingmara. *Co ty wyprawisz, Blum? Co ja ci zrobiłem? Dlaczego?* Zasypuje ją pytaniami, lecz ona nie chce go słuchać. To wszystko tylko fasada, gra pozorów. Ingmar kłamie, skamle, błaga. Bo nie chce leżeć związany na tym stole, zdany na jej łaskę. Kontynuuje swą grę, oszukuje ją, próbuje ją przekonać, że popełnia fatalny błąd. Lecz Blum nie odpuszcza, nie rezygnuje, nie pozawala mu odejść.

Chcę znać prawdę. Mówi powoli, wyraźnie. Jest zupełnie spokojna. *Chcę wiedzieć, co tu jest grane. Lepiej dla ciebie, żebyś był szczery. Mnie jest zupełnie obojętne, czy umrzesz. Lepiej mi uwierz.* Wszystko w jej głosie mówi mu, że nie żartuje. Nie ma już tej małej,

zranionej, niemal zagłodzonej na śmierć Blum, która siedziała obok niego wystraszona i drżąca. Ingmar to wie, słyszy w jej głosie ten spokój, obojętność. Blum mówi śmiertelnie poważnie. Chce, żeby odpowiedział na jej pytania. Pomieszczenie wypełniają ich głosy. Jego i jej. Mówią spokojnie, nieomal czule. Dwoje dorosłych ludzi, którzy prowadzą ze sobą rzeczową rozmowę. Zadają pytania, oczekują odpowiedzi. Nie podnoszą głosu. Są zupełnie opanowani. Blum i Ingmar.

- Wiem, że coś przede mną ukrywasz.
- Niby co?
- Nie mam pojęcia, ale zaraz mi powiesz.
- Czego ode mnie chcesz?
- Porozmawiać.
- Prawie mnie zabiłaś.
- Musiałam cię znieść na dół. Dobrowolnie byś tutaj nie przyszedł.
- Czego ode mnie chcesz?
- Już powiedziałam. Prawdy.
- Proszę, Blum, zastanów się, co robisz. Wszystko wymyka ci się z rąk, nad niczym już nie masz kontroli, potrzebujesz pomocy.
- Bynajmniej.
- Uważasz, że rozsądni ludzie robią takie rzeczy?
- Nie obchodzi mnie, co kto robi, a czego nie robi. Nie ma już żadnych reguł, nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Co jest słuszne, a co nie.
- Zastanów się, Blum. Jestem po twojej stronie, uratowałem ci życie, pomogłem ci odzyskać dziewczynki. Dałem ci pieniądze, umożliwiłem ucieczkę. Dlaczego miałbym cię skrzywdzić? Czy dałem ci jakikolwiek powód, żeby mnie zranić i związać? No powiedz.
- Słucham intuicji.
- Rozwiąż mnie, Blum. Proszę.
- Nie.
- Przecież to jakieś szaleństwo.
- Nie większe niż to, co stało się w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie słyszałeś, co o mnie mówią? Zabijałam niewinnych ludzi.
- Proszę, Blum, przestań.

– Wiedziałeś, z kim się zadajesz.
– Wiedziałem, znam cię, Blum.
– Mylisz się.
– Nieprawda.
– Uwierz mi, nie masz zielonego pojęcia, kim jestem.
– Daj nam ostatnią szansę.
– Nie.
– Dlaczego chcesz wszystko zniszczyć? Przecież to dopiero początek. Moglibyśmy chociaż spróbować. Do tej pory wszystko nam się układało. Naprawdę może nam się udać.
– Nie ma żadnego „nam”, Ingmarze.
– Dlaczego to robisz?
– Bo taka jestem. Zawsze byłam.
– Proszę, Blum, chodźmy na górę, zapomnijmy o tym, co się stało. Popełniasz wielki błąd.
– Jeden mniej czy więcej, jakie to ma znaczenie?
– Nie jestem złym człowiekiem.
– Intuicja podpowiada mi coś innego.
– Przecież wiesz o mnie wszystko, niczego przed tobą nie ukrywam.
– I właśnie na tym polega problem, Ingmarze. Czuję, że kłamiesz.
– Mąci ci się w głowie, Blum. Wiem, że ostatnio dużo przeszedłeś, ale uwierz mi, wszystko się ułoży.
– Nie.
– Byliśmy sobie naprawdę bliscy. Było tak cudownie. Proszę cię, nie psuj tego.
– Chcę znać prawdę.
– Jaką prawdę, na litość boską? Niczego przed tobą nie ukrywam. Skończ to i wracaj do dziewczynek. One cię potrzebują, Blum.
– Nie mieszaj w to moich dzieci.
– Na pewno nie spodobałoby im się to, co tu robisz.
– Milcz.
– Czy one wiedzą, że ich mamusia ćwiartuje ludzi? Że prawie roztrzaskałaś mi głowę? Że mnie związałaś? One tego nie rozumieją, znienawidzą cię.

- Zamknij ryj.
- Masz mnie natychmiast rozwiązać.
- Ostatnia szansa, Ingmarze.
- Bo co? Co zrobisz? Mnie też zabijesz?
- Odetnę ci lewą nogę.
- Co?
- Albo zaczniesz mówić, albo odetnę ci nogę.
- Ty naprawdę oszalałaś.
- Owszem.
- Nie możesz tego zrobić.
- Niby dlaczego?
- Masz mnie zaraz rozwiązać, zrozumiałaś? Weźmiesz nóż

i rozetniesz taśmę. Potem porozmawiamy.

- Masz ostatnią szansę.
- Jesteś potworem.
- Być może.
- Powinienem był ci pozwolić zdechnąć.

Blum widzi, jak jego usta otwierają się i zamykają. Słyszy wychodzące z nich słowa. Jest na wyciągnięcie ręki, dziki zwierz gotowy rzucić się na nią z zębami. Zjawia się w jednej chwili. *Powinienem był ci pozwolić zdechnąć.* Stary dobry Ingmar znów rzuca królikiem o ścianę. Blum czuje jego gniew. Prowokuje ją, by zrobiła następny krok. Bo wypowiedział to zdanie. *Powinienem był ci pozwolić zdechnąć.* Bo ośmielił się wciągnąć w tę grę dziewczynki. To było jak grom z jasnego nieba. Następny krok jest logiczną konsekwencją. Jeszcze jeden kroczek. Blum już się nie waha.

Już go nie słyszy. Tego, co do niej mówi. Jak próbuje ratować głowę, jak analizuje jej psychikę, jak żałośnie stara się ją przekonać, żeby go rozwiązała. Żeby pozwoliła mu wstać i wyjść. Blum nie chce już tego słuchać. Chce poznać prawdę. Coś jej mówi, że ma rację. Będzie robić swoje, aż on zacznie mówić. Chociaż w rzeczywistości nie miała takiego zamiaru, chociaż to miał być blef, robi to, przekuwa swe słowo w czyn. Nie ma nikogo, kto mógłby ją powstrzymać. Jest sama, z wrzeszczącym, bluzgającym przekleństwami Ingmarem. Tylko ona i on. Ingmar rozpaczliwie próbuje przemówić jej do rozsądku, skłonić ją,

by go uwolniła. Lecz Blum wie, że on coś ukrywa, musi tylko nacisnąć właściwy guzik. Nieważne, jakimi środkami, nieważne, jak będzie okrutna. Są sami. Tylko Ingmar i Blum.

Odkąd się obudziła, wciąż sobie to przypomina. Tamten pokój, dywan, na którym leżała. Pamięta smak w ustach, odór uryny. I to, że była przekonana o jego winie. Nie mogła się ruszać. Nie mogła wykonać nawet najdrobniejszego gestu, była tylko śmierć, tuż obok. Niewiele brakowało, a wszystko by się skończyło, już nigdy by się nie śmiała, już nigdy nie zobaczyłaby Umy i Neli. Czuła się kompletnie bezradna. Już nigdy nie pozwoli, by to się powtórzyło. Nigdy. Dlatego zakłada fartuch, okulary i włącza piłę.

Wyobraża sobie, jak palce odpadają od stopy Ingmara. To tylko ostrzeżenie, sygnał, że nie żartuje. Że jest jej zupełnie obojętne, co się z nim stanie. Czy go boli, czy się wykrwawi. Blum chce wiedzieć, dlaczego tak naprawdę leżała w tamtym pokoju, dlaczego niemal umarła. Może ktoś chciał ją zatrzymać na zawsze, by móc ją kochać, troszczyć się o nią. A może żeby ją wypchać. Na zawsze umieścić w gablocie, skrzyżowaną z antylopą.

Ogarniają ją wątpliwości. Sama nie wie dlaczego, ale wątpi, żeby to naprawdę była sprawka Alfreda. Patrzy na Ingmara i zastanawia się, w milczeniu. Słyszc tylko cichy szum piły. To precyzyjna maszyna, którą Kuhn nadaje ostateczny kształt swoim dziełom. Zamrożonym ciałom, które kroi w plastry, ludziom, których rozcina i konserwuje. Produkuje w tym pomieszczeniu kawałki ludzkiego ciała, preparaty na potrzeby nauki, materiał pogładowy wielkości steku. Tą właśnie piłą. Pracuje niemal bezgłośnie, słyszc tylko szum, tnie czysto i precyzyjnie. Ingmar próbuje się bronić, miota się, chce zerwać pęta. Na próżno. Blum przytrzyma jego stopę, odetnie tylko mały kawałek, tylko jeden palec. Nie zada mu żadnych innych ran, wykona tylko małe cięcie, popłynie odrobina krwi, powstanie niewielka rana, która skłoni go do mówienia. Groźba rozwiąże mu usta. Będzie mówił, głośnie i wyraźnie.

Ingmar. Obrzuca ją przekleństwami, a ona patrzy na niego i czeka. Na jej twarzy maluje się spokój, jej oczy patrzą beznamiętnie, nie wzrusza jej jego krzyk, przekleństwa, które sypią się z jego ust. Ingmar czuje, że jeśli nie zacznie mówić, Blum będzie kontynuować swe dzieło. Wie, że jest śmiertelnie poważna. Zabiła i poćwiartowała pięciu ludzi, nie zawaha się, odetnie mu nogę. Ingmar wie, że to jedyny sposób, by ją powstrzymać. Sekunda dzieli go od tego, by wszystko stracić. Palec, nogę, być może życie. Dlatego zaczyna mówić, przypomina jej to, co ich łączyło, chwile bliskości, tamtą noc. Ma nadzieję, że oprócz gniewu tli się w niej jeszcze resztką współczucia. Jego oczy błagają o litość. Na próżno. Blum jest nieugięta. Jej milczenie napawa go lękiem. Ingmar wie, że ta piła bez trudu przetnie ciało i kości. Kiedy on obawia się najgorszego, Blum myśli o Umie i Neli. Leżą na jakiejś łące, Blum bawi się z nimi wśród traw, biegają, śmieją się, są takie beztroskie. A piła

wciąż szumi, Ingmar błaga o życie. O to, żeby wsiadła do kampera i odjechała. Lecz Blum zostaje. Nagle dociera do niej, że była głupia. Niczego nie rozumiała. Niczego. Myślała, że to normalne, że to zwykły przypadek. Że nagle pojawia się jej nieznana siostra, Alfred, Solveig. I Ingmar. Rodzina, której zawsze tak bardzo pragnęła. Wylądowała w samym środku horroru. Mężczyzna przywiązany do stołu, piła, strach, rozpacz, obojętność. Bo wszyscy są martwi, tamte cholerne świnię, Schrettl, Alfred. Wszyscy są martwi. Jakie to ma znaczenie, jeden trup więcej lub mniej, kogo to obchodzi. To tylko mięso, kości, ciało, które ukryje w wannie z formaliną. Ciało bez imienia, bez historii, nagie. Jedno z setek przechowywanych w tym miejscu. Jeszcze jeden kawałek mięsa. Bo kiedy przestanie oddychać, nie zostanie już nic. Zupełnie nic, tylko rozkład. Spotkali się tylko na chwilę. Ingmar i Blum. Odbyli krótką podróż we dwoje. I żegnają się w gniewie. Obrzucają się garścią słów, nim piła rozdzieli ich już na zawsze.

– Co chcesz usłyszeć?

– Wszystko.

– A potem pozwolisz mi odejść?

– Nie wydaje mi się, żebyś w tej chwili mógł się targować.

– Jeśli pozwolisz mi odejść, powiem ci wszystko, co chcesz.

– Decyzja nie należy do ciebie, mój drogi.

– Obiecay mi, że mnie puścisz. Przysięgam, że już nigdy mnie nie zobaczysz. Pomogę ci zniknąć. Daję słowo.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– A pieniądze?

– Nie rozumiem.

– Może jeszcze tego nie zauważyłaś, ale nie ma ich w twojej torbie.

W przedziwny sposób zniknęły. Powinnaś była ich lepiej pilnować.

– Wiedziałam, że coś knujesz.

– Nie wiedziałaś. Spałaś ze mną. Wciąż nie masz zielonego pojęcia, co się tu dzieje. Nic nie wiesz, masz tylko jakieś głupie przeczucia. Jesteś żalosa, jesteś kompletnym wrakiem. Zwykłą morderczynią. Wysłali za tobą list gończy.

– Lepiej się zamknij.

– Potrzebujesz mnie, Blum. Beze mnie nie dasz sobie rady. Złapią

cię na najbliższym postoju, trafisz za kraty i nigdy już nie zobaczysz swoich dzieci. Rozumiesz? Mogę ci pomóc, Blum. Mam pieniądze, mogę cię zawieźć w bezpieczne miejsce, dbać o ciebie. Bo naprawdę cię lubię. Przecież wiesz.

– Zamknij się wreszcie.

– Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż ci się zdaje.

– Nie, mój drogi, nie jesteśmy. Nie jestem taka jak ty. Wierz mi, jestem zupełnie inna.

– Mogło być tak pięknie, Blum.

– Ale nie jest, prawda? Leżysz związany na stole i jeśli w końcu nie zaczniesz mówić, obetnę ci palec, potem drugi. Po kolei. Wierz mi, Ingmarze, zrobię to. I to zaraz.

– Nie odważysz się.

– Przeciwnie. Powiedziałam ci, najpierw palce, potem stopy.

A jeśli nadal nie będziesz mówił, odetnę ci nogę.

– Bzdura.

– Najpierw jedną, potem drugą. A jeśli nadal będziesz uważał, że cię potrzebuję, będę cię dalej. Odetnę ci ręce i głowę. Aż nic z ciebie nie zostanie.

– Nie mogłabyś mi zrobić czegoś takiego.

– Mogłabym, mój drogi. Już to robiłam. To nic trudnego. Co prawda, na początku musiałam się przemóc, ale za drugim razem to już była prawie rutyna. A z tą piłą to naprawdę łatwizna.

– Bez pieniędzy daleko nie zajedziesz.

– Sram na twoje pieniądze, Ingmarze.

– Terefere.

– Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeśli nie zaczniesz mówić, zacznę cię ciąć.

– Co chcesz wiedzieć, na litość boską?

– Co się stało z Björk?

– Dlaczego chcesz nagle rozmawiać o Björk?

– Bo siedzi na grzbiecie zebry w muzealnej gablocie. To nie jest normalne. Od początku powinnam była się zorientować, że coś tu nie gra. Powinnam była trzymać się od tego z daleka. Jesteście szaleni, wszyscy. Björk, ty, Alfred. Gdy zobaczyłam pusty hotel, włączyły mi się

wszystkie alarmy. Od samego początku.

– Ale mała biedna Blum ich nie słyszała, prawda?

– Niestety.

– Byłaś taka wzruszająca. Naprawdę wierzyłaś, że wychowaliśmy się w raju, Björk i ja. Zżerała cię zazdrość, widziałem to w twoich oczach. Myślałaś, że mieliśmy więcej szczęścia niż ty.

– Co zaszło między Björk i Alfredem?

– Nie rozumiem.

– Wykorzystywał ją?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Więc co?

– Nic. Staruszek naprawdę ją kochał, była jego oczkiem w głowie, zrobiłby dla niej wszystko. Świata poza nią nie widział. Wielki Alfred Kaltschmied i jego córeczka. Spacerowali za rączkę po lesie. Był taki dumny, jak stary paw.

– A ty?

– Maszerowałem grzecznie za nimi.

– I to ci się nie podobało?

– A jak myślisz?

– Dlaczego dałeś mi do zrozumienia, że ją wykorzystywał?

Dlaczego, na litość boską, to powiedziałeś?

– Coś ci musiałem powiedzieć, prawda?

– Dlaczego mnie okłamałeś?

– Daj spokój, Blum. Nawet ty nie możesz być taka głupia.

– Dlaczego? Chcę wiedzieć.

– Bo był skończonym łajdakiem. Chciałem, żebyś go znienawidziła, na nic innego nie zasługiwał. Poza tym to było dziecinnie łatwe.

– Co?

– Wmówić ci tę bajeczkę. Że jest starym zbrodźcą.

– Chcę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Co naprawdę zrobił.

To twoja ostatnia szansa.

– Kochał ją bardziej niż mnie.

– I?

– Faworyzował ją, im bardziej wynosił ją pod niebiosa, tym

bardziej ja pogrążałem się w otchłani.

– Byłeś zwykłym dupkiem.

– Tak. Zawsze. Odkąd pamiętam.

– Kuternoga, żaloszny bufon, którego nikt nie lubi. Musiałeś mieć gówniane życie.

– Owszem.

– I dlatego go zabiłeś?

– Słucham?

– To ty zabiłeś Alfreda.

– Żartujesz? Co ci strzeliło do głowy? To było samobójstwo, sama widziałaś.

– Nieprawda. Udało ci się wszystko zainscenizować tak, żeby to wyglądało na samobójstwo. Zastrzeleńś go i wszystko zaaranżowałeś.

– Bzdura.

– On się nie zabił.

– Oszalałaś? Dość tego!

– Nie krzycz, Ingmarze. Wolałabym, żebyś nie obudził dziewczynek. Chyba rozumiesz, prawda?

– Tobie kompletnie odbiło. Nie rozumiesz, że już niczego nie kontrolujesz? Że wszystko wymyka ci się z rąk?

– Zaraz odetnę ci chorą nogę. To nie powinno za bardzo boleć.

– Nie zrobisz tego, Blum. Nikomu niczego nie odetniesz. Nigdy więcej. A wiesz dlaczego? Bo jesteś dobrym człowiekiem.

– Właśnie. I dlatego podam ci środek przeciwbólowy. Zajrzałam do szafki w łazience. Kuhn ma mnóstwo leków. Kilka tabletek i porządny łyk whisky na pewno ci ulżą. Pięćdziesięcioletnia single malt, wyborny trunek. Przyniosłam ją z barku Kuhna. Wierz mi, smakuje rewelacyjnie.

– Popełniasz błąd, Blum.

– Połknij to.

– Jesteś w błędzie.

– Popij.

– Będziesz tego żałować.

– Nie sądzę.

– Proszę, Blum, nie rób tego.

– *Sorry*.

Dosłownie czuje zapach jego strachu. Połyka środek przeciwbólowy i whisky, bo już wie, że Blum nie żartuje. On już to wie, podczas gdy ona nadal bije się z myślami, zastanawia się, co zrobić. Czy naprawdę powinna wykonać następny krok, czy raczej rozwiązać go i puścić wolno? Jest znużona i wyczerpana. Czuje kompletną pustkę, chce już tylko jednego, zostać sam na sam z dziewczynkami. Zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu, jak najdalej od tego wszystkiego, od jego ust, z których w końcu dobywa się prawda. Teatryk, który odegrała, skłania go do mówienia. Blum ma dość, chce to zakończyć, nie ma ochoty tego przeciągać. Chwyta jego nogę i przysuwa ją bliżej. Piłą dotyka skóry. Tylko na moment. Bo Ingmar krzyczy i jednym zdaniem sprawia, że Blum odsuwa w czasie wykonanie wyroku.

W jednej chwili poznaje prawdę. Dowiaduje się, co się zdarzyło. Ze szczegółami. Naciska guzik, wyłącza piłę, słucha. Milczy, tylko jej oczy wpatrują się w jego wargi. Co jakiś czas kiwa głową na znak, że ma mówić dalej, że chce wiedzieć więcej. Ingmar opowiada jej o wszystkim. Spokojnym głosem snuje straszną opowieść, a ona na próżno szuka słów, którymi mogłaby mu odpowiedzieć. To, co słyszy, sprawia, że zaczyna go nienawidzić. Z minuty na minutę, słowo po słowie rośnie w niej pragnienie, by zadać mu ból. By go ukarać. Nacisnąć guzik, włączyć piłę. Skończyć to, raz na zawsze.

Słucha beznamiętnej relacji. Wyznania mordercy. Dowiaduje się, jak to zrobił, co przy tym myślał. Ingmar opisuje to wszystko, jakby mówił o czymś najnormalniejszym na świecie. Jakby nie miał wyboru. Rzeczowo argumentuje, apeluje do Blum, by go nie osądzała. *Przecież wiesz, o czym mówię. Zrobiłaś to samo. Ty też nie miałaś wyboru, musiałaś podjąć decyzję.* Porównuje się z nią, chce ją przeciągnąć na swoją stronę. Jeszcze raz zapewnia, że chciał ją chronić. Że zrobił to tylko dla niej. Mówi o wypadku w ogrodzie. O Gertrud.

Jego słowa są jak lawina. To on zwolnił hamulec. Opisuje, jak traktor stoczył się do tyłu, jak zaskoczona Gertrud zniknęła pod ogromnymi kołami. *Łatwizna*, mówi. Zwykły wypadek. Gertrud zaczęła rzeźnić, nie umarła od razu, konała ponad pięć minut. Aż w końcu przestała oddychać. *Chciała zadzwonić na policję. Przyszła do mnie*

i powiedziała, że cię wyda. Chciała wszystko zepsuć, zanim się jeszcze zaczęło. Zrobiłem to dla ciebie, Blum. Dla niej zabił Gertrud, zmiażdżył jej klatkę piersiową. Poświęcił pionka, by zdobyć królową. Blum. Powinna być mu wdzięczna. Zrozumieć go. Nie ma w nim nawet cienia skruchy.

Gertrud umarła, bo Blum go nie powstrzymała, bo niczego nie rozumiała. Usunął Gertrud z jej drogi, niczym stare ogrodowe krzesło, które tylko zawadza. Blum zignorowała wszystkie niepokojące znaki, powinna była się zorientować, nie powinna mu była wierzyć w ani jedno słowo, w ani jeden gest. Przypomina sobie wszystko, co jej powiedział, z czego ona zwierzyła się jemu. Blum jest na siebie wściekła, nienawidzi się za to. Nienawidzi jego. A on leży i mówi. Od dziesięciu minut wyznaje prawdę. Przywiązany do stołu, spokojny, niemal zrelaksowany, bo postanowił odwołać się do jej poczucia sprawiedliwości. Oboje są mordercami, oboje zabijali ludzi, nie tylko króliki. Przypomina jej, że i ona ma na sumieniu człowieka. Że jest takim samym bezdusznym potworem jak on. Że zabiła. Ledwie dwa lata temu. W nocy, kiedy jej córki leżały w łóżku, popełniła morderstwo. Przypomina jej wszystko, o czym chciała zapomnieć, wyciąga to na światło dzienne. Blum nienawidzi go za to. Na wszelkie sposoby próbuje dostrzec różnicę między sobą a nim, udowodnić sobie wyższość swych racji, motywów. Próbuje potępić go za to, co zrobił. Próbuje, lecz jej się to nie udaje. Ma ochotę pokroić go niczym bochen chleba, lecz nie potrafi. Słucha go i zastanawia się, czym się od niego różni. Do czego jeszcze byłaby zdolna. Czy naprawdę chce tego, co podpowiada jej intuicja. Zabić go za to, co zrobił, o czym jej opowiedział. Torturować go. Za to, że zabił również swojego ojca.

Alfred. Starszy mężczyzna w swoim gabinecie. Pijany, samotny, zgorzkniały. Bo Blum odeszła, bo nic mu już nie zostało. Bo jego syn nie jest taki, jak sobie wymarzył. Butelka whisky na stole i Ingmar, który przystawia mu do podbródka pistolet. *Łatwizna*, mówi. *Staruszek nawet tego nie zauważył, nic nie czuł, zginął na miejscu.* Po wszystkim włożył mu broń do ręki. Samobójstwo, zupełnie zrozumiałe w tej sytuacji. Alfred był niewinny. A Ingmar patrzył, jak Blum kopie martwe ciało. Na podłodze, kilka dni temu. Blum przypomina sobie cuchnący pokój,

klucz. I suchość w ustach.

Czuje, jakby opadła zasłona. Nagle widzi, co się za nią kryje. Że rozpościera się tam cały krajobraz zła. Jest inaczej, niż myślała. Dużo gorzej. Ingmar mówi i mówi. Sam z siebie. Więcej, niż chciała usłyszeć. Nie przestaje. To, co mówi, paraliżuje ją. Im więcej się dowiaduje, tym bardziej czuje się bezsilna. Nie jest już w stanie podjąć decyzji, jest zszokowana prawdą, która spada na nią tak nagle. Świat wiruje jej przed oczami, próbuje wszystko uporządkować, musi zaakceptować fakt, że to nie Alfred ją uwięził, lecz Ingmar. Że przeczucie jej nie myliło, że do pokoju wszedł wtedy diabeł, nie zbawca. Że Ingmar chciał tylko sprawdzić, czy Blum jeszcze żyje. Kiedy się nad nią pochylił. Nasłuchiwał, czy jeszcze oddycha. Ingmar, nie Alfred. Bo chciała wyjechać, bo nie mógł jej mieć, bo Blum odwróciła się do niego plecami. Zostawiła go, tak jak Björk. Nie potrafił sobie poradzić z tym odrzuceniem. Miłość zamieniła się w udrękę. A potem w nienawiść.

To on ją ogłuszył w podziemnym garażu. Nie zawahał się, chciał ją zabić. Jednym ciosem odebrać wszystko. Teraz mówi, że tego żałuje. *Nie chciałem cię skrzywdzić, ale nie miałem wyboru. Nie chciałem, żebyś wyjechała. Mogło być tak pięknie. Lubię cię, Blum.* Sukinsyn. Blum czuje, jak rozsadza ją gniew. I nienawiść. Bo Ingmar każdym słowem, które wypowiada, wypisuje na jej czole słowo „morderczyni”. *Jesteśmy do siebie podobni, Blum. Zabijanie jest takie łatwe. Jak zabawa. Chodźmy na górę i napijmy się wina.* Mieliby usiąść obok siebie na sofie. Ona i on. Ingmar mówi o tym zupełnie poważnie, snuje kolorową wizję przyszłości. Chociaż jest w sytuacji bez wyjścia, chociaż leży związany na stole, zachowuje się tak, jakby to, co mówi, nie wiązało się z żadnymi konsekwencjami. Jakby jego słowa zupełnie po niej spływały. Świadomość, że chciał ją zabić, że zostawił ją, by umarła z pragnienia. Dla niego to oczywiste, że Blum mu przebaczy. Bo jest wobec niej szczery, to ma wystarczyć. Odślania przed nią spaczony świat, swoje myśli, wyjaśnia jej swój sposób rozumowania. Dosłownie odbiera jej mowę. Blum nie wie, co powiedzieć, jak zareagować. Od czego zacząć, co obciąć mu na początku. Słucha go, nic nie robi, tylko patrzy i czeka. Próbuje kontrolować swój gniew, zmusza się, by myśleć o Umie i Neli. O tym, że leżą na górze i śpią. Że o niczym nie mają pojęcia. Ta myśl

powstrzymuje ją przed tym, co chce uczynić.

Chce uciec, ale zostaje. Jest rozdarta. Chce, żeby zapłacił za wszystko, co zrobił. A jednocześnie nie chce podejmować żadnej decyzji, chce stąd po prostu wyjść, nie słuchać opowieści o jego dzieciństwie, o Björk. O tym, że ją kochał, lecz ona zawsze trzymała go na dystans. Nigdy nie było między nimi bliskości. Tylko zazdrość. Zraniony chłopiec. *Liczyli się tylko Alfred i Björk. Dla mnie nie było miejsca. Chciałem tylko należeć do rodziny, nic więcej. Żeby mnie polubiła.* Lecz Björk za każdym razem go odrzucała, odtrącała, raniła. Nieodwzajemniona miłość. Ileż to razy próbował sprzymierzyć się z nią przeciw ojcu. Zawsze brała stronę Alfreda. Tak jak Blum. I Gertrud. Ingmar był tylko niekochanym dzieckiem. Niepełnosprawnym chłopcem, odmieńcem. Od dnia wypadku, odkąd spadła na niego własna matka.

Może to przeznaczenie? Kiedy Ingmar roztacza przed nią wizję swojego zasranego życia, Blum zastanawia się, dlaczego znów musi stać nad przepaścią, dlaczego w ogóle wplątała się w tę historię. Zastanawia się, dlaczego Mark musiał umrzeć, dlaczego życie nie może być tak zwyczajnie dobre. Ile jeszcze da radę znieść, co musi się zdarzyć, żeby wreszcie mogła się zatrzymać, odetchnąć, zasnąć. Nie zna odpowiedzi na te pytania, słucha tylko, czuje pragnienie, by wszystko zatrzymać, nacisnąć klawisz „stop” i wyjść, zostawić wszystko za sobą. Już, teraz. Chce odejść, pozwolić mu mówić, zostawić sam na sam z jego historią. Próbuje nabrać dystansu. Nie chce już go zabijać, nie chce już nic czuć, nie chce nim gardzić, nienawidzić go, wymierzać mu kary. Pozbywać się jego szczątków. Nie chce już usuwać śmieci z powierzchni ziemi.

Nieważne, co jeszcze powie. Nie chce go dłużej słuchać. Lecz nagle znowu pojawia się Schrettl. Jego zwłoki na skraju drogi. Ingmar sam przypomina jej o tej małej chciwej gnidzie, która chciała wszystko zniszczyć. Do tej pory myślała, że to ona go zabiła. Lecz to nie ona ma go na sumieniu, tylko Ingmar. To nie jej ciosy nożem go zabiły, lecz ręka Ingmara, gdy zasłonił mu nos. Leżał na podłodze, zakneblowany, nie mógł oddychać. Blum spała. *Co miałem zrobić? Odzyskał przytomność, jęczał i krzyczał, nie zostawiłby cię w spokoju, tropiłby cię tak długo, aż w końcu by cię odnalazł. Wszystko by zepsuł. To było*

jedyne wyjście. Ingmar upiera się, że nie mogli go wyrzucić po drodze, darować mu życia. Chciałem cię tylko chronić. Pomóc ci. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, rozumiesz? Musisz mi uwierzyć. Zaklina ją. Próbuje jej dosięgnąć głosem, bo ciało ma skrępowane.

Za dużo już tej szczerości. Schrettl. Potem Björk. Kolejny cios w brzuch, potężny, znienacka. Blum jak przez mgłę słyszy, że to Ingmar jest odpowiedzialny za śmierć swojej siostry. Jej siostry. Prawda staje się coraz bardziej przerażająca, straszna, niewiarygodna. Trudno uwierzyć, że człowiek jest zdolny do czegoś takiego. Zrzucił ją, ponieważ się pokłócili. *Spadła, po prostu. Broniła się. Nie chciałem, żeby wróciła do Afryki. Chciałem tylko, żeby została.* Doszło do przepychanki, Björk straciła równowagę i spadła. Zabił własną siostrę. Opowiada, jak patrzył w dół, gdy uderzyła o posadzkę, z jej głowy popłynęła krew. Björk na białej marmurowej podłodze. *Musisz mi uwierzyć, Blum. To był wypadek. Żałuję tego. Tak jak tego, że pozwoliłem ją wypchać, że podrobiłem jej podpis. Ale nie mogłem inaczej. Nie chciałem, żeby po prostu umarła, zniknęła. Nie chciałem być za to odpowiedzialny. Musisz mnie zrozumieć.* Mówi cichym głosem, natarczywie. Żąda współczucia, zrozumienia. Lecz Blum milczy. Jej serce jest szczelnie zamknięte, już nic nie czuje. Ani współczucia, ani gniewu. Nic, zupełnie nic.

Ma gdzieś, co się z nim stanie, co robi, kiedy za kilka godzin go znajdą. Nie dogoni jej, nie znajdzie, już nigdy jej nie zobaczy. Blum nie będzie czekać, aż się rozjaśni, zaraz pójdzie na górę i wyjadą. W środku nocy ruszy z dziewczynkami autostradą na północ. Robi jej się lekko na sercu. Podjęła decyzję, wyjedzie, zacznie wszystko od nowa. Zapomni o nim. Usta Ingmara wciąż się poruszają, lecz Blum nie słyszy już płynących z nich słów. To, co mówi, nie ma już żadnego znaczenia. Ani jego słowa, ani uśmiech. Ten wstrętny grymas, który nagle pojawia się na jego twarzy. To wszystko nie ma już żadnego znaczenia. Jest tylko Blum. Przez kilka sekund czuje, jak w jej sercu wzbiera nadzieja. Do chwili gdy od tyłu obejmuje ją czyjeś ramię. I zapach chloroformu wdziera się jej do nosa.

Najpierw czuje łupanie pod czaszką i delikatny dotyk jedwabnej pościeli. Materac, na którym leży, zapach kawy, świeżego chleba. Jest kompletnie skołowana, nic nie rozumie. Minutę temu otworzyła oczy, leży w łóżku, w którym zasnęła, wokół panuje cisza, na jej ciele nie ma żadnych ran, śladów krwi. Tylko to okropne łupanie w głowie. Tak jakby nic się nie wydarzyło, jakby nikt jej nie obezwładnił, nie uśpił. Jest tylko ten flauszowy koc, który ją okrywa.

Pokój gościnny Kuhna. Jej oczy wędrują po suficie i ścianach, próbuje odzyskać orientację. Dopiero co była na dole, w laboratorium, dopiero co Ingmar leżał przed nią na stole i śmiał się szyderczo. Broniła się, machała rękami, chciała się uwolnić z uścisku, zerwać z ust chustkę, wstrzymać oddech, nie wdychać chloroformu. Bez powodzenia, był silniejszy od niej, trzymał ją tak długo, aż wszystko rozmazało jej się przed oczami. Ostatnie, co usłyszała, to śmiech Ingmara. I słowa, które skierował do Kuhna. *Jak zwykle w ostatniej chwili, mój drogi. Już niemal straciłem nadzieję.* Potem zrobiło się ciemno.

Nie ma pojęcia, jak długo spała. Wie tylko, że ktoś ją położył do łóżka. Kuhn? Ingmar? Nic z tego nie rozumie, szuka jakiegoś wyjaśnienia. Chce wiedzieć, dlaczego Kuhn ją uśpił, dlaczego wciąż żyje, dlaczego leży w tym łóżku. Naciska klawisz „play”, koszmar trwa, nie chce się skończyć, strach nie odpuszcza. Strach, który rośnie, bo nie widzi dziewczynek. Nie ma ich przy niej, jej ręce chwytają pustkę. Uma i Nela, ich małe ciała, ich śmiech. Blum jest w pokoju sama.

Wyskakuje z łóżka. Wciąż jest oszołomiona tym, co usłyszała od Ingmara. Rzucił nimi wszystkimi o ścianę. Schrettl, Gertrud, Alfredem, Björk. Wszyscy nie żyją. Zadała się z psychopatą. I jego nie mniej szalonym przyjacielem. Kuhn. Ten szalenię uratował Ingmara, uwolnił go. Przyjaciela na śmierć i życie. Blum spodziewa się najgorszego. Przez chwilę sądzi, że Ingmar zmusi ją, żeby została, wróciła z nim do hotelu. Obawia się, że Ingmar wykorzysta w tym celu dziewczynki. Wyobraża sobie, jak siedzą związane. Musi je znaleźć. Musi! Jest jak dziki zwierz, samica gotowa bronić swych młodych, rozszarpać Ingmara i Kuhna na strzępy. Myśl, że Umie i Neli mogło stać się coś złego, jest nie do zniesienia. Blum wypada z pokoju, biegnie

korytarzem do kuchni. Słyszy głosy. Biegnie dalej, nie zważa na to, że ją słychać, nie martwi się, że ich ostrzeże, chce tylko jak najszybciej ich dorwać. Blum. Rzuci się na nich, nie zawaha się ani chwili, złapie nóż i uderzy. Z impetem wpada na drzwi, rzuca się do kredensu i chwytając stojaka nóż do mięsa, jest gotowa walczyć, zabić, umrzeć. Lecz to, co widzi, sprawia, że traci grunt pod nogami.

Jej oczom ukazuje się scena, której nie pojmuje. Stoi w miejscu i patrzy. Chowa nóż za plecami. Nie wie, co robić, siłą woli zmusza się do uśmiechu. Uma i Nela spoglądają na nią z radością, zeskakują z krzesel, żeby uściskać i wycałować mamusię, potem siadają. Obok niego. Leo Kuhn smaruje dla nich bułeczki. Mężczyzna, który ją obezwładnił, żartuje z jej dziećmi. Siedzą sobie przy stole i jedzą śniadanie, śmieją się, żartują, jakby nic się nie stało. Jakby nikomu nie groziło niebezpieczeństwo.

Blum omiata wzrokiem pomieszczenie. Ani śladu Ingmara. Tylko Kuhn i dziewczynki, tylko ten serdeczny nastrój, bułeczki z czekoladą, które znikają w małych usteczkach. Ten widok kompletnie ją rozbraja, nagle opuszcza ją strach, znikają złe smoki, wilk chcący porwać jej dzieci. Ze zdumieniem stwierdza, że z jakichś nieznanych jej zupełnie powodów nie ma niczego, z czym musiałyby walczyć.

Jeszcze przez chwilę ściska nóż, potem upuszcza go na podłogę. Powoli wyślizguje się jej z dłoni, bo nie ma już powodu go ściskać. Dobry wujek Leo rozwesela dziewczynki. *Mamusiu, Leo jest fajny. Czytał nam bajkę. Chcemy tu zostać. Prosimy, mamusiu.* Oczy nieświadomej niczego Neli lśnią, Kuhn przyjaźnie kiwa głową do Blum, by się do nich przysiadła. Jakby to było coś najnormalniejszego na świecie. Wspólne śniadanie. Rozejm. Kawa z nieprzyjacielem. Kuhn i Blum. I zachwyty dziewczynek. Blum nie chce im go odbierać, chce choć przez chwilę popatrzeć na nie, gdy są szczęśliwe. Nie wspomina ani słowem o tym, co się stało. Dopóki Uma i Nela siedzą przy stole. Liczy się tylko to, co kryje się w ich dziecięcych główkach, przyjazny świat, poczucie bezpieczeństwa, mamusia, która wszystko ma pod kontrolą. Teatr pozorów. Dopóki jej małe aniołki nie wstaną i nie zaczną biegać po mieszkaniu. *Tak, mamusiu, będziemy uważać, niczego nie potłuczemy. Nie martw się, mamusiu, Leo nam pozwolił.* Znikają. Tylko

od czasu do czasu słyhać ich chichot, gdy ruszają na podbój ogromnego mieszkania. Blum i Kuhn zostają przy stole, sami.

– Gdzie jest Ingmar?

– Tutaj go nie ma.

– Jeśli mi natychmiast nie powiesz, gdzie jest, zabiję cię.

– Nie masz powodu się denerwować. Wszystkim się już zająłem.

– Dlaczego mnie uśpiłeś? Gracie w jednej drużynie, pozwoliłeś temu sukinsynowi uciec.

– Bynajmniej.

– Nie rozumiem.

– Przepraszam, ale musiałem cię uśpić, nie miałem wyboru.

– Nadal nie rozumiem.

– Nie chciałem, żebyś to ty go zabiła.

– Dlaczego?

– Bo ja też chciałem to zrobić. To była sprawa między Ingmarem a mną. Nie musisz się już o niego martwić. Nie robi ci już nic złego.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

– Wszystko słyshałem. Wiem, co zrobił. Wiem, że cię skrzywdził.

– Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiedziałeś?

– Nie miałem pojęcia.

– Myślisz, że ci uwierzę?

– Przyszedł do mnie trzy lata temu i przyniósł podpisany przez Björk akt darowizny. Miałem umieścić jej ciało na grzbiecie zebry, opowiedział mi dokładnie, jak to sobie wyobrażała.

– A ty zrobiłeś to, co ci powiedział.

– Mówił, że tego chciała. Nie miałem powodu mu nie wierzyć, był jej bratem. Zawsze mu ufałem.

– Nie byłeś zdziwiony?

– Na dokumencie widniał jej podpis. A ja dawno nie widziałem Björk, nie miałem pojęcia, co się z nią dzieje. Wiedziałem, że się zabiła, o nic więcej nie pytałem.

– Co z nim zrobiłeś?

– Ingmar już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

– To twój najlepszy przyjaciel.

– To był mój najlepszy przyjaciel. Nie wiedziałem, że jest

szaleńcem. Chociaż w sumie mogłem się tego domyślić. Kiedy zaczął zabijać zwierzęta. To on wymyślił temat naszej pracy dyplomowej. Na pewno ci o tym opowiedział, mam rację? Chciał za wszelką cenę zostać kimś wyjątkowym.

- Tak jak ty. To, co robisz, też nie jest całkiem normalne.
- Tylko że ja odniosłem sukces, a on nie. Chciałem mu pomóc.
- Dlaczego?
- Był moim przyjacielem.
- Tylko dlatego?
- Tak.
- A Björk?
- Nie rozumiem.
- Kochałeś ją?
- Być może.
- Ale bez wzajemności?
- Niestety. Mimo to było cudownie.
- A teraz?
- Teraz cię stąd zabiorę.

Jest ciemno i ciasno. Tak ciasno, że prawie nie może się ruszyć. Znow jest zamknięta, zdana na czyjąś łaskę. Lecz nie jest sama. U jej boku leżą dziewczynki, tuż obok. We trzy leżą w ładowni samochodu, zamknięte w ciasnej skrzyni. Zatrzaśnięte wieko, kompletna ciemność, Blum ściska je mocno. Umę prawą ręką, Nelę lewą. Wtulają się w nią, Blum słyszy, jak oddychają. Spokojnie i głęboko. Śpią. Już dwie godziny.

Jedzie zamknięta w karawanie. Cisza, z zewnątrz dobiegają tylko stłumione odgłosy ulicy. *Cokolwiek się stanie, macie być cicho, powiedział. Jeśli wóz się zatrzyma, macie się nie odzywać. Musisz zrobić to, co ci mówię.* Wywiercił w kilku miejscach otwory wentylacyjne. W bocznych ścianach, tak żeby nie było ich widać po otwarciu ładowni. Przykrył ogromną trumnę wiekiem i zatrzasnął drzwi auta. Blum nie miała wyboru, przystała na jego plan, położyła się w trumnie. Ma po prostu leżeć i milczeć, tulić dziewczynki. Wdech i wydech.

Blum nie wie, ile to potrwa. Nie wie, czy dotrą na miejsce, czy naprawdę może mu ufać. Chociaż to, co jej powiedział, ma sens, Blum nie wie, czy dotrzyma danej jej obietnicy. *Dziś wieczorem wyjedziecie z kraju. Taka szansa się nie powtórzy.* Uśmiechnął się do niej, dodał jej otuchy. *Wiem, co robię, Blum. Po prostu zrób, co ci mówię. Musisz się tylko ułożyć w trumnie. To nasza jedyna szansa. Za kilka godzin będzie po wszystkim.* Kuhn był tak pewny siebie. Mówił o tym, jakby to była drobnostka, zabawa, zapewniał, że o północy będzie po wszystkim. *Nikt się nie domyśli, że jedziecie przez Niemcy w trumnie. Znam kapitana pewnego statku, dzwoniłem do niego, weźmie was na pokład. Nie wie, kim jesteś, i nie będzie zadawał ci żadnych pytań.* Wzniął w Blum iskierkę nadziei. Tęsknotę za przyszłością, która czeka na nią gdzieś na północy.

Na kolanach ma wodę i kilka bananów. Dla dziewczynek, gdyby poczuły głód, gdyby nie mogły wytrzymać dłużej bez picia. Tylko kilka łyčzków, bo nie mogą pójść do toalety. Blum z obawą myśli o chwili, gdy powiedzą, że chce im się pić. *Mamusiu, pić, Mamusiu, boję się. Proszę, wypuść nas wreszcie.* Blum modli się, żeby się nie obudziły, nie wie, jak długo jeszcze będzie działał środek nasenny, który im podała.

Ile godzin przeleżą spokojnie w jej objęciach. Dwie? Trzy? A potem? Woli sobie nie wyobrażać ich strachu, paniki. Ich krzyków, płaczu. W żaden sposób nie zdoła ich uspokoić. Ani przytulenie, ani głaskanie, ani żadne obietnice nie zdołają ich uciszyć. Dlatego błaga je szeptem. *Proszę, nie budźcie się. Śpijcie. Jeszcze troszeczkę.*

Dwie dziewczynki w trumnie. Musiała je uśpić. Chce, żeby to się wreszcie skończyło, chce wierzyć, że to już długo nie potrwa. Że Kuhn będzie uważał. Że nie przydarzy im się żaden wypadek, nikt ich nie zatrzyma, nie skontroluje, nie otworzy bagażnika. Że wszystko dobrze się skończy. Już niedługo się zatrzymają i wyciągnie je z tego więzienia. *Jesteśmy na miejscu, powie. Teraz musicie tylko wejść na pokład. Niedługo będzie po wszystkim.* Kuhn podrzuci dziewczynki na pożegnanie, jeszcze raz je rozśmieszy, obejmie Blum. Blum chce w to wierzyć. *Powodzenia,* powie i pocałuje ją w czoło. Już niedługo. Blum pragnie tego z całego serca.

Lecz w tej chwili nie widzi żadnego światła, żadnego portu. Nie ma już nikogo, komu by mogła zaufać. Po jej policzkach powoli spływają łzy. W skrzyni jest ciemno. Wszystko, co jej jeszcze zostało, spoczywa w jej objęciach. Cała reszta nie ma znaczenia. Czeka na to, co się wydarzy. Na chwilę, kiedy uniesie się wieko.

Trzy tygodnie później

- Cześć, Karl, to ja.
- Na litość boską, dlaczego się nie odzywałaś? Prawie umarłem ze strachu. Gdzie jesteś?
- W bezpiecznym miejscu.
- Gdzie?
- Daleko.
- A dziewczynki? Co z nimi?
- Wszystko w porządku.
- A ty?
- Nie wiem.
- Co się stało?
- Już po wszystkim, Karl.
- Nieprawda. Policja wciąż kręci się po domu. Szukają cię.
- Ale nie znajdują.
- Ten szum w tle to morze, mam rację?
- Tak.
- Powiedz mi tylko, w jakim jesteś kraju.
- Nie mogę.
- Już się nie zobaczymy, prawda?
- Zobaczymy się, Karl, już niedługo.
- Jak?
- Niedługo wracam.

Podziękowania

Kochani, serdecznie dziękuję za Wasze wsparcie, Wasze zaangażowanie i Waszą przyjaźń:

Reginie Kammerer, Caterinie Kirsten, Georgowi Simaderowi, Lisie Volpp, Verenie Zankl, Britcie Puce, Güntherowi Wildnerowi, Anji Larch, Katharinie Zelger, Herbertowi Aichnerowi juniorowi, Amhofowi Peterowi, Wolfgangowi Müllerowi, Benitowi Müllerowi, Christine Pernlochner Kügler, Zakładowi Pogrzebowemu J. Neumair, Franzowi Thaddäusowi Aichnerowi, Toniemu Walderowi, Alexandrowi Legnitiemu, Bernhardowi Geilerowi, Marcusowi Kinigerowi, Michaelowi Weissowi, Ferdinandowi Treffnerowi, Glorfy Unbreakable, Lukaszowi Bildsteinowi, Florianowi Kingowi, Ludovicowi Einaudiemu & Ólafuowi Arnaldsowi.

Dziękuję serdecznie wszystkim facebookowym fanom. Bez Was świat nie byłby tak cudowny.

A na koniec dziękuję Tobie, Ursulo Aichner –

Dla Ciebie śpiewam głośno i radośnie:

„Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało...”.

Kocham Cię.

